

The book cover is dark green with a fine woven texture. It features a decorative gold-tooled border consisting of multiple parallel lines. The spine on the left is also gold-tooled with a repeating geometric pattern. The author's name is printed in a bold, serif font, centered on the cover and flanked by ornate, symmetrical gold-tooled flourishes.

J. U. NIEMCEWICZ

384 d

TANIE WYDAWNICTWA

K. Bartoszewicza.



Tom I—V Dzieła Juliusza Słowackiego w 5ciu tomach,
 Cena 4 Złr. = 3 rs. 50 kop. = 8 Mrk., w oprawie
 w płótno angielskie 6 złr. = 4 rs. 80 kop. = 10 Mrk.
 (Wydanie to zawiera to samo co wydania lipskie i lwo-
 wskie z dodaniem urywka poematu „Pan Tadeusz“, pod
 względem zaś poprawności tekstu przewyższa wszystkie
 dotychczasowe wydania).

T. VI—IX. Dzieła Jana Kochanowskiego w 4 tomach,
 Cena 3 złr. 20 ent. = 2 rs. 50 kop. = 6 Mrk., w opra-
 wie w płótno angielskie 4 złr. 80 ent. = 4 rs. = 9 Mrk.
 (Jestto jedyne kompletne wydanie dzieł ojca naszej litera-
 tury, opatrzone życiorysem, oraz ozdobione portretem i fac-
 similem. Poprawność tego wydania uznana została po-
 wszechnie. Zawiera ono oprócz dzieł polskich Kochano-
 wskiego także i utwory jego łacińskie w mistrzowskich
 tłumaczeniach Syrokomli i Brodzińskiego).

T. X—XIV. Dzieła Ignacego Krasickiego w 5ciu tomach,
 Cena 4 złr. = 3 rs. = 8 Mrk., w oprawie w płótno
 angielskie 6 złr. = 4 rs. 50 kop. = 12 Mrk.
 (Wydanie to dzieł księcia poetów jest najtańszem z do-
 tychczasowych. Każdy tom przecięciowo zawiera 320—
 340 str. Dołączony portret zdjętym został podług wizerunku

z galerji Łowickiej. Wydanie obejmuje wszystkie peozje, wszystkie komedje, oraz pana Podstolego, Przypadki Doświadczyńskiego i Historję).

T. XV. Aloizy Żółkowski: Momus i Potpourri. Cena 80 ent. = 75 kop. = 1 Mrk. 60 f., w oprawie w płótno angielskie 1 złr. 20 ent. = 1 rs. = 2 Mrk. 40 f.

(„Momus“ i „Potpourri“ są ciekawym zabytkiem naszego humoru, a przed ostatniem wydaniem były rzadkością bibliograficzną. Sława „Momusa“ szeroko się rozbiegła, a jaką dziś jeszcze cieszy się popularnością najlepszy dowód, że wydanie niniejsze jest już na wyczerpaniu).

T. XVI. Satyry Krzysztofa Opalińskiego. Cena 80 ent. = 75 kop. = 1 Mrk. 60 f., w oprawie w płótno angielskie 1 złr. 20 ent. = 1 rs. = 2 Mrk. 40 f.

(„Satyry“ Opalińskiego zajmują wybitne miejsce w literaturze XVII w. Pisane jędrną polszczyzną, obrazowo, z siłą i humorem, dają nam wyborną charakterystykę swego wieku. W ciągu lat 48 (1650-1698) było ich dziewięć wydań, co dowodzi jak były czytane i rozechwytywane. Wydanie niniejsze opatrzone jest w słowniczek wyszłych z użycia wyrazów).

W dalszym ciągu taniego wydawnictwa K. Bartoszewicza wychodzą:

DZIEŁA J. U. NIEMCEWICZA.

NAJTAŃSZE POLSKIE PISMO
ILLUSTROWANE

„Przegląd literacki i artystyczny“

wychodzi w Krakowie dwa razy na miesiąc, wspierany piórem najznakomitszych pisarzy. Do każdego Nru dołącza się na osobnym kartonie rysunek oryginalny wykonany sposobem autograficznym. W tej części artystycznej wzięli dotąd udział: J. Kossak, Benedyktowicz, H. Lipiński, Picard, Pruszkowski, Löffler, Malczewski i t. d.

Prenumerata roczna z przesyłką . 6 Złr. 50 ct.
„ półroczna „ . 3 „ 25 „
„ kwartalna „ . 1 „ 63 „

W Warszawie rocznie 4 *rs.* półrocznie 2 *rs.* kwartalnie 1 *rs.* Skład główny w Warszawie w księgarni G. Centnerszvera (ul. Marszałkowska). W Wielkopolsce rocznie 12 *Mrk.*, półrocznie 6 *Mrk.*, kwartalnie 3 *Mrk.*

Skład główny w księgarni K. Bartoszewicza w Krakowie.

DZIEŁA

J. U. NIEMCEWICZA.



WYDAWNICTWA KAZIMIERZA BARTOSZEWICZA T. XX.

5988

DZIEŁA

J. U. NIEMCEWICZA

TOM IV.

384 d

KRAKÓW 1885.

Nakładem K. Bartoszewicza.

W Drukarni W. Korneckiego.

90428

77.103-2,



66204 L-10

Wytłaczono z zasobu
dubletów

LEJBE I SIÓRA.

TOM DRUGI.

LIST XIX. — ABRAHAM DO LEJBY.

Dnia 29-go Sywon.

Oddawna już, szanowny młodzieńcze, prawy mój Izraelito, zyczyłem zawziąć z tobą znajomość. Ubolewam, iż pod tak smutnem godłem zaczyna się znajomość i korespondencja nasza; lecz im niesprawiedliwszemi są prześladowania twoje i oblubienicy twojej, tem człowiek tkliwy i szlachetnie myślący skwapliwszym być powinien do udzielania wam, jeżeli nie pomocy (bo jakąż prześladowany starzec dać ją może), to przynajmniej pociechy. O losie Sióry twojej nie dotąd nie wiemy; nie rozpaczaj jednak, ufaj, iż ten, co czuwa nad niewinnością, co Daniela z jaskini lwów wybawił, nie opuści i ciebie i przyjaciółki twojej. Rad jestem, żeś się w ustronnem, bezpiecznem miejscu zatrzymał: nie oddalaj się z niego, póki cię nie ostrzeżemy, inaczej na próżnobyś i siebie i Siórę na srogie niebezpieczeństwa wystawił.

Żywo mnie obchodziły niesłuszne prześladowania twoje i przez ubolewanie nad tem, coś sam ponosił, i przez uwagę, jaką krzywdę zawziętość starszych kahałnych czyni nam w oczach chrześcijan. Potrzeba prawdziwie być tak stale do zakonu swego przywiązany, jak ty jesteś, by trwać w nim mimo pomienionych krzywd tyłu. Żeś ucierpiał, narażając się za uciśnionym ludem naszym, podzieliłeś ztąd chwałę z tymi wszystkimi, co jak ty poświęcili się za dobro współziomków swoich i jak ty niewdzięcznością zapłaconymi zostali. Cierpieć niewinnie w sprawie powszechnej, jest jedną z najchlubniejszych zasług prawego obywatela.

Nie dziwię się powątpiewaniom twoim względem przywłaszczonej, a źle użytej władzy starszych naszych, względem Talmudu, komentarzów onego, kabalistów i t. d. Powątpiewania te dowodzą, że równie czyste sumienie jak zdrowy rozsądek posiadasz. Gdy żądasz w tem zdania mojego, gdy pragniesz wiedzieć, z kąd wyszło to źródło błędów naszych, ten Talmud, dla czego przed słowem nawet Bożem ma dzisiaj pierwszeństwo, ile można, wkrótce ci powiem.

Najdawniejsze z pisanych dziejów ludzkich są zapewne dzieje narodu izraelskiego.

Lud, który z Panem zastępów zawiera przymierza, który ma Boga za wodza i prawodawcę swego, dla którego zachowania rozstępowało się morze, skały wytryskiwały zdroje wód czystych, dla którego pożywienie spadało z obłoków, za którego walczyli anieli, któremu cała usługiwała natura, który wśród bałwochwalstw tyłu narodów, tyłu wieków, pierwszy uczuł i ogłosił istność jedyne Boga, nie dziw, że lud taki celniejszym się nad innych rozumie. Mojżesz, pierwszy z wodzów i prawodawców, przez odrębność ustaw swoich, przez odosobnienie ludu swojego od

innych ludów, chciał mu nadać potęgę i trwałość niewzruszoną temi przygodami, które obalają inne narody. Stósował on te ustawy do czasu, położenia i miejsc, w których się znajdował; nie chciał on, żeby lud izraelski, błakający się przez 40 lat na puszczy, nie mający siedliska swojego, wszedłszy potem między pogan, stapiał się z nimi, przyjmował obyczaje i ustawy ich; chciał i owszem, by był osobnym, odrębnym ludem, dla tego wypleniał wszystkie obce narody a krainy ich żydami osadzał. Zakreślił Bóg granice ludu swojego od puszczy Libanu, od Eufratu aż do morza ostatniego i rzekł: „*Te są ustawy, których strzedz będziecie w ziemi, którą dawa nam Bóg ojców swoich, żebyście ją dziedzicznie trzymali.*“ Przepisał więc Mojżesz, jakom powiedział, ustawy stósowne do okoliczności i położenia swego, *chować je będziecie w ziemi, którą wam Bóg dawa.* Jakże długo zachowali żydzi ustawy te na puszczy? Jeszcze w oczach Mojżesza, ileż widzimy przykładów, jak jakiś niezbęduy popęd prowadził ojców naszych do bałwochwalstwa; nie widzimyż ich tylekroć, na puszczy jeszcze, ulewających sobie bożyszcza? Po śmierci Mojżesza 72. starców, zbierając podania jego, ileż przydać, ująć, dopełnić mogli niedokładności, oddalić się nawet od wyraźnych praw jego; nie czytamyż w rozdziale 10 *Judicum*: „znowu synowie izraelscy czynili złe przed oczyma Pańskimi, służąc Baalowi i Astorotowi i bogom syryjskim i bogom moabskim, nawet bogom filistyńskim, a opuściwszy Pana, nie służyli mu“¹⁾).

¹⁾ Większa część królów judzkich i jerozolimskich służyła bogom obcym. Za Jozyasza gdy wyprzątano kościół Boży, Helkiasz kapłan znalazł prawdziwe pismo Mojżesza i oddał je królowi, ten srogimi w nich przepowiedzeniami ciężko się strapił.

Powtarzały się odpadnięcia; najsroźszym atoli ciosem dla całości i czystości podań Mojżesza stało się zburzenie Jerozolimy przez Nabuchodonozora i zaprowadzenie ludu w babilońską niewolę. Wtenczas ileż to okropnych odmian, zaburzeń i zniszczeń, nawet niedawno znalezionych pism Mojżesza przez Helkiasza. Przez zatracenie pierwotnych ustaw, przez długi pobyt wśród obcych ludów, ileż mniemań, przesądów pogańskich, ileż domysłów lub urojeń rabinów naszych, nie wcisnęło się w te święte księgi. Król Chaldejczyków mówi Pismo św. (Paralip. rozdz. 36), pomordował starce i niewiasty, zburzył kościół, zabrał wszystkie księgi, skarby domu Bożego i przeniósł je do Babilonu. Obalił mury jerozolimskie, popsował wszystkie naczynia kosztowne. W takim zatraceniu wszystkiego, przez lat 70 niewoli, mało tylko pozostałych starców zachowało niewyraźną pamięć ustaw Mojżesza. Zebrał je, ile mógł, Ezdrasz, lecz w zebraniu tem ileż obcych nauk i prawideł, najbardziej Zoroastra, wcisnąć się musiało. Dowodzą to trzy oddzielne sekty Faryzeuszów, Sadmejczyków i Esseniuszów, z których każda pismo Boże tłómaczyła inaczej. *Hillel* i *Szamai* nie wiele lat przed Wespazyanem już mieli szkoły osobne, Rubi Johanan *Sillai* uczeń *Hillela*, wynosząc mistrza swojego, tak mówi o sobie: „gdyby wszystkie drzewa były piórami, a całe morze kałamarzem nie wystarczyłyby na pisanie mądrości, której nauczyłem się u *Hillela*.“ Co za przesadność w wyrazach! jak żywo maluje zagorzałość stronnictwa! Jakoż niedługo potem ci to zagorzalcy, Zelotami zwani, powtórnie ściągnęli na siebie gniew Boży i za Tyta Wespazyana powtórnego zburzenia Jerozolimy stali się przyczyną. Ach, czytaj dzieje Józefa, ujrzysz w nich, z jednej strony unoszące nas obrazy męstwa, statku i wytrwałości Izraelitów; z drugiej zbyt smutną prawdę, jak zago-

rzały fanatyzm i niewczesna zaciętość najświetniejsze narody gubią i wywracają. Pamiętnem będzie w dziejach świata oblężenie i wzięcie Jerozolimy przez Tytusa: ileż wściekłej zapalczywości między dwoma starozakonnych sektami; jaka zaciętość w obronie, zaciętość przenosząca śmierć, katuszę, zgubę nakoniec narodu całego nad najmniejsze odstąpienie od mniemań swoich. Padło naówczas od miecza i głodu milion sto tysięcy żydów, część pozostałych oddano na pastwę zwierzętom, część zdobyła tryumf zwycięzcy, lecz co najbardziej wzbudza ciężki żal Izraelity, jest spalenie i wywrócenie ze szczętem kościoła z nieporównanym przepychem wzniesionego przez królów naszych. Opisał nam wspaniałość jego wzwyż pomieniony dziejopis: Znalazłszy opisanie to w papierach moich, posyłam ci je. Jak dobry Izraelita zapłaczesz, porównywając dawną wielkość naszą z poniżeniem, do którego nas ślepotą i obłąkanie starszych przyprowadziły.

Za Adryana raz jeszcze rzucili się żydzi do broni. *Barcoquebe* ogłosił się Messyaszem; w zaciętej, lecz nierównej tej walce zginęło 580.000 Izraelitów; odmieniono imię Jerozolimy, i nazwano ją Elią. Cezar Julian, noszący nazwisko Apostaty, przez wielkie zamiary szukający sławy u potomnych, dał rozkaz, by odnowić kościół Salomona. Lecz nietylko chrześcijańscy ojcowie, ale Amian Marcellin, współczesny dziejopis pogański, twierdzą, iż ognie wybuchające z pod ziemi nie dozwoliły zacząć nawet jej pracy.

Długoby było opisywać ci, jaki był odtąd los narodu naszego, rozsypanego po rozmaitych państwach; jużśmy się nigdy nie złączyli w jeden naród, jużśmy nigdy własnego kraju nie mieli. Rozprószeni po powierzchni ziemi, prześladowani naprzód od pogan, później od chrześcijan w Niemczech, Francji, Hiszpanji, Anglii, paleni, wytępiani, wypę-

dzani, w jednej Polsce znaleźliśmy schronienie i opiekę. Ach czemuż nie użyliśmy na lepsze użyczanych nam swobód i bezpieczeństwa! Ach czemuż Ezdrasz jaki, korzystając z łaski, którą piękna Esterka nasza znalazła w oczach Kazimierza Wielkiego, nie przywrócił praw Mojżesza do pierwotnej ich czystości, nie zastosował ich do czasów i obecnego położenia naszego? lecz niestety! daliśmy pierwszeństwo nad słowem Bożem błędnym, ludzkim mniemaniem.

W 308 lat po zburzeniu Jerozolimy Rubi Johanan napisał Talmud jerozolimski, w 100 lat potem Rubi Aze wydał Talmud babiloński, uczniowie ich dodali Misznę i Gamurę. Mojżesz Mojmonides na początku 13 wieku zrobił z nich wyciąg prawideł obrządkowych, w księdze *Judchasakach*. Wyścigali się odtąd mniemani mędracy, komentatorowie, kabaliści nasi w zagmatwaniu i przeistaczaniu pisma Bożego, własne sny i dzikie marzenia podając za ustawy religijne, cywilne i moralne. Lecz jak daleko w księgach swoich odstrychnęli się od moralności zdrowego nawet rozsądku, same ich dzieła jasno dowodzą. Ileż u nich dziecinnych, gorszących, uwłaczających Bogu samemu, baśni i zabobonów.

Niektórzy z pisarzy tych szczerze zaślepieni byli w dzikich mniemaniach swoich, inni, acz znają dobrze niedorzeczności Talmudu, dla własnych zysków utrzymują w nich ciemne pospólstwo. Chcą oni, by biedny lud ten, zatapiając się w tych niezrozumiałych, dziecinnych Talmudu mistycznościach, stępił na nich i niszczył wszystkie umysłu swego siły, a przez to stał się równie niechętnym jak niezdolnym do łożenia czasu i uwagi swojej na nabycie tego światła, tych pożytecznych nauk, któreby nas do innych ludów we wszystkich towarzyskich korzyściach zbliżały.

Troskliwi starsi i rabini, by z samego dzieciństwa oddalić od ludu naszego dobroczynne światło, a fałszywe wkorzeniać weń wyobrażenia, stosownie do tych niecnych prawideł wychowują dzieci nasze. Trzyletnie dziecko słyszy już o duchach i strachach, w czwartym roku udzielają mu pojęcia o Bogu, wpajając, że sami tylko żydzi są dziećmi jego, inne zaś narody obmierzłe, wyklęte. W roku piątym posyłają go do szkoły, gdzie się uczy 5-ciu ksiąg Mojżesza wraz z komentarzem pełnym wykrętnych tłumaczeń i nadętych obrazów: uczą go w hebrajskim języku, jeśli dziecko jest niepojętne lub słabe, nie szczczędzą się dojmujące razy i targania za pejsaczki. Uczy się dziecko na pamięć, lecz nie rozumie i słowa, gdyż i sam nauczyciel wierzy tylko na słowo: w szóstym roku nie ma najmniejszego pojęcia o innych narodach, o geografji, wie tylko, że są żydzi, którzy są wielkimi ludźmi, i że są chrześcijanie, których trzeba nienawidzieć, gdyż są przeciwni żydom, zwyczajom ich wbrew postępują, jedzą świnię, nie zachowują szabasu i nie są obrzezani. Z rana musi dziecko ręce umyć, nie dla czystości, lecz żeby spłoszyć złe duchy, które podczas snu siadają na paznokciach. Jeżeliby bachór, przechodząc koło kościoła, usłyszał głos śpiewania albo dzwonów, powinien sobie zatkać uszy, aby przez te głosy nie skalał duszy swojej; ztąd dziecko mocno jest przekonane, że kto nie jest żydem, jest gorszym od djabła. W siódmym roku zaczynają bachóra uczyć Talmudu, mówią dziecku małemu o małżeństwach, o rozwodach, o zarzynaniu zwierząt, o stawianiu kuczek, o czyszczeniu lub nieczyszczeniu niewiast. Męczy się dziecko od świtu do zmierzchu nad temi wspinałkami prelekcjami. Sypią się nań obficie besztania i plagi. Młodociany umysł przygniata się w samym zarodzie. Z nadchodzącemi laty ciągnie się dalej taż sama nauka; ojciec

coraz bieglejszego przyjmuje nauczyciela, cała troskliwość, ambicja, polegają na tem, by syn stał się uczonym w Talmudzie, a przez to mógł się dobrze ożenić i zostać rabinem.

W dwunastym roku przywożą mu dziewczynę dwięcioletnią, której nigdy nie widział, i każą mu się żenić. Po ożenieniu, młody małżonek jeszcze się uczy, dalej zostaje rabinem, kupcem, a najeźściej próżniakiem. Prócz nauki liczby, wszystko mu jest obcem, co tylko potrzebnem do społecznego życia. Nauczył się bowiem tylko przesądów, nienawiści i zabobonów.

Z takiego wychowania, z tak grubej niewiadomości, z wyobrażeń tak dzikich, rodzi się w masie narodu naszego łatwowierność, ochciwie chwytająca się wszystkiego, co jest zadziwiającem, co dogadzającym pasjom, co obiecującym niepojęte rozkosze i szczęśliwości. Ztąd tyle fałszywych mesjaszów, cudotworców i świętych oszustów; słyszałeś o *Barcoquebe*, o fałszywym Mesjaszu z Kandji, pod panowaniem Teodozyusza, o Dawidzie *Elroi* za czasów cesarza Henryka I-go. Ciekawszą nad inne, gdyż sięgającą prawie czasów naszych, jest historia *Sabbataj Sevi*, który w r. 1666 mesjaszem się ogłosił. Niewiedząc, czyli jest ci znajomą, посыłam ci ją osobno.

Ujrzysz z tych wszystkich opisów, z jaką łatwością lud nasz ciemny, z dzieciństwa napojony zabobonami, dał się zwodzić tylu zręcznym oszustom. W miarę większej, niż gdzie indziej ciemnoty, nie zbywało i nie zbywa u nas na fanatykach i sektach.

Najzgorzalsza, a zatem najszkodliwsza u nas sekta, nosi imię *Chassidim*. Zawiązała się ona przed stu laty w Międzyborzu na Podolu od Izraela *Bael Achem*, tamecznego rabina. Twierdzi on, iż w roku 1575 Laryl, żyd

w Egipcie znalazł w bibliotece Majmonidesa niezmiernie ważne umiejętności, nieznanne dotąd prawdy, prowadzące do bliższego jeszcze poznania Boga. Pysnie zapowiedział, że tak ważne odkrycia, zaczął ogłaszać najrozwiąźlejszą w moralności naukę, pochlebając wszystkim pasjom ludzkim, pozwał stronnikom swoim wszystkich przestępstw i zbrodni, objawił niesłychane widzenia, zaklinał duchy, leczył chorych, upładniał niepłodne niewiasty, pokazywał cuda, słowem był ubóstwiany za życia i po śmierci. Rozwiąźła i pochlebająca zmysłom nauka jego zwabiła mu mnóstwo ludzi młodych, którzy po dziś dzień utrzymują i rozszerzają szkodliwe jego prawidła ¹⁾.

¹⁾ Najsławniejsze dzieło, które Chassidim wydali, ma tytuł: *Jania lub też Likutej Amorim*; autorem jego jest Zelman Boruchowicz; ostatnia jego edycja wyszła w Sławucie na Wołyniu. Pisał przeciw tej sekcji Kalmanson w uwagach nad niniejszym stanem żydów polskich, na kartkach 18 i 19 tak się tłumaczy: „Życzyć należy, aby rząd przedsięwziął skore i skuteczne sposoby ku założeniu tamy dalszemu krzewieniu się tak niebezpiecznej sekty, a to w miarę maksym swoich i niebezpiecznych skutków sekty, która się skwapliwiej rozchodzi, niż przewidywać mogły mdłe jej zawiązki, a które niszczącym jadem swoim już niemal wszystkie zaraża synagogi“ Czegoż nie powinni się obawiać z tej zaciekłości nietylko żydzi, ale kraj, gdzie się ten gad lęgnie, jeżeli nie będzie położona dzielna tama przystępom szaleństwa tych zaślepionych zapaleńców. Friedländer w dziełku swem o polepszeniu Izraelitów w Polsce, pomiędzy przyczynami utrudniającymi cywilizację żydów polskich, liczy szczególnie tę sektę.

Sulamith I Jahrgang II. karta 308, żywemi farbami maluje szkodliwość ksiąg i zabobonów tej sekty; dość następne przytoczyć: „Zakazano najsurowiej, ażeby władzy umysłów w żadnym sposobie nie kształcić, owszem, gdyby się okazały, tłumić i niszczyć;“ powiedziano tam jest: „że grzesznik im więcej grzeszy, tem bardziej zbliża się do bóstwa, że nacelnicy mają władzę odpuszczenia nietylko najsprośniejszych grzechów popelnionych, lecz i popelnić się mających; że wszystkie grzechy pod pewnemi warunkami otrzymują nawet nagrodę“ i t. d.

Tak jest, są po dziś dzień naczelnicy sekty tej, do których tak w Polsce, jak i w zabranych prowincjach po 30 do 40 żydów i żydówek odprawują pielgrzymki. Mniemają oni, że skoro rabin jest kabalistą, już przez to samo staje się boską istotą, rozumie mowę zwierząt, drzew i kwiatów, przez tajemne swe sztuki może złe odwrócić i rządzić i rozkazywać, kto ma na wojnie zwyciężać lub też przegrywać: może strącać z tronu nieprzyjaznych żydom królów. Wszystko wyrokom jego ulega. Bierze on jarmułkę swoją i wymawia nad nią czarodziejskie słowo; kto tę jarmułkę weźmie w usta, staje się pełnym lubości i przyjemności, żaden z chrześcijan nie może mu odmówić, czego tylko zażąda. Najgłówniejszą z zasad tej sekty jest, iż każdy należący do niej, tak wysoką obdarzony jest świętobliwością, iż tej przez żadną niecnotę, przez żaden występki stracić nie może. Ta sekta tak jest zawzięta i mocną, iż każdy, któryby się odważył tajemnicę jej odkrywać, głośno przeciw niej powstawać, naraża się na najsrozsą zemstę, co mówię, na śmierć samą; jeżeli więc usłyszysz, żem zniknął, bądź pewien, że z rąk ich.

Nasylenie wszelkich zmysłowości staje się sekty tej obowiązkiem równie jak sposobem ściągania do niej jak najwięcej zwolenników. Zgromadzają się oni często u rabina. Tam smaczne potrawy, gorące napoje, rozpalają biesiadników imaginację. Wszczynają się rozmowy jedne dziksze od drugich. Często rabin przywołuje jednego z przytomnych, daje mu dzwonko dobrze upieprzonej ryby, powiadając, że dusza zmarłego ojca jego w tej rybie się znaj-

Patrz dziełko: „Co wstrzymuje reformę żydów“ przez O. Radomińskiego. Wszyscy rozsądni z wzdrygnięciem mówią o sekcje Chassidimów.

duje. Nieraz rabin wpada w zachwycenie, wzywa po imieniu aniołów i duchów, bełkoce rzeczy niezrozumiane, odkrywa przyszłość, zapowiada przyjsie mesjasza. Szerzy fanatyzm, nurzać się w lenistwie i rozpuszcie, to jest ich zatrudnieniem. Uważają oni za jak największe przestępstwo trudnić się innym językiem, jak hebrajskim. Liczba tych fanatyków. coraz się bardziej pomnaża; szczególnie przywiązują się do niej niewiasty, i znacznemi wspierają pieniędźmi. Nie wzdryga się sekta ta pogańskich naśladować obyczajów. W miastach stawiają domy na grobach rabinów. W nich dzikie i pełne niestłuchanych zabobonów zwykli czynić ofiary. Żebyś mi dowiódł, iż niepłonne opowiadam ci rzeczy, pozwól, że ci tu skreślę przypadek, który mi się w młodości samemu z jednym z najpierwszych sekty tej rabinów przytrafił.

Jak wielu innych, tak i ja wychowany byłem we wszystkich niepojętych andronach Talmudu, Myszny i Gammury. Wcześniej atoli Bóg zdrowym rozsądkiem raczył mnie objaśnić. Ujrzałem, iż zawada, wstrzymująca oświecenie Izraelitów w Polsce i zabranych prowincjach, pochodzi najbardziej od sekty Chassidim, która młodzież naszą, tak przez fanatyczne i zagorzałe wyobrażenia, jak i przez rozpustne życie, zwabia do siebie i w co raz większej pograża przepaści. Przejęty wstrętem ku tym zwodnikom, zagrożony chęcią uratowania narodu mego od zepsucia i zguby, postanowiłem udać się do najwyższego rabina, z bliska przypatrzeć się oszukaństwu jego, i dla dobra wszystkich wydać je na jaw. Z największą więc pokorą udałem się do niego, błagając, aby mnie grzesznika do zakonu swego przyjąć raczył, a przez to stał się duszy mojej zbawcą. Przyjął mnie łaskawie, poświęcił mnie i do tajemnic przypuścił. Ach, jakąż boleścią napełnione zostało serce moje

nad smutnym stanem ludu poświęconego szaleństwu tych opętańców. Byłem wtenczas w kwiecie młodości, śmiały i wesoły. Przekonawszy się, iż i sam rabin był uwiedzionym, i w rzeczy samej sądził się być panem nad aniołami i duchami niebieskimi, postanowiłem szalone jego obłąkanie odkryć światu całemu.

W tym celu wziąłem książeczkę z pergaminu, napisałem na niej straszliwym hieroglificznym pismem list wyrażający, iż to było pismo żyjącego przed stu laty rabina, Izraela Baula Schema, przykazujące rabinowi N. N., aby podług przepisów kabalistycznych poczynił przygotowania i obrządki na przyjście mesjasza, gdyż mesjasz ten roku następnego niezawodnie pokaże się na świecie. Dodanem było dalej, iż list ten od kilkudziesiąt lat powierzonym jest umarłemu, a dziś jemu dopiero wręczonym będzie. Dla lepszego udania rzeczy, pergamin ten w taki sposób posypałem tabaką, iż zdawało się, że przynajmniej lat 50 leżał w ziemi. Nie szczędziłem w tem piśmie starszych imion aniołów i duchów zdań kabalistycznych. Tak wszystko przygotowawszy, wsunąłem nieznacznie pismo to w kieszeń białej, jedwabnej, świątecznej sukni rabina. Znalazł wkrótce rabin list ten w kieszeni, a spostrzegłszy pieczęć z straszliwymi hebrajskimi literami, przeląkł się i drżał niezmiernie; z wielką bojaźnią otworzył go nakoniec, a gdy wyczytał osnowę, zmienił strach w niewypowiedzianą radość. Wyskoczył z krzesła swego, biegał jak szalony po izbie, a rozkazawszy powierników swoich zwołać do siebie, odkrył im to święte długo upragnione poselstwo. Wkrótce wieść o tem po całym kraju z okrzykami radości przyjętą została. Zaczęto czynić przygotowania do przyjęcia mesjasza, mnóstwo gorliwców, już się wybierających do Palestyny, zaczęło domy swoje sprzedawać, nadzieja odzyskania

panowania nad światem jeła lud ciemny wzbijać w zu-
chwalstwo. Z przelęknieniem ujrzałem, iż plan mój aż nadto
dobrze się udał, a tak obawiając się gwałtownego zamie-
szania kraju, pośpieszyłem do jednego z światłych przyja-
ciół, odkryłem mu całą tajemnicę, niezbitemi okazując do-
wodami, iż to całe dzieło było skutkiem wynalazku mojego.
Przyjaciel mój, udał się do rabina i opowiedział rzecz całą.
Ostępiał rabin, zasmucił się i zawstydził razem. Wkrótce
uczucia te w najdzikszą przemieniły się srogość; krzyczał,
wściekał się przeciwko mnie, zginąłbym niechybnie, gdy-
bym natychmiast nie był opuścił ojezyny mojej, i nie
schronił się do Berlina, gdzie przez lat kilka przebywał.
Historja ta jest w całej Polsce wiadomą, niedługo jednak
zachwiała kredyt tej sekty.... Lecz spostrzegam, żem się
nadto rozpisał; czują to słabe oczy moje. Sposoby, jakimi
biedny lud nasz wyprowadzić z ciemnoty i błędów, w któ-
rych go starsi trzymają, staną się przedmiotem następują-
cego listu mego. Tymczasem bądź mężem wytrwałym, nie
poddawaj się rozpaczy. Bóg wszystko na lepsze obróci.
Skoro jakąkolwiek wieść odbierzem o Siórze twojej, nie za-
niechamy ci przesłać natychmiast.

Błogosławieństwo Abrahama, Izaaka, Jakóba niech
będzie z tobą. *Abraham.*

LIST XX. — RACHEL DO SIÓRY.

Dnia 1-go Tamoz.

Niech Bóg Wszehmocny stokroć zapłaci pocziwemu
Chaimowi, który mi, choć późno, wiernie jednak oddał list
twój. Wiemy nakoniec, że żyjesz, żeś zdrowa. Ach, jakaż
radość dla przyjaciółki, ileż łez osuszył list twój, ileż ukoił
niespokojności i trwogi. Od czasu porwania twego załoba

okrywała dom nasz i matka twoja i ja i ojciec mój i Chaim opłakiwaliśmy ciebie codziennie. Matka twoja nieutulona w swym żalu. Czciociele tylko Jankiela cieszyli się, co mówię, twierdzili, że wygnanie twoje było zbyt łagodną karą za obelgę wyrządzoną tak świętemu mężowi, że koniecznie powinnaś być ukamienowaną. Zaślepieni szaleńce! Ja silnie mam jakieś przeczucie, że Sióra moja nie ukamienowaną, lecz wolną i szczęśliwą będzie. Ciesz się, kochana Sióro, oblubieniec twój za wstawieniem się zacnego Tenczyńskiego już jest uwolnionym od klątwy, już w bezpiecznym ustroju czeka wieści o tobie; nie długo czekać ich będzie; dziś jeszcze posyłamy do niego umyślnego posłańca. Pisuje on do ojca mego, a listy jego, zawarte w nich uczucia i prawidła, coraz bardziej w sędziwym starcu pomnażają szacunek dla niego. Obraz miasteczka, do którego zeszłaś, nauki, które ci mędrzec daje, zabawiły mnie nie pomalutko. Cieszę się, że dusza twoja nie upada pod ciężarem tyłu ucisków i prześladowań. Wyznaję jednak, iż nie jestem bez obawy, jak wyjdiesz z ciężkiego egzaminu, który cię czeka. Donoś o tem czempredzej, żebyśmy wraz przybywali ci na pomoc.

Żeby cię w samotności i w głębokich naukach, które odbierasz, cokolwiek rozerwać, muszę ci powiedzieć, co się u nas dzieje.

Znany ci jest Nathaniel Pejsak, dość bliski sąsiad ojca twojego, ów bogaty kupiec, wekslarz i podradzca. Wydaje on jedynaczkę córkę swoją za syna owego bogacza Herszka z Humania. Wesele ma być jak najwspanialsze; zaprosił z całego kraju wszystkich rabinów, przepyszne poczynił przygotowania, sprowadził cymbały i skrzypce, chciał, żeby tańcowano, gdy rabin nasz powziął wątpliwość, zabawę tę mieniać nieprzyzwoitą i zakazaną prawem. Wszczęły

się sprzeczki między starszymi; gdy długo zgody nie było, pewniejszym środkiem do rozwiązania kwestji zdało się napisać do najpierwszego mędrca naszego Jankiela, naczelnika sekty Chassidim, aby, jako najuczciwszy i najświętszy, powiedział, co o przybytku tym trzyma. Ach! słuchaj, słuchaj, Sióro moja, oto jest jego odpowiedź:

„Pytacie, o niewiadomi, czy wolno wam jest tańcować; słuchajcie, co *Rabi Eleazar* w rozdziale swoim powiada, co *Rabi Abiach* naucza. Bóg, mówi on, raz już był ten świat stworzył, ale że mu się nie udał, zburzył go ze szczeniem i drugi stworzył na nowo; ten tak mu się podobał, iż z radości przywołał do siebie Ewę, sam ją ufryzował i poszedł z nią w taniec i przyrzekł, iż na pamiątkę dnia tego i na potem w niebie z dystygowanemi Izraelitkami tańcować będzie.“ *Rabi Eleazar* dodaje, „iż Bóg sam Ewę do małżonka jej przyprowadził, że im usługiwał, posłał im łoża małżeńskie, że aniołowie tańcowali na tem weselu.“ Dla uwiecznienia tej pamiątki, mówi księga *Medulestra*, w objaśnieniu 48 psalmu: „Przyjdzie czas, gdzie Bóg będzie z wybranymi tańcował.“ Festyn ten tak jest doskonale w księdze tej opisany, że rodzaj tańcu, muzyka, sala balowa, liczba zaproszonych osób, wszystko tam dokładnie wyrażonem znajdziesz. Wtenczas to przeforsztowanie między niebem a piekłem wyjętem zostanie, wygaśnie ogień, a z obydwóch utworzy się jedna sala balowa, w której wybrani tańcować będą, mając Pana w pierwszej parze przed sobą. Co się zaś tyczy aniołów, ulubiony nasz talmud powiada: „że już za czasów Jakóba byli oni wielkimi miłośnikami tańców i że zapewne nie opuszczą tej okazji, żeby się nie ochocić.“ *Rabi Beniacha* powiada imieniem Rabiego Levi: „kiedy Jakób dom Labana porzu-

cał, sześć kroć sto tysięcy aniołów tańcowało i skakało przed nim.“

Widzicie tedy, odpisuje dalej Jankiel, iż kiedy aniołowie tańczą, czemuż i wy nie macie sobie pozwolić. Mordują mnie prawdziwie niewiomość i ustawiczne zapytania wasze: pewien jestem, że mnie zapytywać jeszcze będziecie, jakie potrawy zastawiać macie na podobnych biesiadach? Wezście więc was uprzedzam, i mówię: że gęsi powinny być jednymi z przedniejszych potraw waszych. Słuchajcie, co mówi w tej ważnej materji Rebba, wnuk *Channy*: „Szliśmy raz (mówi on) po łące i ujrzelśmy gęsi z których pióra wypadały dla niezmiernej ich tłustości: strumienie sadła lały się pod ich nogami. Rzekłem więc do jednej z tych gęsi: czyliż się nam dostanie choć cząstka z was na tantym świecie?“ Natenczas jedna z tych gęsi podniosła skrzydło, druga podniosła do góry nogę¹⁾, i rzekły: „podług wykładu Rabi Salomona, jesteśmy przeznaczone na wielki obiad, który mesjasz w dzień przyścia swego dla Izraelitów gotuje; tam zastawionym będzie ów wielki ptak, który raz skrzydłem swoim las cały przewrócił, i wielki wół, który na dzień sto gór spasa, i niezmierna ryba Lewiathan, dla której w morzu nie ma dosyć miejsca. Przy tej biesiadzie (podług Souhedrian fol. 99) pié będziemy wino, które szóstego dnia po stworzeniu świata zbutelkowane i do piwnicy wstawione było.“

Odpowiedź ta Jankiela oddaliła wszelkie skrupuły, powiększyła, jeżeli można, uszanowanie wszystkich dla głębokiej mądrości jego. Cóż mówisz, kochana ma Sióro, takim to baśniom wierzyć nam każą. Czyż śniło się coś podobnego Mojżeszowi? O biedny naród, jak długoż jeszcze w ciemno-

1) W traktacie Bavabathra fol. 73.

ściach tych nurzać się będzie. Bądź zdrowa, jedyna przyjaciółko, z jakąż niecierpliwością czekam wiadomości o odbytym popisie twoim, pewno, że nie pojęłaś, co pojętem być nie może; drzę cała. Donieś co prędzej, co się z tobą dzieje, miej litość nad kochającą cię szczerze!

LIST XXI. — ABRAHAM DO LEJBY.

Dnia 12-go Tamoz.

Sądzę, że dojsć cię już musiała kartka moja naprędce pisana, donosząca, żeśmy mieli wiadomość o oblubienicy twojej: przewidując niecierpliwość twoją, prosiłem cię i zaklinałem, żebyś nie ruszał z miejsca, nie zbliżał się do Sióry, i nieroztropnym pośpiechem nie psuł dzieła, które ostrożność i troskliwość przyjaciół do pożądanej mety doprowadzić może. Pamiętaj, że wszędy otoczony jesteś nieprzyjaciółmi, że wszędy zagorzały Jankiel przez Chassidimów swoich pozostawiał ci sidła: spuść cię na Tenczyńskiego, hamuj się i bądź roztropnym.

Żeby myśli twoje oderwać od zajmujących cię całkiem miłości, żeby je zwrócić ku zbawiennym nad stanem ludu naszego uwagom, do których mię sam wyzywasz, mówię będę dalej w materji, którąm w poprzedniczym liście zagaił. Skreśliłem ci pokrótce dzieje narodu naszego, cudowny wzrost jego, jego straszne przygody, jego wielkość i poniżenia, jego nakoniec przez zagorzałość Zelotów, z zaburzeniem kościoła, ostatni upadek i rozprószenie. W tem to rozprószeniu zachwiane, już za powrotem Ezdrasza, Mojżeszowe podania, coraz bardziej ulegały ludzkim obłąkaniom i przewrotności, aż pisarze talmudu, kabały, i tłum nieprzeliczony ślepiących nad dzieły temi rabinów, komentarzystów, z boskich jasnych przykazań i przepisów, utwo-

rzyły niezrozumiały statut dzikich baśni i zabobonów. Wyrócono w niej święte ustawy, palcem Najwyższego na kamiennej tablicy wyryte. Napisał na niej Bóg: „*będziesz miłował bliźniego twego, jako siebie samego!*“ jakże to doktorowie nasi, szczególnie w wielkim *Jalkut Rubeni* fol. 12. i *Rabi Mnackem* w wykładzie swoim V. ksiąg Mojżeszowych wytłómaczyli? „Izraelci (tłómaczyli oni), są ludźmi i bliźnimi naszymi, inne zaś narody nieobrzezane nie są ludźmi, nie mają duszy i są świniami.“ Powiedział Pan w rozdziale 25 Lewityków: „*nie oszakiwaj żaden bliźniego swego, ale Bóg każdy Boga swego, bom ja Pan Bóg wasz.*“ Rabini nasi i to przeistoczyli, dając jeneralną dyspensę, a nawet i rozkaz, aby Goimów oszukiwać, gdzie tylko można.

Żywiołami judaizmu dzisiejszego są: nienawiść i zaciętość w przesądach; póki te zjadliwe namiętności serca nasze zajmować będą, póty ani poprawy, ani zbliżenia do innych w świecie narodów, a zatem, żadnego dla nas dobra spodziewać się nie można. Naprózno leczących chcemy używać maści tam, gdzie śmiertelna wdała się gangrena: wyciąć ją naprzód należy, a potem dobroczynnych szukać balsamów. Wiem ja, że rabini i starsi kahałów i bractw, wielkie osobiste znajdują korzyści w zaciętem odstrychnieniu się swoim od ustaw krajowych, w politycznym nawet względzie; lecz znam także, ile cała masa narodu naszego traci na tem. Skarżymy się, że nasz rząd polski trzyma w uciśku, że nas nie dopuszcza do praw obywatelskich, że nam tamuje drogi przemysłu i wyniesienia; lecz cóż rząd ten odpowiada na skargi i żądania nasze? Chcecie używać zarówno z nami praw obywatelstwa, lecz po czemże poznamy, że jesteście obywatelami, Polakami? Czy po mowie waszej? wszak obcą, nie krajową mówicie, piszecie i modlicie się:

czy po stroju? wszak ten do żadnego w świecie nie podobny; czy po przywiązaniu do kraju, w którym mieszkać? wszak wy sami wyznajecie, że Polska nie jest ojczyzną waszą, żeście tylko przychodniami w tym kraju. Czyli was uznamy za ziomków z posłuszeństwa prawom krajowym? wszakże u was jest klątwa na tego, który idzie do trybunałów krajowych; wszakże macie osobne prawa i sądy wasze. Przypuściliśmy do praw, do swobód naszych, wszystkie inne wyznania, gdyż te (prócz dogmatów, o których tylko Bogu rozsądzać należy) poddały się we wszystkim prawom i ustawom krajowym; lecz wy, trzymając się z zaciętością przeciwnych, szkodliwych społeczeństwu, odrębnych ustaw waszych, chcąc zostać wiecznie cudzoziemcami, chcecie jednak obok tego być przypuszczonymi do wszystkich dobrodziejstw, swobód i korzyści prawych Polski mieszkańców; chcecie, byśmy was uznali za współobywateli, was, którzy nas za ludzi nie macie. Zachowajcie czysty zakon wasz, lecz odrzućcie, wyrzeczcie się na zawsze waszych talumudów, waszych kabał, wszystkich bajek i bałamuctw, któremi was starsi wasi, dla własnych zysków, i waszego nieszczęścia bałamucić nie przestają.

Nie można być oddzielnymi od drugich, i razem być spojonymi z nimi; nie można razem wyłamywać się z posłuszeństwa praw, i tychże praw używać dobrodziejstw. Okażcie się wprzód mową, strojem, oświeceniem, obyczajami, posłuszeństwem prawom, miłością kraju, podobnymi Polakom, a wtenczas, my Polacy, chętnie was za współziomków uznamy.

I cóż odpowiemy na te zarzuty? możnaż im zaprzeczyć? Nie, szczeroci wyznać każe, że są prawdziwe, a rozum naucza, że się poprawić należy. Lecz powie niejeden: jakże odstąpić mamy tego, co jest w zakonie? Odpowiem

na to; nikt was do tego nie przymusza, i owszem, każdy rozsądny pragnie, abyście to tylko porzucili, co nie jest w zakonie Mojżesza, to jest: wasz talmud, Mysznę, Gamurę, kabałę, komentarze, wszystkie bałamuctwa, zabobony, w których was starsi wasi trzymają. Jakże! odmienność położenia naszego od tego, w którym byliśmy, gdyśmy się na puszczy i w Palestynie znajdowali, nie zniewoliłaż nas do odstąpienia od wielu najdawniejszych ustaw naszych? Nie sąż nam przekazane ofiary całopalenia, ofiary spokojne, ofiary śniedne, ofiary ze synogarlic i gołębi; widzimyż, żeby który z nas ofiarował nietylko wołu, ale nawet najmniejszego wróbla? Rozkazano nam jest, aby każdego siódmego roku nie zbierać z pola, ale dla ubogich urodzaje zostawiać, żeby po siedmiu latach nie upominać się u dłużników: nie jestże to przykazanem, a jestże którykolwiek z nas, coby to zachował? znamyż jeszcze pokolenia nasze? mamyż Lewitów? płacimyż im dziesięciny? nie mieszaliśmyż się i dawniej z obcymi? wszakże król nasz, Dawid, był wnukiem Ruty, Moabitki, Salomon pojął za żonę córkę Faraona, króla Egiptu. Jeżeli zatem uwolniliśmy się tak daleko od zakładnych ustaw Mojżesza, nie będzież nam wolno oswobodzić się z tych szkodliwych nakazów, które nam zagorzałe rabiny na zgubę naszą podały? Gdyby (mówi *Buchholtz*), Mojżesz wstał dzisiaj z grobu, nie mógłby praw swoich poznać, tak są tłómaczeniami i objaśnieniami komentarzów oszpecone.

Nie uczyniliż już tego bracia nasi Izraelici po innych krajach Europy? W Kassel, w Lipsku, w wielu innych miejscach, nie chwałąż już żydzi Boga w narodowym języku? W Saksonji pienia nasze z odgłosem organów wznoszą się do nieba. Ileż winniśmy wdzięczności cesarzowi Józefowi II., że rozciągnął staranie swoje do poprawy żydów, i pozakładał dla nich szkoły normalne. Późniejszy edykt

panującego dziś Franciszka II., nakazuje, iż rabinowie stanowieni będą przez sam rząd, że kandydaci złożą wprzód egzamen. Mamy świeże przykłady w obcych krajach, gdzie oświata już bardziej rozszerzoną była, a władza kahałów zniesioną, iż żydzi czynili chętnie uposażenia dla szkół swoich; i tak w Frankfurcie nad Menem, w Hamburgu, w Dessau, w Wrocławiu, w Berlinie i t. d. wprowadzili do nabożeństwa i towarzyskiego pożycia język krajowy, wiadać już w nich większą moralność, większą przychylność do kraju, większy porządek, czystość. W Berlinie, pani Hersbar, Izraelitka, założyła dla swoich równowierców ubogich szkołę niedzielną, przeznaczoną do nauki moralności, czytania, pisania i rachunków. Słusznie w wielu już pismach pochwalony Izrael Jakobsohn, założyciel szkoły w Leezen, nie szczędzi kosztu i starania, ażeby instytut swój uczynić ku oświeceniu narodu swego najpożyteczniejszym. Do tej szkoły chodzą i dzieci chrześcijańskie. W Welfenbittel szkoła Samsonowska utrzymuje się z legatów tejże familji ¹⁾).

Owoż są prawdziwi dobroczyńcy narodu swego, mężowie, których imiona obok Ben-Dawidów, Kalmansonów ²⁾,

¹⁾ Patrz wyborne pismo, mające za tytuł: „Co wstrzymuje reformę żydów w kraju naszym?” przez J. P. Radomińskiego.

²⁾ Jakób Kalmanson, doktor światły i uczciwy żyd z Hrubieszowa, pisał uwagi nad stanem żydów w Polsce. Miał on dożywotnią pensją od króla Stanisława Augusta, od śp. L. Gutakowskiego i od Wolnych Mularzy.

Ileż światłych Izraelitów dawniejsze okaza nam wieki! Majmonides był pierwszym lekarzem Saladyna, Abraham Zacut, astronomem króla portugal. Emanuela i profesorem tejże nauki w Aragonji, Don Izaak Abarbanel, ministrem Alfonsa V w Lizbonie, Ferdynanda w Hiszpanji, później Alfonsa II. w Neapolu i pośrednikiem sporów między królem portugalskim i Krzptą Wenecka.

Friedlaenderów mieścić się powinny. Smutną jest rzeczą uważać, jak daleko starszyna nasza zostawiła Izraelitów polskich w tyle tej cywilizacji, w której współ z nami wierzący innych krajów tak wielkie uczynili postępy: kryją oni przed nimi najwyższych władz swoich ustawy; nie wiedzą żydzi nasi, co we Francji ustanowiony za Napoleona najwyższy ich Sanhedrin za artykuł wiary postanowił i ogłosił; te są słowa jego: „Kraj w którym mieszkamy, powinniśmy uważać jak ojczyznę naszą, powinnością jest naszą bronić go, przyczynić do pomyślności jego, chronić się lenistwa, uprawiać rolę, brać się szczerze do wszystkich sztuk i rzemiosł, gdyż prawa cywilne i polityczne rządu, pod którym żyją Izraelici, są dla nich ściśle obowiązującymi.“

Cologna, najwyższy dziś rabin we Francji, tak się w kazaniu swoim do Izraelitów odzywa: „Bracia moi, powinności wasze jaśnie są wam skreślone: służcie Bogu, zachowujcie zakon jego, nie jak Izraelici, lecz jak obywatele i wierni poddani, kochajcie króla i rządy jego, kochajcie i brońcie ziemi, w której żyjecie, pracujecie gorliwie we wszystkich pożytecznych zawodach, do których was zdolności wasze powoływać będą.“ Ach kiedyż usłyszymy rabiną polskiego mówiącego w ten sposób?

Nie ma u nas w Polsce tak hojnych, tak świątłych, tak prawdziwie o dobro narodu swego gorliwych Izraelitów. Przeciwnie, najzbawienniejsze usiłowania, które rząd nasz przedsięwzięje ku oświeceniu i polepszeniu stanu naszego, rabini, kahały, starsze bractwa nasze, starają się odwlekać, zniweczać. Gdyby połowę sum, które żydzi nasi łożą na odparcie podawanej im oświaty, łożyć chcieli na rozkrzewienie jej, przebóg! jakże już szczęśliwym byłby stan Izraelitów polskich. Już byśmy oddawna nie byli w tej ciemnocie i pogardzie, w której dotąd żyjemy. Starał się

ząd polski o założenie porządnych szkół dla młodzieży naszej w Warszawie i po prowincjach, starał się o poczynienie dążących do dobra naszego reform; i cóż rząd ten od tyłu lat wskórał? Nakazują starsi nasi niezmierne, wymuszone składki, przesyłają znaczne sumy, żeby się od tego wykręcić, ledwie tyle dokazano, że w mieście około 30 tysięcy mieszkańców izraelskich liczącem, zawiązała się mała szkółka około 60 uczniów licząca, pod dozorem świątłego izraelity pana Tugendhold, i to, dla nieodstraszenia rodziców, wszystkie prawie nauki dawane są w niemieckim języku. Woli każda familja trzymać osobnego bakalarza, by nauczał dzieci jej niepotrzebnych w towarzyskiem życiu bałamuctw, niż za małą składkę na publiczne szkółki, widzieć też dzieci swoje nabywające prawdziwego światła i potrzebnych umiejętności ¹⁾).

Nie widzielibyśmy tu zapewne tyle oporu w żydach naszych, gdyby zamiar oświecenia ludu naszego zgodzić się mógł z widokami starszyny. Wierz mi, przyjacielu, nie jest lud nasz tak ciemnym, jak go wielu rozumie. Którzyż rodzice nie życzą sobie widzieć dzieci swych szczęśliwymi, i którzyż rodzice nie wiedzą, że nauka i dobre wychowanie prowadzi do szczęścia? Tysiące i tysiące rozsądnych czekają z utęsknieniem, by zbawienna w Izraelu nastąpiła reforma; i czegoż niedostaje? odwagi; bojaźń ściągnięcia na siebie okropnych prześladowań, przekleństw starszych, najświatlejszych w odrętwieniu trzyma. Są to przypadłe do ziemi przepiórki, które znając swą zgubę, chciałyby się

¹⁾ Nie dawno rząd chciał ustanowić szkółkę w Kaliszu; cóż starsi zrobili? rzucili kłatwę na każdego żyda, któryby dzieci swoje do szkółki tej posyłał; i uszło to.

porwać i ulecieć, lecz widok krążących nad sobą krogulców w trwożliwej trzyma je niemocy.

Jeżeli zatem masa ludu naszego, acz zna dobrze jazerzmo, którem go starsi tłoczą, nie ma jednak dosyć śmiałości, aby je skruszyć, czas jest aż nadto, by władza rządowa zamknąwszy przystęp wszelkim łudzeniom i zabiegom starszych żydowskich, sama silnie przedsięwzięła wielkie reformacji dzieło. Trzy są węgielne zasady, na których cała budowa reformacji opierać się powinna:

Zniesienie najzupełniejsze kahałów i bractw naszych, odebranie im wszelkiej władzy sądowniczej, przywłaszczonego prawa rozdzielania na innych podatków krajowych, wybierania składek, rzucania klątw, słowem, wszelkiej administracji policyjnej, cywilnej, ekonomicznej etc. etc.

Nie mieszając się w dogmata i obrządku pismem świętem przepisane, zakaz nauczania Talmudu, Myszny, Gammury, ksiąg kabalistycznych, i tych wszystkich, które komisja rządowa wyznań religijnych i oświecenia publicznego za psujące i szkodliwe uzna. Sławny Izraelita Friedlaender, piszący o reformie żydów polskich, tak się tłómaczy: „Szczególną baczność zwrócić należy na naukę Talmudu, na jego bowiem zniknięciu gruntuje się cała nadzieja reformy żydów polskich.“

Uczony nasz Zalkind Hurewicz w Apologii swojej w Metz napisanej, która odebrała premium w Paryżu, tak mówi: „Bardzoby się dobrze stało, by rząd zniósł rabinów, i to na zawsze, nie oni bowiem nie robią, tylko załatwiają skrupuły kuchenne, i inne zabobony.“ Aczkolwiek jest to prawdą, zabieży się temu, gdy jak w Austrii, rząd nas będzie egzaminował i postanawiał światłych rabinów. Będą oni zastępować miejsca wielkich kapłanów naszych, niech im pompa obrządków religijnych będzie ustanowioną, lecz

niech się w żaden sposób do rządów cywilnych nie mieszają.

Surowy zakaz, aby wszystkie miasta i miasteczka, w miarę ludności swojej, miały szkoły publiczne męskie i kobiece, do którychby rodzice pod ciężkimi pieniężnymi strofami dzieci swoje posyłać obowiązani byli. W szkołach tych nauka religji i dogmatów, przetłómaczona po polsku, przez żydów, inne zaś nauki również w narodowym języku, przez potwierdzonych od komisji żydów i chrześcijan dawane będą. Nauka moralna, język polski, pierwsze miejsce w tych szkołach mieć powinny.

Nie ma być wolno żadnemu żydowi przed rokiem 24-ym, żydówce zaś przed rokiem 18-tym, wstępować w śluby małżeńskie; śluby dawane być mają w obecności notaryuszów publicznych. Biorący się do nich, okazać powinni dowody, jakie mają rzemiosła, handel, jaki sposób do życia. Złożą także biorący się egzamen, jako umieją czytać i pisać po polsku; i naukę moralną. Przedniejsi uczeni ułożą liturgję i modlitwę w języku polskim, i w tym, a nie innym nabożeństwa po domach i bóżnicach odprawiać będą. Wszystkie księgi kupieckie w języku polskim utrzymywane być mają.

Jeżeli ustawy te ściśle i wiernie wykonywanemi będą, ufam, iż nie upłynie lat dwudziestu, odmieni się stan Izraelitów polskich, wyjdą z upodlenia, w którym dziś zostają, zajmą godne siebie miejsce w społeczeństwie ludzkim, śmiało się naówczas odezwą i łatwo otrzymają to obywatelstwo, to porównanie z drugimi w prawach i swobodach, o które dziś niegodni, nieprzygotowani, napróżno naprzykrzają się.

Niech się tylko nasi zajmą czytaniem dzieł świątłych współwyznawców swoich: Mendelsohna, Wessela, Ben Da-

wida, Friedlaendera, a z naszych polskich Majmona, Kalmansona, Zaklinda, Hurewicza, Wolfsohna, niech towarzyszą z pp. Hoge, Tugendholdem, a obrzydzą sobie baśnie i zabobony, któremi ich zbyt długo durzono, znienawidzą próżniactwo, szachrajstwo, skłonność dorabiania się lekko; pokochają rzetelność, poczciwość, pracę i tę enotę miłości bliźniego, którą wspólnie z chrześcijany przykazał im Pan Bóg, a wtenczas dopiero otrząsną się sami z szkodliwych im samym i krajowi nałogów. Zastanówmy się sami, czego rząd po nas wymaga, oto właśnie tego samego, do czegooby zdrowy rozum i światło doprowadziłoby nas dawno, gdyby nam magnaci nasi nie przeszkodzili. Chwyćmy się dobroczynnie podawanej nam ręki, a i sami ujrzymy się szczęśliwymi, i krajowi równie pożytecznymi jak dziś szkodliwymi jesteśmy¹⁾.

Nie mniemajmy, by w mieszkańcach polskich była niesprawiedliwa ku nam zawziętość i niechęć; tysiąc dowodów mógłbym ci przytoczyć, jak każdy Izraelita, który enotą, talentami, usługami swemi, przywiązaniem do kraju zalecić się umiał, jak każdy z nich był szanowanym, wywyższanym, nagradzanym. Nie idąc dalej, masz przykład w samym Kalmansonie. Miłośnik nauk, Stanisław August, zaszczycał go łaską i dobrodziejstwami swemi; panujący dziś król Aleksander hojnie go obdarzał, szacowali go i wspierali Polacy. Nie widzieliśmyż ziomka naszego Berka, jak odwagą i poświęceniem się za kraj wzniósł się do stopni wysokich w szeregach naszych. Rzadkim dowcipem obdarzony pan Stern z Hrubieszowa, nie zasiadaż w gronie uczonych, nie odbieraż szczególnych względów od monarchy i obywateli? Prawdziwie światły i uczony ziomek nasz

¹⁾ Patrz wyborne dziełko: „Co wstrzymuje reformę żydów.“

Hogge, Tugendhold, nie doznają od Polaków dowodów szacunku i poważania? Tak jest, zrzcemy się tylko wad i błędów naszych, i stańmy się godnemi szacunku, a szanowanemi będziemy.

O mój młody przyjacielu, jaką radością zalewa się serce moje na widok otwierającej się z odmian tych szczęśliwości przed nami. Zamiast tej nędznej czarnej rzeszy, zaciemniającej miasta i miasteczka nasze, widzę obywateli pracowitych, swobodnych, nieróżniących się ni strojem, ni mową, ni obyczajami od innych ziemi tej mieszkańców; uczciwością i pracą swoją wzbijają się oni, nie jak dziś w przemijającą tylko, lecz nie trwałą zamożność, światli, uleczeni z dzisiejszych wstydlivych zabobonów i przesądów, wierni prawdziwym przykazom Boga Najwyższego, powrócą oni dawny utracony blask i świetność zakonowi pańskiemu. Już widzę wznoszący się wpośród nas kościół Salomona, pobożna hojność polskich Izraelitów wzniesie go wspaniale, ozdobi go przepychem. Zakryją w niej bogate opony świętą skrzynię przymierza, stanie przed nią wielki kapłan, wonne kadzidła sypiąc Panu Zastępów, otoczą go w śnieżnych szatach wybrani Lewitowie, podnosząc święte hymny ludu całego, aż do mieszkania Boga nieba i ziemi.

Może być świątynia właściwsza wielkości Jehowy, jak był dom Boży Salomona? Ognomniejszy nad wszystkie gmachy dzisiejsze: ściany jego z marmurów lub cedru, złote blachy nietylko drzwi, lecz powlekały mury jego. Krocie kapłanów w białych szatach korzących się przed Bogiem, tysiące i tysiące ludu w koło napełniające wszystkie przystępy, hymny dobranych głosów i arf i lutni, te światła, te najdroższe wonie, napełniające powietrze, nadewszystko w głębi świątyni ten straszny ustęp, gdzie sam Bóg przebywał, do którego nikomu nie wolno było przystąpić

wszystko rzewnością i religijną trwogą przejmować musiało.

Może się mylę, ale przyjdzie czas, gdzie sami chrześcijańscy mocarze, zaprzestawszy gorszących między sobą pasowań i walek, w inną stronę oręż swój obróca, nie ścierpią, by ziemia, w której Zbawiciel ich rodził się, w której spoczywał, zostawała dłużej w ręku niewiernych. Odzyskają tę ziemię, pozwolą i nam powrócić do niej. — Raz może jeszcze odżyje pokolenie Dawida, raz jeszcze wrócą się dni świetnej pomyślności naszej, raz jeszcze spełnią się słowa króla tego (albowiem rzekł Dawid): *Dał odpocznienie Pan Bóg ludowi izraelskiemu i będzie mieszkał w Jeruzalem aż na wieki*. Bądźmyż więc enotą i światłem godnymi tak wielkich przeznaczeń. Gdybyśmy wracać mieli do ziemi Chananejskiej w tej ciemnocie, w tych zabobonach, w jakich nas dzisiaj trzymają talmudziści, wzdrygnęłyby się na widok nas wielkie cienie Abrahama, Izaaka i Jakóba, a Dawid i Salomon nigdyby nas za lud swój nie przyznali.

Dziwić się może będziesz, mój drogi przyjacielu, marnościom starca już grobu blizkiego, lecz wybaczysz mi, kiedy się zastanowisz, z jak czystego źródła pochodzą. Tak jest, widzieć lud Izraela szczęśliwym, nim mię Bóg do Ojców moich przyłączy, te są jedynie śluby starego Abrahama twego.

LIST XXII. — RACHEL DO SIÓRY.

Dnia 15-go Tamoz.

Żeby cię co prędzej z niepewności twojej uwolnić, kochana ma Sióro, żebyś się nie trapiła, żebyś nie posądzała Lejby twego, że on wiedząc już gdzie się znajdujesz, jeszcze

nie pośpieszył na twoją obronę, wolę ci całą prawdę odkryć. Powrócił posłaniec nasz, który jeździł z listem uwiadamiającym Lejbę o miejscu pobytu twego, lecz niestety! nie zastał go w Iłży. Tyle dowiedział się od gospodarza, u którego przemieszkiwał, iż narzeczony twój długo niespokojny, długo bezsenne dnie i nocy trawiący, nie mogąc znieść więcej męki z niewiadomości o losie twoim, oddalił się z Iłży, i jak mówią, do Galicyi się udał; zapewne fałszywa jaka, a może umyślnie udzielona mu wieść, że tam się znajdujesz, w tamte obróciła go strony. Jakkolwiek strapisz się tem, pamiętaj, że życie nasze z przeciwności się składa, pamiętaj, że miły sercu twojemu żyje, i wolnym jest, że przedsięwzięta podróż jego nowym jest dla ciebie dowodem, jak drogą mu jesteś, jak cię wszędy szuka, jak każda chwila bez ciebie życie nieznośnem mu czyni. Zachowa go Bóg dla ciebie i dla dobra ludu naszego: bodajbyśmy równie spokojnymi byli o ciebie, kochana przyjaciółko moja. Dziś właśnie upływa dzień, w którym egzamen z nauk talmudowych odprawić miałaś, w którym los twój rozstrzygniętym miał zostać. O jak na wspomnienie to silnie serce me bije, nie mogę sobie wystawić, abyś tyle bałamuctw i bajek nietylko pamięcią twą objąć, ale i zdrowym rozsądkiem twym pojąć mogła. A w tym przypadku ach cóż cię czeka, jak daleko ślepy fanatyzm posunąć się może! — Drzę cała, (zaklinam cię na strapioną matkę, na przyjaźń naszą, na miłość Lejby, dawaj znać, jakieś wyszła z niebezpiecznego położenia twego); gniew mój przeciw twoim prześladowcom, tak się daleko zapędza, iż nieraz złorzeczę całemu narodowi naszemu. Zgromił mię o to szanowny mój ojciec, słowa jego tak spokojną tchnęły mądrością, tak były bezstronne, iż muszę ci je wypisać jak

odpokutowanie za złorzeczenia, których się przeciw braciom
mym dopuściłam.

„Hamuj się, córko, rzekł mi sędziwy Abraham, że nie-
ludzki ojciec, że zagorzały fanatyk Jankiel, że kilku in-
nyce przesładują przyjaciółkę twoją, powstajesz, złorzeczysz
całemu narodowi twemu. Nie jest to ani przystojnie, ani
słusznie. Wierz mi, iż w liczbie uciśnionego ludu naszego
jest wielu uczciwych i światłych ludzi, którzy jęczą nad
fanatyzmem i poniżeniem, w którym ich magnaci nasi trzy-
mają, którzyby drogo okupili zniszczenie Talmudów i rabi-
nów, którzyby wiele poświęcili, by prawdziwe światło po-
zyskać. Wina nie jest we wszystkich, ale tylko w niewielu.
Ubolewać nad nimi, starać się, by błędy swe poznali, nie
zaś złorzeczyć im należy. Prawda, że świadkami będąc fa-
talnych skutków fanatyzmu, widząc tyle nieludzkości, takie
upodlenie braci naszych, nie można się nie unosić nad
nimi, lecz zważywszy w jakiej ciemnocie, w jakich wycho-
wani są przesądach, dziwić się należy, że nie są gorszymi.
Czytałaś wiele sprawiedliwych przeciw nam krytyk, lecz
ileż i przesadzonych; ileż wyrzucanych nam wad, błędów,
nie znajdziem i w chrześcijańskim ludzie. Oskarżają nas
o lenistwo, o chęć lekkich tylko zarobków, lecz zważmy,
możnaż nazwać Polaków miłośnikami pracy. Nienawidzi ją
bogaty i ubogi, przemysła tylko, jakby, uniknąwszy trudów,
żyć najswobodniej i najrozkoszniej. Można, potem tysiąca
kmieci zebrane złoto rozsypuje za granicą na lekkomyślne
marności, sam stawszy się obcym, w obcej mowie wycho-
wuje swe dzieci. Szlachcic na kilku zrodzony zagonach,
wstydzi się porwać leziesz niepodległą ręką, szukać w ziemi
swobody i mienia, udaje się do miasta, by jakąkolwiek
otrzymać funkoją, poigrać piórkiem przez parę godzin, re-
szczę czasu w głańsowanych butach i modnym fraku, pędzić

na teatrach, bilardach, redutach. Ludzie średniego stanu, jeśli wygrają w loteryj, lub innym sposobem przyjdą do grosza jakiego, zamiast udania się do roli, lub przedsięwzięcia użytecznej jakiej rękodzielni, nie znają innej zabawy, jak udać się do szynków, bilardów i doróżek? bo tam dobrze hulać, a mało pracować można. Pójdźmyż do rzemieślników; napróżno chleb, mięso i piwo tanieją, napróżno uwalniają ich od tak uciążliwych niegdyś gwardji narodowych, ceny krawców, szewców, kowalów i t. d. i t. d. są zawsze niezmiernie wysokie, tak dalece, iż dosyć, by czeladnik popracował trzy dni, a już za to bezpiecznie resztę tygodnia hulać może, jako też i hula, robota zalega, potrzebujący czeka; a dozór zwierzchni nie na to nie zważa.

„Wieśniacy nawet zniecierli rolę, i do miast cisną się; wznoszące się tak licznie w stolicy gmachy, dają im sposobność obfitych zarobków, tak, że mularz 5 i 6 złt. zarabia, zapewne nikt za złe nie weźmie, że pracujący dostаточно jest zapłaconym, lecz jakaż jest praca najemnika tego.

„Ileż na rusztowaniach odpoczywań, konwersji, żartów i igraszek: dzieło mogące się zrobić w tygodniu, ciągnie się przez miesiąc cały, a dom mający trwać wieki, nieraz zawala się przed dokończeniem. Wyrzucają nam i sprawiedliwie, żądzą oszukiwania na wszystkim, przynajmniej, że nam Talmudziści nasi dają do tego dyspensę, lecz chrześcijaństwo, których religija tak jest moralną i ludzką, czyż zawsze są najlepszymi? Błahy przykład dowiedzie, jak niemoralność tego gatunku przeniosła się do klas najniższych; stawię ci sto talarów nagrody, jeśli mi kupisz od mleczarki kwartę mleka, w którejby nie było wody, jeśli mi dostaniesz garnuszek śmietanki, któraby zaprawną mąką, drobnymi krupkami, lub zółtkiem od jaja nie była. Niemoralność więc, chciwość lekkiego zarobku, wstręt do pracy nie

w nas się jednych znajdują. Próżność i żądza wynoszenia się nad stan swój, pospolitszemi są gdzieindziej, jak u nas, i ztąd tyle kradzieży, które, by odkryto, nie ma prawie przykładu. Rzemieślniczki, zamiast kształcenia się, jak być dobrimi gospodyniami, żonami, matkami, przechodzą się w jedwabiaczki, a córki ich włoskie arje śpiewają. Przywary innych nie usprawiedliwiają naszych, nie złorzeczmy sobie, lecz starajmy się wady te poprawić, ufajmy, że mimo tylu przeszkód, poprawimy się w ciemnocie i upodleniu naszym; nie zgasły wszystkie cnoty w sercu Izraelity. Jest on litościwym na nędzę bliźniego, posłusznym dla zwierzchnych, wdzięcznym za dobrodziejstwa; ulecz go z przesądów, daj światło, a zrówna się z innymi.“

Takie były upominania ojca mojego, silniejsze zapewne uczyniłyby na mnie wrażenie, gdyby nie ustawnie powstająca myśl, że ty w niebezpieczeństwie od tych zagrażałych Zelotów.

Nie chcę dłuższem pisaniem zatrzymywać cię więcej, odsyłam co prędzej poczciwego Karaima, z obietnicą znacznej nagrody, jeśli mi o tobie pomyślą przywiezie wiadomość. Bądź zdrowa, luba ma Sióro; jeśli ci miłemi jesteśmy, jeśli masz wzgląd na srogię niespokojności nasze, daj co prędzej wiedzieć o sobie.

LIST XXIII. — SIÓRA DO RACHEL.

Dnia 25-go Tamoz.

Czemuż nie mogę dodać skrzydeł postaćowi temu, żeby co rychlej zaspokoił tkliwą twę o mnie troskliwość. Tyle smutnych i pocieszających razem wieści przychodzi mi udzielać, tak jestem pomięszaną tem gwałtownem przejściem z okropnych cierpień do słodkiej swobody, iż ledwie mam

dosyć siły, by ci zebrać rozerwane myśli, i ciąg ostatnich przygód moich choć pokrótce opisać.

Nie darmo lękało się serce twoje fatalnego dnia, w którym losy twej przyjaciółki rozstrzygnąć się miały. Nadszedł on nakoniec w okropnych oznakach, niż kiedy spodziewać się ich mogłam. Sądziłam, iż z samym tylko nauczycielem moim Aronem czynić mi przyjdzie, lecz sądz o przestרחu, o osłupieniu mojem, gdy wyprowadzona z komory do izby, spostrzegłam oprócz Arona i ojca mego, obrzydłego Jankiela.

Na widok ten ścięła się krew w żyłach moich, zemdlona padłam na ziemię.

Stan ten zdał się zmięczyć serce ojca mego, powrócona bowiem do zmysłów, ujrzałam go przy sobie, cieszącego mię i zaklinającego, bym się nie lękała. Ach, jak silnym jest głos ojca na serce córki! Powróciłam do przytomności, dano mi do orzeźwienia kieliszek wina; Jankiel, zmrużywszy oczki swoje, zaczął się zżymać tak pociesznie, iż okropność tylko położenia mego wstrzymała mię od śmiechu. Głosem potem jak tylko mógł najłagodniejszym, uczynił mi naprzód zapytanie z dzieła Zoar o literze B, od której zaczynają się księgi Mojżesza *Barajszyt*. Odpowiedziałam mu, że litera ta nie jest lepszą od innych liter alfabetu. Tu Jankiel jął niezmiernie mrugać oczyma, obróciwszy się potem do Arona, „nie tłómaczyłeś jej, zawołał, tajemnicy, jakie kabaliści nasi w literach znajdują?“ „Tłómaczyłem obszernie“, odpowiedział Aron. „Przeczytajże to jej raz jeszcze.“ Wziął więc Aron księgę *Jalku Szymoni*, i czytał: „Przyszły litery alfabetu do Boga, i każda z nich prosiła, aby Bóg przez nią świat stworzył.“ *Othio Rabi Akiwa* dodaje: „Bóg często z obydwu literami, wielkiem M i małym m rozmawiał, brał je w ręce, całował, a one

obydwie przed Bogiem ślicznie śpiewały.“ Jankiel spojrzął na mnie, i po jakimś czasie znowu zapytał: „Gdy w nocy Szabasu zapala się świeca, cóż się wtenczas dzieje?“ Uradowana tak łatwym zapytaniem, odpowiedziałam, „jasność się rozchodzi po całej izbie.“ „O nieumiejętna! krzyknął Jankiel; po całej izbie? Jasność tej świecy rozlewa światło po wszystkich światach.“ To mówiąc, przeczytał potwierdzoną wielką tę prawdę Zoar. „Co znaczy, zapytał dalej, błogosławieństwo nad puharem wina?“ „Znaczy życzenie, odpowiedziałam, żeby było pijącemu na zdrowie.“ „Znaczy połączenie atrybutów Boga, zawołał *Abbe Weima*, ojca i matki.“ „Jak duży będzie kubek Dawida na przyszłym świecie?“ zapytał Jankiel.... Zamilkłam.... Wziął więc Jankiel talmud i czytał traktat Joma fol. 76.: „Kubek Dawida na przyszłym świecie będzie zawierał 321 logów, a log jeden trzyma w sobie sześć pełnych skorup od jaja.“ Cóż to jest *Bariuchne*? Zamilkłam.... „Jest to, rzekł Jankiel, podług traktatu talmudu, Bechoroth, fol. 57., ptak, z którego gniazda, gdy raz jaje wypadło i rozbiło się, miętkiem i żółtkiem swoim zalało sześćdziesiąt wsi i zgruchotało trzysta drzew cedrowych.“ „Czemuz, spytał znów, nie wolno jest w szabas rozwiązać węzła od cycele?“ Gdym długo milczała, rzekł Jankiel: „Widzę, że nie nie umiesz: — dla tego, że przez to rozwiązanie rozłączają się ogniwa spajające Boga ze światem.“ Gdy wiele jeszcze nierównie dzikszych czyni mi zapytań, na które nie wiedziałam, co odpowiedzieć. „Naprawdę byłaby dalsza praca“, rzekł Jankiel, i kazał odprowadzić mnie do komory. Zważ, jak mi serce biło, jak długimi zdały mi się chwile, przez które sędziowie moi naradzali się nad losem moim.

Już noc zapadła, gdy ojciec mój wszedł do komory: „Próżnem, widzę, było pobłazanie nasze, rzekł mi, nie

umiałaś korzystać z dozwolonego ci do poprawy czasu; odrzucałaś ustaw naszych naukę, nie nie umiesz i umieć nie chcesz.“ „Ach ojcze! zawołałam, jakież to są nauki? Jak mogę rozumieć, jak mogę wierzyć, by jedna świeczka szabasowa, oświecać mogła cały świat, by rozwiązanie jednego cycele niszczyć miało ogniwa wiążące Boga z ludźmi.“ „Milez, przerwał ojciec mój z gniewem, nie do ciebie rozważać, czy rzecz jest podobną do prawdy, czy zgadza się z zdrowym rozsądkiem; do ciebie ślepo wierzyć w to, co Talmud i kabalisci nasi za artykuły wiary podali; do ciebie wierzyć, że nie religja dla człowieka, ale człowiek dla religji stworzony. Najdrobniejszy czyn jego wykonany według tego zdania, stwarza i uporządnia niezliczone światy, albo też je psuje i niszczy. Gdybyś była pospolitą niewiastą, nie uczonoby cię więcej, jak inne żydówki, to jest bardzo mało; ale żeś się tak zuchwale przeciw zdaniom mędrców i rabinów naszych oświadczyła, nie było innego sposobu uleczyć cię z niedowiarstwa twojego, jak dać ci czytać te księgi, dać ci poznać w samych źródłach, jak daleko błądzisz i grzeszysz. Lecz dosyć o tem, zasłużyłaś na najsrozsze katusze, na śmierć nawet, jeden tylko ci zostaje sposób ujęcia tych katusz, pozostania przy życiu, być szczęśliwą, poważaną, wielbioną, a sposób ten jest, dać rękę twą najpierwszemu z żydów, to jest Jankielowi...“ Gdy skończył te słowa, zdało mi się, iż Bóg Wszechmocny natchnął mię mężstwem Debory. „Ojcze! rzekłam, jeśli ten tylko pozostaje sposób wybawienia mię od katusz, rozkaż, niech wraz będę na nie wydana.“ Tu ojciec mój zatrząsł się z gniewu, wyszedł, drzwi za sobą zatrzasnąwszy.

Jak już skazana na śmierć ofiara, spełnienia jej czekałam, dochodziły mnie niewyraźne głosy spierających się z sobą sędziów moich, pisk przeraźliwy Jankiela wznosił

się nad inne: wkrótce ucichło wszystko, kołatanie tylko wyjeżdżającego ze stajni wozu słyszeć się dało. Już była północ, gdy przyszedł Aron, i wzięwszy mnie za rękę, krętemi uliczkami zaprowadził do niewielkiej izby, którą wkrótce uznała, że była więzieniem: trochę słomy na posłanie, stołek, dzbanek wody i kawał chleba czarnego, te były opłakanego miejsca tego jedynymi sprzętami. Tak byłam przez poprzedzający dzień udręczoną, iż rzuciłam się na słomę, wkrótce ogarnął mnie sen głęboki, nazajutrz już słońce było wysoko, gdym się przebudziła. Światłość tej gwiazdy niebios dała mi poznać całą okropność położenia mego. Ileż razy z tej ciemnej turmy myśli moje sięgały i ciebie i matki mojej i drogiego oblubieńca mego: nie wiedzą, mówiałam sobie, co ich Sióra ponosi. Ach! nie wiesz, co to jest, nie widzieć błękitu nieba, ni całej piękności natury, kryształów wód jej, zieloności gajów, nie słyszeć śpiewania ptasząt! I coż wśród tylu smutków i strapień, utrzymać przy życiu, pocieszyć nawet może? Oto jedna czystość i niewinność sumienia, to niewinne sumienie jest diamentową tarczą, o którą rozbijają się ostre groty prześladowania. To mnie wstrzymywało jedynie; nieraz przypominałam sobie te słowa pisma św.: *„Będziesz szukał Boga w sercu twojem, gdy ucisk przyjdzie na ciebie.”*

Już mijał drugi tydzień uwięzienia mego, gdy przez małą czeluść w ścianie ujrzałam złoty piękny kabriolet, zatrzymujący się przed turmą moją. Siedziała w nim młoda ładna panna, którą zdało mi się, że kiedyś widziała, obok niej przystojny młodzieniec. „Słyszałem, rzekł ten ostatni, że zamknięta tu młoda żydówka ma na szyi rzadki polski medal, chciałbym go widzieć, a jeśli można, i kupić.” „Jest to występna dziewczyna“, odezwał się właśnie na to nadbiegający Aron zadyszał. „To nie nie przeszkadza, rzekł

młody pan, bym medalu tego widzieć nie mógł, pokaż mi go zaraz.“ Aron nie mogąc się oprzeć synowi dziedzica miasteczka tego, gdyż takim był, jakem się później dowiedziała, młody Tenczyński, chcąc nie chcąc, otworzyć musiał moją turmę, z tem wszystkim tak starał się ją otwierać, żeby postać moja jak najmniej mogła być widziana, lecz cóż się ukryje przed ciekawością kobiety? Panna owa tak się wychyliła z powozu, iż mię postrzegła, i wraz zawołała dużo zepsutą polszczyzną: „gdzieś pono widziałam tie ziduweskę“, nie zrozumiałam dalej, bo mówiła po francuzku do brata, ten zaś wraz wyprowadzić mię rozkazał, a gdy się przypatrywał odjętemu mi z szyi medalowi, „ach! zawołała panna, *w Mezonie ojciec twój, nocowałam w Radziwilów, i poznałam tobie.*“ Jakoż w rzeczy samej, i ja przypomniałam ją sobie, ona to zgubiła była ową obrączkę, ona tak wiele i tak łaskawie rozmawiała ze mną. Patrząc dalej na mnie okiem, w którym się najtkliwsza malowała litość, rzekła: „jakeś blada, jak miserable, cóżeś zrobiła?“ Rzewny łez potok był jedyną odpowiedzią moją. Przez ten czas już młody ów pan dosyć się przypatrzył medalowi. Odpowiedziałam, że to był dar ojca mego, i że mi go nie wolno zbywać.

Wtenczas dopiero Tenczyński postrzegł mię, i z zadziwieniem długo oczy we mnie mając wlepione, mówił do siostry w słowach, które były nadto dla mnie pochlebne, bym je mogła powtarzać. „Zkądże jest to dziewczę“, zapytał Arona? — „z Radziwiłowa.“ „Nie jestze ona przypadkiem córką Moszka?“ — „Nie inaczej.“ „Ach! zawołał, jest to narzeczona współuczniacza mego Lejby, równie zapewne jak on prześladowana niewinnie.“ „Słuchaj, rzekł z powagą Tenczyński do Arona, dziewczynę tę biorę do domu matki mojej, wywiem się o jej sprawowaniu, jeśli jest przestępną,

odpowie przed sądem krajowym, jeśli niesprawiedliwie katowaliście ją, wy odpowiecie przed nim.“ Zaczął Aron coś bełkotać trwożliwie o ojcu moim, o mych przestępstwach przeciw zakonowi; Tenczyński, nie słuchając co mówił, rozkazał służącemu, by mi podał rękę, i na przodzie powozu posadził.

Odurzona tem wszystkiem, nie wiedziałam, co się ze mną dzieje, gdy pojazd pędem ruszył z miejsca; przejeżdżając przez miasteczko, widziałam w czwał lejące żydowstwo, wrzeszczące: *Ay wey, Ay wey, Sióra ist entführt.*

Przez drogę, która nie była długą, sądzę, że młode państwo rozmawiało o mnie, często z łagodnym spozierając na mnie uśmiechem. Wkrótce wjechaliśmy na obszerny dziedziniec, w głębi którego wznosił się zamek ogromny; młoda panna iść mi za sobą kazała. Po białych marmurowych schodach weszliśmy na pierwsze piętro, otworzyły się podwoje... Jakże ci opiszę zadziwienie moje! ten tłum galonowych służących, ten ciąg wspaniałych komnat, te malowania, te spiże, te błyszczące kryształ, pozbawiły mnie ostatka przytomności. Nie wiedziałam prawdziwie, gdzie jestem, co się ze mną dzieje, gdym się raptem ujrzała przed panią domu. Nie wiem, co młodzi oswobodziciele moi rzekli do niej po francuzku; zapytała o przyczynę prześladowania mego, odpowiedziałam z pokorą i rzetelnością, a pamiętna uszanowania dla ojca, nie chcąc ściągnąć zemsty na prześladowców, zataiłam połowę cierpień moich. *Pauvre enfant*, rzekła pani domu, zadzwoniła natychmiast; i coś po francuzku poszepnęła do służącej. Czystość i chędoztwo były pierwszym od młodości mej staraniem, najszerszą męką w czasie uwięzienia mego było, że się pozbawioną widziała tej miłej, tej nieodbitej pomocy; sądz, jaką przyjemnością stały się kąpiel i czysta bielizna. Wkrótce młoda

panna, ten prawdziwie anioł dobroci, przyniosła dwie pary własnych sukień, i co tylko do żeńskiego należało ubioru. W godzinę czasu taka się stała ze mną odmiana, iżbyś była nie poznała Sióry twojej i łatwo, gdyż ja prawdziwie, nietylko nie poznaję się w ubiorze, lecz bardziej jeszcze w położeniu mojem. Co za niepojęta odmiana! widzieć się w mgnieniu oka przeniesioną z ciemnej turyny do gmachów wspaniałych, zamiast ciężkich strofowań i fuków, słyszeć głos przychylności i ubolewania. Ach! Rachel moja, to zbyt wiele dla tkliwego serca mojego. Dwa dni odpoczynku nie uspokoiły jeszcze obłąkanych myśli moich. Promień jednak nadziei zaczyna wchodzić w zboląłą mą duszę. Bóg ojców naszych, doświadczywszy mię dowolnie, podał mi rękę, i nie ubliży jej więcej. Niepodobna mi pisać dłużej: co się dalej stanie ze mną, nie omieszkam ci donieść, teraz z szczęśliwą wieścią oswobodzenia mego wysyłam gońca co rychlej, uśmierz więc, kochana przyjaciółko, niespokojności twoje, daj wiedzieć potajemnie matce mojej, żeż żywa, żeż wolna, zaklinam nie zapomnij o Lejbie.

LIST XXIV. — JANKIEL DO RABINA.

W Berdyczewie, dnia 15-go Tamoz.

Nie zgadłemże, nie mówiłem, nie przestrzegałem, Sióra niegodna, przeklęta Sióra, już jest w ręku Goimów, je świnię z jednego z nimi półmiska, już z jednej szklanki pije z nimi trefne wina i wodę. O Myszno, o Gamuro, potężne tajemnice kabały, o wy rabini, o wy wszystkie bractwa starszych, znieścież podobne zgorzenie i wzgardę! Takie są skutki pobłażania, nie pójścia za rady mojemu, mówiłem dawniej, mówiłem, gdy ostatni raz, po pilnem nauczaniu, w najważniejszych ustawach naszych tak nieuczyną znalazł,

mówiłem, żeby ją zaraz sekretnie sprzątnąć ze świata, przemożło winowajcze pobłażanie, rozumiano, że zamknięcie jej w ciupie upamięta piekielną jej zaciętość. Widzicie, jak upamiętało, przebywa między Moabitami, Hetejczykami i Jebujejczykami, co mówię, już się Bogom ich kłania!

Nie posiadam się w gniewie i zniewadze mojej, wiem ja, że ciężko dosięgnąć nam przestępnej: lecz potrzebny przykład w Izraelu, potrzeba, by lud cały wiedział, że ci, co wstrzymują kary na winowajców, sami kar tych godnymi się stają. Wiecież, co w książce Othiot Rabi Akiwa fol. 23. jest napisano o bluźniących Izraelitom: „Żeby ich (mówi on) wyrosną im na dwadzieścia i dwa łokcie.“ Na mocy więc najwyższej mojej Chassidimów władzy, rzucam wszystkie trzy rodzaje klątwy, *Niddui*, *Cherem* i *Schamatha*, najprzód na samą Siórę, dalej na ojca jej Moszka, że ją tak niegodziwie wychował, i po tylu zbrodniach karę jej przewlekał, dalej na zwodziciela jej niewiernego Lejbę, na Arona, który ją uwieźć dozwolił, na Rachel, przewrotną Sióry przyjaciółkę, na gorszącego zakon cały ojca jej Abrahama, nakoniec na Chaima, sługę Moszki, który listy Sióry do wyklętego Lejby przewoził, i śmiał się uskarzać na składki kahałowe. Zapowiadam, iż ci wszyscy, którzyby się dotykali, mówili, lub najmniejszą społeczność z tymi przeklętymi mieć odważyli się, równie przeklętymi jak oni zostaną, nie żartujcie ze mną, jak się rozgniewam, gotowem wszystkich żydów, ile ich tylko jest, wykląć na wieki. Nakazuję, by niniejsza klątwa w Radziwiłłowie i po wszystkich bóżnicach była czytana, i do drzwi przybita. Taką jest wola nasza. — Biada temu, kto się jej przeciwie zechce.

Jankiel,

Najwyższy Kapłan Chassidimów.

LIST XXV. — SIÓRA DO RACHEL.

Dnia 30-go Tamoz.

Coraz bardziej nadzwyczajne wiadomości odbierać będziesz odemnie, luba Rachel moja! Świat, wpośród którego mieszkam, wszystko, na co tu patrzę, obejście, jakie od państwa tutejszego doznaję, osobliwsze i tutaj przygody, jak dla mnie, tak i dla ciebie będą nowemi, niepojętemi prawie. Ujrzysz, że szczęśliwy byt mój (jeśli bez matki, bez Lejby mego i bez ciebie szczęśliwą nazwać się mogę), ujrzysz, mówię, że byt ten nie wygładza was z pamięci mojej, że w złej czy dobrej doli, zawsze sercu memu obecnymi jesteście, zawsze to serce wszystko z wami dzielić pragnie.

W ostatnim liście ledwie ci mogła skreślić pokrótce nadzwyczajną zmianę losu mojego, spokojniejsza dzisiaj dokładniej ci opiszę pobyt, życie i zatrudnienia moje w tym domu.

A naprzód ubrana w czyste suknie i zaprowadzona do pani domu tego, sprawiłam zadziwienie, które (przypiszesz to może kobiecej próżności), jak mi się zdało, było dla mnie pochlebne, po niejakiem milczeniu rzekła pani słowa, które nie wiem co znaczą, *délicieuse créature*: i syn i córka poglądali na mnie z prawdziwą przychylnością; pierwszy raz oddawna żywy rumieniec wystąpił na bladą twarz moją. Zaczęły się znów tysiączne pytania, lecz, że pani tutejsza i córka jej, są podobno cudzoziemkami, gdyż niezrozumiale bardzo mówią po polsku, syn stał się między mną a niemi tłumaczem. Prawdziwie, że z największą grzecznością i słodyczą obowiązek ten wykonał.

Odpowiadałam skromnie, pilnie unikając wszystkiego, coby prześladowców moich mogło narazić. Dano mi osobny

pokój niedaleko panny Amelji, córki domu, niewymownie przychylniej do mnie. Edmund, brat jej, a przyjaciel Lejby mego, przyrzekł, że go wszędzie szukać rozkaże, a tymczasem rzekł mi: „Sara zabawi się z nami, będziem się starać, by w domu naszym zapomniała długo ponoszonych cierpień.“ Jakoż w dzisiejszem położeniu mojem nie można być szczęśliwszą. Wiesz, że Lejba mój mało co nauczył mię francuzkiego języka. Jednej więc doznaję nieprzyjemności, a ta jest, iż oprócz młodego pana, mało kogo zrozumieć, i od nikogo zrozumianą być nie mogę.

Nie jest pani domu tego cudzoziemką (jakem rozumiała z początku), i owszem rodziła się w Polsce i jest rodu Herburtów, ale niepojętą zdrożnością wychowana przez kobietę francuzką, z dzieciństwa otoczona będąc samymi cudzoziemcami, przejęła od nich wstręt do mowy i obyczajów ojczystych; co więcej, większą część życia za granicą strawiła. Paryż, Wiedeń, Berlin, Rzym, wszystko jej było miłem, byle nie Polska. Mówią, iż zeszyły już szanowny mąż jej, wielce się trapił tym niepojętym szaleństwem małżonki swojej, że się atoli uparł, by przynajmniej jedyny syn jego chował się po polsku. Jakoż nie można być gorliwszym od niego o wszystko, co się tyczy dobra i chwały narodu. Właśnie on zakończył akademickie nauki, bardzo jest kochanym od matki, która na prośby i przekładania jego wielce już w przesądach swoich przeciw mowie ojczystej zwolniła, zezwoliła nawet, by córka jej doskonaliła się w tej mowie. Ze brat jej licznemi domu interesami zajęty jest całkiem, że zaczął zrzucać klitki w mieście i nowe budować domy, wieszże na kogo obowiązek nauczyciela spada: oto na niegodną sługę twoją. Tak jest, ja Sióra, ja niegodna żydówka, hrabiankę polską uczę ojczystego jej języka. *Mlle Saint Fard*, francuzka, guwernantka konteski, wielce jest

tem zgorzszą, lecz ja kontenta jestem z mojej wychowawnicy. Czytamy dzieje polskie, dzieje Naruszewicza, Śniadeckiego, Krasickiego, nadewszystko wyborne i wielce użyteczne dzieła jpanny Tańskiej. Nieraz unosimy się nad rymami Koźmiana, Osińskiego i Morawskiego. Tragedje Fellińskiego i Kropińskiego mile nas zachwycają. Często Edmund bierze książkę z rąk moich i piękniejsze sceny sam czyta; ach jakże w deklamacji jego mowa polska wdzięczną mi się wydaje, nie można czytać, ni lepiej, ni tkliej.

Nie wiem, co się to znaczy, nieraz czytając miejsca najczulsze, piękne swe oczy czarne podnosi na mnie i znów z zapłoniem i smutkiem spuszcza je na dół.

Wczoraj znalazł mię przypadkiem samą jedną w sali, przysunął stołek: „jakże się piękna Sara w domu naszym znajduje?“ zapytał. „Ach, możnaż nie być szczęśliwą, odpowiedziałam, między tymi, którym tyle jestem winną, którzy mię odrzuconą, prześladowaną, z taką ludzkością przyjęli, z taką dobrocią nie przestają traktować“; tu mówiącej rzewne łzy puściły się z oczu. Do łez także poruszony Edmund, „ach! luba Saro, zawołał, żebyś wiedziała, jak miło nam jest mieć ją w domu naszym, uwierzyłybyś, iż nie ty nam, lecz my tobie wdzięczni jesteśmy. Możeż być, przydał z przytłumionym głosem, rzewniejszy widok dla serca tkliego, jak piękność i dobroć, prześladowane niewinnie“; tu wziął rękę moją i ściskając ją, rzekł po cichu: *ach! czemuż nie jestem żydem!*

Te słowa z najgłębszem wyrzeczone uczuciem, przejęły mię do żywego, tak byłam niemi dotkniętą, tak Edmund był pięknym, iż wyznać ci muszę szczerze, że w pierwszym momencie pomyślałam sobie: ach! czemuż nie jesteś żydem; lecz natychmiast obraz słodkiego Lejbele mego

stanął mi w umyśle. „Zapominasz się, panie, rzekłam mu, nie jesteśmy stworzeni dla siebie; nadto wiesz, że serce moje innemu już oddanem jest.“ To mówiąc, wstałam i odeszłam.

Od tej chwili zupełną widzę w Edmundzie odmianę: wesóły, lubiący mówić z dowcipem i przyjemnością, stał się smętnym, zamyślonym, milczącym. Stroni odemnie, od matki nawet i siostry. Ciemne zwierzyńca tutejsze ustępy stały się najmilszym dla niego schronieniem.

Przypuścić nie mogę do myśli, żeby młodzieniec urodzeniem, bogactwy, urodą, celujący nad tyłu innych w kraju swoim, mógł się tak daleko zapomnieć. O przyjaciółko moja! jestże to już niezbędnem przeznaczeniem Sióry twojej nieść niepokój w każdy dom, do którego się schroni? Zbyt jest widoczną ta odmiana w Edmundzie, by ujść mogła przenikliwych oczu guwernantki tutejszej, pani *du Fard*, tem bardziej, że nie ukrywa się bynajmniej z żywą nader skłonnością swoją dla Edmunda: od niejakiego czasu więcej jeszcze chudą twarz swoją tynkuje bielidłem i czerwienidłem, więcej jeszcze sznuruje usta, przymruża oczki; i ukosem z nich ogniste promienie rzuca na Edmunda; a że oczkowania te, tarczą zimnej obojętności odrzucane są przez młodzieńca, nie wiem dla czego podobało się tej pani mnie to przypisać. Ztąd ustawiczne złośliwe przekąsy, niewczesne zarty, przymówki, w oczach nawet matki: wczoraj, gdy rodzina cała powróciła z kaplicy i zasiadła w pokoju, w którym ja czytałam, Amelja zaczęła się unosić nad pięknnością ewangelji, którą właśnie słyszała, wszyscy przytomni do uwielbienia jej uwielbienia swe przydali, jeden Edmund, jak zawsze, w głębokiem został milczeniu. „Monsieur le comte, rzekła pani *du Fard*, nie nie mówi: oddawna postrzegamy, że przekłada stary testament nad nowy....“ Tu

śmiejąc się do rozpuku, iskrawe spojrzenia swoje rzuciła raz na mnie i znów na Edmunda; obudzony słowy temi i śmiechem młodzieniec, „żarty wmpani, rzekł, są wcale niewczesne.“ „Zkądże, przydała pani hrabina matka, takie nedorzeczności weszły w głowę wmpani?“ Zbita temi słowy, Francuzka pohamowała się odtąd w dowcipnych przyczynkach swoich, lecz niechęć jej ku mnie, jeżeli można, powiększyła się jeszcze.

Lecz nie tu koniec osobliwszych wypadków; Amelja, której przychylność ku mnie coraz się bardziej powiększa, nowych dla mnie kłopotów niewinną staje się przyczyną.

Po obiedzie zawołała mię do ogrodu z sobą, gdyśmy się znalazły pod wiekuistym dębowym szpalerem; „jak mi jest miłem, rzekła, towarzystwo twoje, luba ma Saro! lecz z jakąż żalnością przeglądam chwile, w których nam rozstać się przyjdzie;“ tu długo ubolewając nad szalem cudzoziemczyzny, w której ją wychowują, nad niepojętem zdarzeniem, że ona Polka od żydówki uczyła się po polsku, „oddawna mam projekt, rzekła, który ci dzisiaj powierzyć muszę. Patrz, jak zgodne są dusze nasze, jak zgodny sposób myślenia, uczucia, jak podobne humory: stworzone jesteśmy, byśmy się nie dzieliły nigdy, czemuż rozdziela nas najważniejsza ze wszystkich różnic, różnica wiary, moja Saro kochana. Masz nadto światła, nadto doświadczenia, nadto uwagi, byś nie wiedziała, iż moja wiara na moralności, miłości bliźniego, umiłowaniu cnoty zagruntowana, wyższą, lepszą być musi, nad wiarę waszą, wiarę tylu błędami ludzkimi przeistoczoną, przyjmującą nieraz za prawdę to, na co oburza się rozum, wzdryga serce uczciwe; nikt tego więcej nie doznał, jak ty, przyjaciółko moja, ty, coś nieludzkich prześladowań tak długo i tak smutnem była igrzyskiem. Ach! stań się chrześcijanką, niechaj te święte

zdroje, co ci dać mają zbawienie, spoją na wieki nierozrwanej przyjaźni naszej ogniwa.“ Tu wlepiwszy oczy we mnie, zamilkła. „Pani, rzekłam, to co mówisz, nowym jest dowodem przychylności twej dla mnie. Nie zaprzeczam, że zabobony i niedorzeczności, któremi skazono święte słowa Boga naszego, oburzyły mię nieraz, ale w największym uczęsku wołałam do Boga tego, aby prześladowców moich, aby lud nasz cały oświecił, powrócił go do prawej drogi zakonu naszego. Nie tracę nadziei, że się Jehowa zlituje nad niegdyś ulubionym, wybranym ludem swoim; póki światło jego nie zabłyśnie w sercu mojem, pozwól, że się zostanę w wierze, w której Bóg dał mi się rodzić: mogłabym być spokojną, szczęśliwą, gdybym ściągnęła na siebie przekleństwo ojca i matki mojej, mogłabym być szczęśliwą, gdybym zerwała te śluby, które mię od młodości spoily z drogim oblubieńcem serca mego...“ „Jakże smutną dajesz mi odpowiedź, rzekła posepnie Amelja, jakże się nią zmartwi dobry brat mój, lecz nie tracę nadziei!“ Ścisnęłam ją za rękę.

Cóż mówisz o tej propozycji, kochana Rachel moja, udziel jej szanownemu ojcu twemu Abrahamowi, jakkolwiek bądź są w rzeczy tej i myśli i uczucia moje, zbyt jest rzecz ta ważną, bym jej nie poddała pod zdanie światlejszych odemnie. Aż do ich wyroku zachowuję ściśle, co w prawie Mojżesza jest przepisaniem. Wstrzymuję się od wszelkiej pracy w szabas, nie jem świniny, ani tknę się zwierzęcia, co nie ma rozdzielonego kopyta, unikam ryb nie mających łuski. Powiedz to matce mojej. Cóż robi strapiona, doszłaż już wieść do was o cudownem uwolnieniu mojem, jakież skutek na zapaleńcach sprawiła? Macież wiadomość o kochanym Lejbie moim, młody hrabia tutejszy we wszystkie strony rozesłał za nim na zwiady.

Zdaje się być nieco spokojniejszy, tkliwość i smutek malują się w oczach jego, lecz starannie ucieka odemnie. Bodajby Lejba przybył co prędzej, ach, jakże miłą będzie obecność jego, jak jego rozum, światło i czynność pomocnikami staną się dla nas! Jużym oddawna powinna była mieć listy od ciebie, czemuż ich nie odbieram, zmniejszyły się przeszkody, zasłóż co straszego, nieprzewidzianego wpośród was? Ach, pisz co prędzej kochana przyjaciółko moja.

P. S. Słyszac tu ustawną francuzczyznę, wielki w tym języku czynię postępki.

LIST XXVI. — TENCZYŃSKI DO LEJBY.

Dnia 31-go Tamoz.

Powrócił nakoniec wysłany goniec za tobą, przywiózł mi list twój, kochany mój współuczniu; gdzie cię zdradliwie poddawane wieści uwiodły? Szukałeś Sióry twojej po Galicji wtenczas, gdy ona jest już z nami. Ileż przygód od czasu, w którym nie widzieliśmy się z sobą, któżby był powiedział, gdyśmy się z sobą razem uczyli, gdyśmy z sobą chemiczne doświadczenia czynili, gdy ty cały zajęty oblubienicą twoją, zamiast kwasorodu lałeś kwas siarczany, któżby, mówię, wtenczas powiedział, iż ta, o której ustawicznie mówiłeś, ta, która tylu roztargnień była przyczyną, w domu moim znajdzie schronienie.

Nie dziwuję się już więcej, ni twemu zapałowi, ni roztargnieniom twoim. Usprawiedliwia je Sara; nie masz zapewne równej piękności, połączonej z równą słodyczą. Co za twarz, jaka hoża kibić, jakie lube wejrzenie, dodajże zachwycający głos, ujmującą skromność, najczystszy rozsządek. Ach! sprawiedliwie pysznić się możesz, kochany mój

Lejbo, i z wyboru twego, i z starań, któreś z dzieciństwa podejmował w wychowaniu, oświeceniu, ukształceniu tej prawdziwie nieporównanej dziewczycy. Któż spojrzy na tyle wdzięków, któż usłyszy głos jej anielski, i nie pokocha jej, nie uczuje w sercu swoim żądy być od niej kochanym. Tak jest, mój Lejbo, i mnie ogarnęły były wszystkie pożary miłości, lecz pamięć, żeś ty, że przyjaciel mój jest jej narzeczonym: słowa jej, że tobie jednemu na zawsze serce swe oddała, wróciły mię do powinności, do enoty; została rana, wygasła nadzieja. Nie, nie splami się nigdy Tenczyński podejściem i zdradą. Tak jest, bądź spokojnym, przysięgam na Najwyższego Boga, że Sara świętą będzie dla mnie osobą, że przytłumię gwałtowną miłość, którą we mnie wzbudziła, i że połączyć was, widzieć was szczęśliwymi, jedynem będzie Tenczyńskiego staraniem i chlubą.

P. S. W tej chwili drugi mój goniec przywozi mi mały bilet od ciebie i list do Sary: przebóg! co czytam, jesteś chory w rękę lekarzy. Tyle zawodów, tyle prześladowań, stargały siły twoje. Ach! niech wstępująca w serce twe nadzieja lepszej przyszłości, pokrzepia cię, powróci do zdrowia, do przyjaciół czekających cię niecierpliwie. Spieszę oddać list twój oblubienicy twojej.

LIST XXVII. — LEJBA DO SIÓRY.

Z Kulikowa, dnia 15-go Tamoz.

Długo obciążony prześladowaniem bezbożnych, ciężką znękany chorobą, do ciebie naprzód, droga ma Sióro, podnoszę zemdlone oczy moje. Póki własne tylko nieszczęścia znosić mi przychodziło, nie upadał całkiem mój umysł, wystarczały do znoszenia tylu trosków siły, lecz skoro mię wieść doszła o więzieniu, o wygnaniu twojem, niepomny

na rozstawione mi wszędy sidła, na rady cnotliwego Abrahama, zdjęty rozpaczą, dręczony niespokojnością, porzuciłem miejsce schronienia mego, zbliżyłem się aż pod Radziwiłłów, dla dowiedzenia się przynajmniej o miejscu, gdzie była zastana. Ach, jakże gwałtownie serce me biło, patrząc na szczyty grodu, w którym ty przemieszkiwałaś tak długo, zdało mi się, że słońce pogodniej tam jaśniało, że powietrze tchnęło tam przyjemniej, starałem się odkryć dom mieszkania twojego: wystawiała mi go nawet rozogniona imaginacja moja, a na myśl, że cię już nie ma w nim, tży rzewne twarz moją zrosiły. Niepohamowaną zdjęty ządzą wnijscia skrycie do miasta, odwiedzenia Abrahama, zasiągnięcia wieści o tobie, przybliżałem się dalej, gdy na drodze spotykam nieznanego mi Izraelitę, stojącego nad obładowanym wywróconym wozem, którego sam nie był w stanie podźwignąć. Pomogłem mu w jego trudnościach: wszczepta się między nami rozmowa; w ciągu tej zapytałem, co w mieście ich słyhać. „O niczem innym nie mówią, odpowiedział mi, jak tylko, że niewierna Sióra, córka Moszki, nie chcąc pojąć wielkiego patriarchy naszego Jankiela, trwająca krnąbrnie w odszczepieństwie swoim, wygnaną i wywiezioną została.“ „Dokądże?“ spytałem, kryjąc ile można żal i pomieszanie moje. „Do Galicji, odpowiedział, taka jest wieść po mieście.“ „Do jakiegoż miasta?...“ „Nie pytaj, bo nikt nie wie.“ To powiedziawszy, podziękował mi za daną pomoc i oddalił się. Długo osłupiały, nie wiedziałem, co postanowić, zbliżyłem się jeszcze ku miastu, dla powzięcia dokładniejszego języka, lecz myśl, że łatwo mogłem być spotkanym przez Moszka, tylu innych znajomych mi w Warszawie, sprawiła, że się wraz obróciłem ku Brodom, pewien, że w mieście tak ludnem, zamieszkałem przez samych Izraelitów, najprędzej się będę mógł dowiedzieć o tem, czego

seree moje tak gorąco żądało. Wkrótce przybywam, widzę następujące po sobie, napętniające wszystkie ulice, czarne chmury mieszkańców, obskakują mię hufy ich z rozmaitemi towarami, bomazkami i t. d. i t. d. Ci tkają je w ręce, inni na lewą, na prawą ciągną mię stronę, każdy do swojej gospody, owi ofiarują się za faktorów: ubiór mój i mowa zwodzą wszystkich, nie wiedzą, że mówią ze swoim. Uwolniwszy się od natrętów, jak mogłem najprędzej, wybrałem rażnego młodzieńca za faktora, i stanąwszy w ustronnej gospodzie, „niczego ja nie potrzebuję, rzekłem mu, prócz jednej tylko wiadomości, której jeśli mi z pewnością dostarczysz, sowitą odbierzesz nagrodę: — dowiedz się więc, czy się tu nie znajduje Sara, córka Moszka z Radziwiłłowa.“ „Słyszałem o niej, odpowiedział faktor, i wraz pójdę na zwiady.“ Pełen najżywszej niespokojności, czekałem długo; po trzech godzinach czasu, wrócił mój faktor, drugiego żyda prowadząc z sobą. Dowiedziałem się, dowiedziałem się“, wołał głośno, skoro tylko wszedł do izby, „oto jest furman, który Siórę, córkę Moszki, do Kulikowa ztąd odwiózł.“ „Jakaż jej postać?“ zawołałem; „no, bardzo piękna, ale siedząc z drugą żydówką, zawsze płakała.“ Przejęty radością, sowiecie obydwóch posłańców nagrodziwszy, niezwłocznie do wspomnianego puściłem się miasteczka. Wkrótce bojaźń, srogie powątpiewanie, smutne przeczucia duszę mą dręczyć zaczęły; nigdzie po drodze poszlaki o drogiej mej zgubie powziąć nie mogłem. Powątpiewania te zmieniły się w najokropniejszą pewność, gdym się dowiedział, iż nigdy osoba, o jaką pytałem, do miasteczka tego przywiezioną nie była.

Wtenczas dopiero poznałem zdradliwe oszukanie faktora brodzkiego: gniew, żal, niespokojność, rozpacz na koniec, długo burząc się we mnie, wprawiły mnie w okro-

pną gorączkę; przez siedem dni zostawałem bez zmysłów, starania dobrej mej gospodyni i przywołanych przez nią lekarzy, powróciły mnie do życia. Całkowite osłabienie sił moich, ciężki smutek byłyby mnie wkrótce w cieniu grobu wepchnęły, gdyby nie przybył niespodzianie goniec od szanownego dobroczyńcy i przyjaciela mego Tenczyńskiego, w którym mi donosi, że żyjesz, żeś oswobodzona i w domu jego od prześladowców bezpieczna. Radość, którą mnie wieść ta napełniła, w osłabieniu mojem zaledwie nie stała się fatalną. Tak jest, kochana Sióro, w chwilach niespodzianej, niepojętej radości, na łonie odzyskanego szczęścia, zaledwie oblubieniec twój dni swych nie zamknął. Ach! ileżemy winni oboje dobroczyńcy naszemu. Czemuż zemdlone siły nie pozwalają mi w mgnieniu oka spieszyć w miejsce, gdzie się znajdujesz! Lecz lekarze pewną śmiercią mi grożą, jeśli bym się przed tygodniem podnieść z łoża odważył. O sroga, smutna konieczności, posłusznym być muszę, mamże narażać życie, które z tobą, o piękna, o luba dziewczeco, tak będzie szczęśliwem. Co za męka oczekiwania, jak nienasycone są nigdy pożądania miłości. Niedawno przełałbym był krew moją, bym tylko wiedział, że żyjesz, żeś bezpieczną, dziś, gdy pewność o tem odbieram, dręcę się, że już u nóg twoich nie jestem. Ach, jak długo, jak ciężkie oddzielały nas prześladowania. Ufam, że ich więcej doznawać nie będziem. Jak szczęśliwa chwila spotkania: chwila, w której ujrzę, do łona mego przycisnę, piękną, lubą, nieporównaną Siórę moją. Ileż będziem mieli do powiedzenia sobie; okoliczności wygnania i prześladowania twego, nie są mi wiadome, jakkolwiek mogły być być okrutnemi, troskliwa miłość moja powiększała je jeszcze.

Bądź o mnie spokojną, oblubienico moja, pragnę żyć dla tego jedynie, że ty żyjesz, że będziesz moją.

Niebezpieczeństwo, w którym zostawałem, smutek ciążyący na czole mojem w wielu osobach wiary naszej najtkliwsze wzbudził politowanie; często odwiedzany jestem od okolicznych nawet rabinów i starszych; jakże odmiennymi są od naszych, lubo jeszcze nie tyle w przesądach swoich poprawni jakby tego życzyć należało, przecież widocznie postrzegać można skutki dobroczynnych ustaw cesarza Józefa II. Rabini egzaminowani są i naznaczani od rządu, wszyscy języka rządowego uczyć się muszą, zakazany talmud, kahały, zabronione zbyt wczesne małżeństwa, wiele innych rozporządzeń dąży do ulepszenia naszego.

Ach! czemuż nie jest tak i u nas, czemuż się odwlekają najzbawienniejsze chęci monarchy! ufajmy jednak, że nim się zawrą powieki nasze, ujrzymy w Izraelu dni pogodniejsze. Wchodzący lekarz wytrąca mi pióro z ręki, kończę więc, luba ma Sióro, zawsze ci wierny, pełen nadziei, pełen dozgonnej dla ciebie miłości, wkrótce cię ujrzę: o Boże! co za radość!

LIST XXVIII. — RACHEL DO SIÓRY.

Dnia 30-go Tamoz.

Nie złorzecz mi, kochana Sióro, nie posądzaj mnie o obojętność, mogłażbyś mniemać na chwilę, że odebrawszy wiadomość o cudownem wybawieniu twojem, nie pośpieszyłabym natychmiast, (gdyby to było w mej mocy), wyrazić ci ztąd radość moją i radość tych wszystkich, którym równie, jak mnie, drogą być nie przestałaś. Niesłychane zaburzenie, sprawione rzuconą od Jankiela kłutwą, opóźnienia odpowiedzi mojej stały się przyczyną.

Nie pojdziesz nigdy, co się tu dzieje. W ostatni szabas, skoro tylko zagorzały rabin tutejszy przeczytał na tyłu

nas rzuconą przez Jankiela klątwę, powstały w bóżnicy okropne krzyki, jęczenia i wyrzekania; nieliczne głosy li- tości i zadziwienia, przytłumionemi zostały wrzawą ślepoty i zagorzałego fanatyzmu. Nie czekając póki nas wypchną, wyszliśmy z bóżnicy, wszyscy wyrokiem Jankiela wyklęci, i ojciec twój z całym swym rodem i czeladzią, i ja, i Szmul, i krewni nasi, i Chaim nawet. Napróżno szanowny mój ojciec Abraham, chciał mówić, chciał naprowadzić na drogę rozsądku tę zagorzałą tłuszcę, okropne groźby, przekleń- stwa, przerwały mu mowę, zarówno z nami wyjść musiał. Odtąd nie uwierzysz, co za ucisk, co za zamieszanie w mie- ście. Rabin nasz więcej jeszcze osób wyklął, niż Jankiel zamierzał. Ślepa tłuszcza aż nadto jest posłuszną. Wszyscy stronią, uciekają od nas, z trudnością przez trzecią lub czwartą osobę potajemnie dostać możemy żywności na targu. Czeladź ojca mojego, nauczona z młodości czynić różnicę między przykazaniem Boga, a tem, co jest skutkiem szaleństwa, zagorzałości i zemsty Jankiela, nie odstępuje od warsztatów swoich, i owszem zdaje się, iż pilniej jeszcze pracuje; lecz w domu Moszka, ojca twojego, największy nierząd i zamieszanie. Wiesz, jak on rozciągnął handel pro- wadzi; stoją naładowane bryki, przeznaczone do Warszawy, do Brodów, do Odessy, karmią się po stajniach konie; na próżno Moszek chodzi po furmanach, zaklina, każdy ucieka jak od zapowietrzonego i słuhać nie chce.

Zatamowanie handlowych obrotów najmniejszego z kupców, mnogiej liczbie pracowitej, uboższej klasie okrop- nie czuć się daje. Przecież zaślepieni cierpią i milczą.

Na dopełnienie ucisku, nakazało bractwo starszych post powszechny, zebrane za to pieniądze obrócone być mają na otrzymanie rozkazu, byś ty, kochana Sióro, z domu Goimów wydaną została. Morzy się więc głodem lud ciemny,

znów szemrze, lecz cierpi. Wpóśród tych wszystkich uci- sków, ponsowy od złości, zadyszany, zalany potem, przyla- tuje Herszko, ojciec Jankiela; uwierzyszże zgorzeniu, wszakże to szalony Jankiel wyklął własnego ojca. Ojciec czynił mu przedłożenia przeciw nieprzyzwoitości szafowania klątwą tak obficie, tak nierozważnie, okazywał mu ciężkie straty, jakie on sam, współnik Moszka, z tak gwałtownego kroku poniesie; głuchy był Jankiel na te przełożenia, spory mię- dzy ojcem i synem coraz się żywszemi stawały, wzniosły się aż do zapomnienia; i syn wyklął własnego ojca. I kie- dyż się stało to ojcobójstwo moralne; oto w najważniejszej dla handlu chwili, oto gdy kilka jarmarków styka się z sobą, gdy znaczniejsza, niż kiedykolwiek partja koni wspólnie przez Moszka i Herszka skupiona, przemyconą być miała. Jakoż nie pojmujesz gniewu ich i pomieszania; zaczynają podobno spostrzegać okropne skutki ślepego za- gorzalcom posłuszeństwa i łatwowierności: powoli starają się sobie o przystęp do ojca mojego; ach, z jaką radością szanowny ten i cnotliwy mąż upamiętałych na łono swe przyjmuje.

Dałby Bóg Izraela, by lud nasz nieszczęsny poznał nędzę i upodlenie, w których go zagorzałość starszych jego nie przestaje pognębiać.

Lecz, gdy my cierpimy i mrzemy od głodu, ty, luba Sióro moja, spokojna i bezpieczna, gościnnej i uprzejmej opieki, słodkich używasz owoców; to jedno, co cię trapić mogło, niewiadomość o losie Lejby, i to już odjęto, doszło i nas, że bezpieczen, że wkrótce do ciebie pośpiesza. Nie rozumiej, przyjaciółko, bym po tylu cierpieniach, tyle zle- wającego się na ciebie szczęścia zazdrościć ci miała. Ach! dzielę z tobą to szczęście: nie jestże wszystko wspólnem w przyjaźni, jaka nas łączy? Nic mnie w dzisiejszych przy-

godach twoich nie zadziwia; ani raptowna zmiana losu twojego, bom była pewną, że cnotliwą i niewinną Bóg ojców naszych wybawi, ni osłupienie twoje na nowy świat, nowy sposób życia dla ciebie, bo tak być musi, ni nawet to głębokie wrażenie, które wdzięki twoje na młodym hrabi sprawiły, bo któż się oprze nieporównanej piękności i słodyczy twojej; jeśli co mnie zadziwiło, to widzieć mą Siórę, mą lubą żydóweczkę, guwernantką polskiej hrabianki, Izraelitkę uczącą Polkę po polsku. Widzisz, że nie w nas jednych dzikie szaty i niedorzeczności, że, gdy rząd krajowy słuszne czyni usiłowania, byśmy przyjęli mowę ziemi, na której mieszkamy, która nas żywi, wielu z znakomitych nawet krajowców zdaje się nią pogardzać, używa obcej i w tej wychowuje swe dzieci.

Ważniejszym nad wszystkie doniesienia twoje, jest propozycja hrabianki. Podług zlecenia twego, przeczytałam tę część listu twego szanownemu ojcu mojemu. Po długim milczeniu tak rzekł do mnie: „ufam, iż przyjaciółka twoja nie zapomni, w jakiej urodziła się wierze, potrzeba prawdziwie boskiego światła, samych niebios natchnienia, by pamięć stracić.“ Jeżeli odpowiedź ta nie jest dla ciebie dostateczną, radź się bieglejszego, droższego sercu twemu teologa, Lejby; nadewszystko radź się serca własnego.

Odmet, ucisk i zamieszanie, w których jesteśmy, trwać długo nie mogą, oczekujemy codziennie ważnego jakiegoś wypadku, cokolwiek się stanie, nieomieszkam ci donieść. Dziś, jakiegokolwiek są dolegliwości nasze. myśl, że przyjaciółka moja w progach szczęścia już stoi, nadto słodką staje się pociechą. Wśród pysznych gmachów, wśród tylu jaśnie wielmożnych panów i pań, nie zapominaj nigdy o przywiązanej do ciebie z serca Racheli!

LIST XXIX. — SIÓRA DO RACHEL.

Dnia 12-go Ab.

Ach, jakże ci wyrazić potrafię moją radość, niepojęte szczęście moje! Lejbe, kochany mój Lejbe, któregom od tak dawna nie widziała, któregom tylekroć opłakiwała tak rzewnie, już jest ze mną. Trzy dni temu, przy pogodnym nader wieczorze, wyszliśmy ulicą ku gościńcowi wiodącą. Młody hrabia zbierał po drodze kwiaty, przez powiększające szkło pokazywał nam ich piękność i mnóstwo niedojrzanych okiem robaczków, purpurą, złotem, lazurem lśniących się. Gdyśmy w tych drobnych, a tak zachwycających tworach wielbili wielkość Najwyższego, gdy Edmund tłumaczył nam własność tych kwiatów, przemysł tysiąca muszek, co jak gdyby w gmachach z rubinów i szafirów, w kubkach tych kwiatów mieszkały, postrzegłam w końcu ulicy tumany wznoszącego się pyłu. Wkrótce trzykonny, porządny wóz dał się nam widzieć; nie wiem dla czego serce bić mi zaczęło; ach, Racheli moja, wkrótce dowiedziałam się tego. Zatrzymał się pojazd w niewielkiej odległości od nas: wyskoczył z niego młodzieniec; ujrząc go, poskoczył ku niemu, zarzucił ręce me na szyję Lejby, było dziełem jednej chwili. Długo z zwieszoną głową na ramieniu jego, nie mogąc przemówić i słowa, płakałam rzewnie, i lice oblubieńca mego zalały się łzami.

W twarzach zbliżonej już do nas reszty towarzystwa tkliwe uczucia widok ten wzbudzać zdawał się. Młody hrabia z uprzejmością powitawszy przyjaciela, przedstawił go matce, siostrze i pannie Dufard. Długo Lejbele mój z gwałtownego poruszenia swego przyjść nie mógł do siebie. Ścisnął mnie tylko za rękę i płakał, i jam też płakała. Gdy-

śmy wrócili do domu, a umysł narzeczonego mego cokolwiek spokojności odzyskał, pierwsze wyrzeczone słowa jego były wyrazem wdzięczności dla tych, którzy mnie wybawili z nieszczęścia i w progach swych tak łaskawie dać raczyli przytulenie. Zapytany Lejbe o swoje przygody, opowiedział je w krótkości, skromnie i bez złości. O tęsknocie tylko swojej bezemnie, o boleści, którą wzniecały w nim prześladowania moje, o smutku, z ustawicznych w szukaniu mnie zawodów, o żalu, który czuł, znajdując się dalekim odemnie, gdy już blizkim zgonu widział się, o tem tylko z głębokiem mówił uczuciem. „W chwili, rzekł on, kończąc opowiadanie swoje, w której widzę i oblubienięc moja i siebie pod cieniem skrzydeł tak szanownej, tak przeważnej opieki, zapominam wszystkich frasunków moich; wdzięczność i miłość, te są jedynie uczucia, które serce me napełniają.“

O luba Rachel moja, trzy dni już mija po przybyciu Lejby, a jeszcze pojać się nie mogę z zachwycenia, przejęcia tak szczęśliwej odmiany.

Nieraz budząc się, pytam się samej siebie, prawdaż to, że oblubieniec mój jest w rzeczywistości już ze mną, nie jestże to sen, nie jestże to zwodnicza mara? A gdy mnie odcucone zmysły przekonywają o tem, płaczę z radości. Ach, przyjaciółko moja, cóż jest to życie nasze! te niespodziane koleje smutku i radości, rozpacz i nadziei; zbyt gwałtownie targają one wątłe serca nasze, by się często powtarzać mogły. Tak żywych uczuć szczęścia, jakimi są moje, uwolniona tylko z zwłok ziemskich silna nieśmiertelnością swą dusza ciągle doświadczać może. Jakoż po tylu pierwszych gwałtownych wzruszeniach, rzewność jakaś, niewymownie słodka smętność napełniły duszę moją. Pełni oboje tych uczuć, trawimy godziny na rozmowach z sobą,

cofamy się w smutną przeszłość naszą, opowiadamy sobie, cośmy ucierpieli, uprzedzamy przyszłość, układając wcześniej całe pasmo życia i zatrudnień naszych. Już wcześniej wszystko nam wspólnem być zaczyna. Chcęby zagniewany mój ojciec pozbawił mnie dziedzictwa mego, szemrać na wolę jego nie będziem. Ma oblubieniec mój dostateczny majątek, by nam niepodległość i przy pracy życie swobodne zapewnić. W czasie pobytu swego w Iłży, wyczytawszy, iż ziemia w tych okolicach wydawała niegdyś wyborne farfury, czynił na niej doświadczenia i znalazł ją nad spodziewanie swoje wyborną. Tam osiąść zamyślamy i znaczną rękodzielnię farfur założyć, nie używając do niej jak tylko młodzięży hebrajskiej: żebyś wiedziała, jakie ztąd marzenia snują się nam po głowach, śmiałybyś się z twej Sióry. Ale wszystko jest w ręku Boga.

Nie cały czas atoli jesteśmy z sobą, Edmund często mi porywa oblubieńca mego, zamyka się z nim w gabinecie, podług mnie zbyt wiele czasu trawiąc na doświadczeniach chemicznych. Uprzejmość młodego hrabi, zawsze jest niezmienną, często z smętną lubością podnosi oczy swe na mnie i nieraz, chwytając Lejbę za rękę, mówi z uczuciem: „Ach! jakżeś szczęśliwym...” Zabawy nasze zamkowe zwyczajnym idą trybem, z tą tylko odmianą, iż przytomność Lejby mego nowych im dodaje powabów.

W tej chwili przybywa posłaniec od was, z listem od ciebie do mnie, i od ojca twego Abrahama do Lejby. Przebóg! w jakież okropne położenie szaleństwa, zemsta, fanatyzm Jankiela, wtrąciły was wszystkich. Niestety! i ja to tych wszystkich cierpień stałam się przyczyną! Zrodzona do niedoli, zaledwie dotknęłam usty mojemu kubka radości, wnet gorycz piółunu wlewa się do niego.... Długo w tych smutnych myślach pogrążoną byłam, gdy Lejbe przyszedł-

szy do mnie, i widząc mnie pomieszana, „ukój troski twe, rzecze, kochana Sióro moja, zgaduję, co cię martwi, ale czytaj list Abrahama, ojca twojej Racheli, a ujrzysz, iż cieszyć się, nie zaś rozpaczać należy“, to mówiąc, przeczytał mnie list ojca twojego. „Szaleństwo i wściekłość Jankiela, pisze on, do tego stopnia przywiodła tu rzeczy, iż najciemniejsi z ludu naszego zaczynają oczy otwierać, pytać jeden drugiego, jakie ma prawo Jankiel, rabin, bractwo starszych oddalać od społeczeństwa, niszczyć majątki możniejszych, odbierać chleb uboższym i wszystkich morzyć głodem przez posty. Zniedołężeni we wszystkich handlowych obrotach swoich, Moszko i Herszko, przewidując upadek swój z przedłużenia rzuconej klątwy, nie posiadają się ze złości i do mnie pokryjomu udają się po radę. Wierzyć łatwo możesz, iż nie używam, jak słodyczy i pomocy zdrowego rozsądku, by ich przekonać, jak zakon pański, siebie nakoniec samych krzywdzą ślepem poddaniem się zagorzałości talmudystów swoich. Mimo wkorzenionych z pierwszego dzieciństwa przesądów, uwagi moje zdają się do przekonania ich trafiać.

„Ach! jakże szczęśliwym zstąpię do otwierającej się już dla mnie mogiły, jeżeli ujrzę starozakonnych polskich, wyrzekających się dzikich talmudu bałamuctw, wracających do czystych praw Mojżesza, oswobodzonych z jarzma swej starszyny, poddających się nakoniec pod dobroczynne prawa narodu, wpośród którego mieszkają. Albo się myślę, albo chwila ta już nie jest daleko.“

Tak pisze szanowny ojciec twój Abraham, słowa jego i mnie spokojność i nadzieję wróciły. Nie przestaje i Lejbe wszelkimi sposobami wspierać zbawiennych jego zamysłów; pełen uszanowania, dla tych nawet, co go prześladowali, w ojcu moim już uważający ojca własnego, napisał do

niego list, który, ufam, że trafi do serca jego. Bodajby nieba miękcząc zagniewanego, nam i zakonowi naszemu pożądany pokój wróciły!

Bądź zdrowa, jedyna ma Rachel, pamiętaj, iż w miarę ważności chwil dzisiejszych, żywym jest oczekiwanie moje zdarzonych u was wypadków.

LIST XXX. — LEJBE DO MOSZKA.

Dnia 12-go Ab.

Niech cię szanowny mężu nie dziwi to pismo ręki mojej. Różność zdań, której skutków aż nadto ciężko doznałem na sobie, mogła nas dzielić, lecz szczerą przychylność, pamięć, żeś jest ojcem tej, która od dzieciństwa aż do zgonu miłą mi była i będzie, wszystkie moje najlepsze życzenia pociągały do ciebie. Długo wymierzone i spełniane na mnie prześladowania, nie zdołały mię ni w wierze mej zachwiać, ni miłości mojej osłabić. Będąc sam dzisiaj, ojcze, uderzonym, tem srogiem, tem niesprawiedliwym przekleństwem, pod którym ja tak długo jęczałem, znasz zapewne, jak pod błahemi pozorami starsi nasi przywłaszczają sobie władzę wypędzania nas z domu Bożego i społeczeństwa wiernych; niszczą nas, przez zniedołężenie wszelkich uczciwego zarobku sposobów, przez dręczenie nas, nakoniec nieludzkiemi okrucieństwami sposobami. I któż im władzę tę nadał? nie Bóg, nie sługa jego Mojżesz, nie patriarchowie i prorocy nasi; nie, nie oni, ludzie obłąkani, twórcy niedorzecznego, pełnego baśniów talmudu... Że córka twa Sara odrzuciła rękę Jankiela, jestże przez to obrażonym majestat Jehowy, jestże zgwałconą świętość zakonu Mojżesza? Maż tyłu wiernych w srogiem przekleństwie pokutować za to, że Jankiel nie umiał się podobać? Zastanów się,

czystemu rozsądkowi twojemu sprawę tę poddaję. Zkądże, ojcze, taki wstręt, tak nieubłagane zagniewanie ku mnie. To dobro, te wszystkie korzyści, któreś z ręką Jankiela zlać zamysłał na córkę twą Sarę, nie znajdziesz we mnie, słudze twoim? Uszanowanie dla świętych praw naszych, życie bez skazy, majątek dostatniejszy, niż umysł umiarkowany zażądać może, nie sąż i ze mną? Nie uchybi nigdy Lejbe tej czci, temu uszanowaniu, które się od młodszego sędziwemu należą, które się należą ojcu nieporównanej mej Sary: nie wyklinać, panie, ale wiecznie błogosławić będę temu, który dał życie lubej serca mego oblubienicy. Wyrwała ją z rąk prześladowców silna i znakomita ręka przyjaciela mego: gdybym nie był wiernym Izraelitą, gdybym nie szanował zakonu mego, gdybym nie szanował ciebie, panie, mógłbym korzystać z ofiarowanej mi silnej opieki, i dziś jeszcze być mężem Sary; ale daleką jest myśl ta odemnie, jakkolwiek bądź jest silną miłość moja ku tej pięknej, cnotliwej dziewicy, chcę ją mieć za zezwoleniem twojem, lub nie mieć nigdy. Przed tobą więc głowę moją znizając, żądam i błagam zezwolenia twego. Usun się od zawziętości tych, którzy cię niesłusznie prześladują, wysłuchaj tego, który ci posłusznym synem będzie do zgonu.

Lejba.

P. S. Ja, długo odepchnięta, lecz zawsze przywiązana i wierna córka do prośb oblubieńca mego prośby me łączę, nie odpychaj mię dłużej, o ojcze! wilem już ucierpiała, lecz jedno błogosławieństwo, jedno ściągnięcie ręki twej na głowę kochającej cię córki, zatrą pamięć wszystkich boleści i uszczęśliwią na zawsze twą Sarę.

Sara.

LIST XXXI. — SIÓRA DO RACHEL.

Dnia 28-go Ab.

Czynniejszy nierównie nademnie Lejba znalazł sposoby miewania częstych doniesień z Radziwiłłowa, wszystkie zgadzają się na to, iż rzeczy do prędkiego, daj Boże pomyslnego końca, zbliżać się zdają; wielki to ma wpływ na umysły nasze, słodką karmieni nadzieją, weseli jesteśmy i szczęśliwi; jakże wesołymi nie być? mniejsza o wytworne życie, o gmachy przepyszne, w których mieszkamy, bogactwa je nadają, lecz ciągła panów tutejszych przychylność, delikatność obejścia, przez którą, zdaje się, iż chcą nam dać zapomnieć i nieszczęść i różnicy stanów naszych, co nas do łań wdzięczności porusza.

Nietylko dawnością i znakomitością rodu, lecz najpiękniejszymi duszy przymiotami jaśniejają osoby, składające rodzinę tutejszą; lecz że potrzeba cienia do najwyborniejszych obrazów, zdaje się, że panna du Fard część tę przyjęła na siebie. Niedelikatne jej przycinki, dzięki śmieszności przerywają nieraz rozsądne rozmowy nasze: są to jedne źle nastrojone skrzypce wśród dobranej orkiestry. Jużem ci nadmieniła, zem nie znalazła aprobacji tej zbielonej i uczerwienionej mamseli, toż samo nieszczęście spotkało zrazu i oblubieńca mego, gdy przybył, a dowiedziała się, że jest żydem, rzekła, idąc za panią, *notre maison deviendra une vraie synagogue...* — *Taisez-vous, mademoiselle*, surowym głosem odpowiedziała hrabina; jakoż ostrożniejszą się stała, uważałam co więcej, iż długo miotane próżne na młodego hrabię strzeliste spojrzenia swoje, na Lejbę mego przenosić zaczęła. Nieraz jak gdyby z roztargnienia, jak gdyby do siebie samej mówiła: *Monsieur le juif est charmant, quels*

yues, quelles dents, sa tournure est charmante, et il ne manque pas d'esprit. Wtenczas Lejba z uśmiechem, duże swe czarne oczy podnosi na mnie, i *soliloque* upada na ziemię.

Podobnego prawie rodzaju stworzenie przyjechało odwiedzić wczoraj zamek tutejszy. Był to niedaleki sąsiad, pan Fadowicz, wychowany w Paryżu, a niedawno z Anglii przybyły. Rzęsiste klaskanie biczem zapowiadało zdaleka przybycie jego: pobiegliśmy do okna. Co za widok uderzył oczy nasze! Wyniosły, na dwóch kołach świeżo lakierowany faeton, zaprzężone w nim dwa pyszne, wiatropędne bieguny, przedzielone srebrną laseczką, żuły srebrne wędzidła, tu i owdzie rzęsita pianą miotając. Lakierowane szory angielskie, srebrnemi ozdobione blachami, i na nich gdzie tylko było cokolwiek miejsca, wyrznęte hełmy herbowane; z tyłu dwóch małych chłopców w czerwonych katankach, z czarnemi gałonowanemi pasami, kiwało się na dużych koniach, jak gdyby na kołysce jakiej. Leciąły konie w zawody; przed samym gankiem, targnął je pan lejcami, a wraz wyciągając przednie nogi, a tylnemi kłęby opierając się o ziemię, zatrzymały się jak wryte. Piorunem zleciały z koni chłopczyki, jeden bicz, drugi lejce odebrał. Powstał pan młody na dnie wyniosłego faetonu, a choć niedawno po deszczu, i najmniejszego kurzu nie było, wyciągnął batystową haftowaną chustkę, i otrzepał się nią w koło; dobył kryształowej rznętej fłaszeczki, pokropił się obficie pachnącą jej wodą, i poprawiwszy halsztuka, jednym susem stanął na ziemi, w trzech susach już był na wierzchu schodów, i w oka mgnieniu w pokojach. Lubo pan Fadowicz dwa razy tylko spotkał młodego hrabiego naszego w okolicach tutejszych, przywitał go z serdecznością, jak gdyby od stu lat najtkliwsza łączyła ich przyjaźń. Pozdro-

wiwszy resztę kompanii, rzucił się na krzesło i dużo na wznak przechylił. Ubiór jego był najmodniejszy; czarny frak, niezmiernie u spodu ściśnięty, rozbuchany u góry, odkrywał białą jak śnieg kamizelkę, z pod której strefami wyglądały małe szalowe podkamizelki, przez te utrefiony w drobne fałdeczki gors przewijał się z niewymownym wdziękiem: *fantoż* od halsztuka, naśladowujący skrzydła motyla, zawiązany jak najdowcipniej; uważałam, że pan Fadowicz poprawiał go często. Szerokie, białe, do kostek spodnie, pod westką dwie potężne filigranową robotą pieczęcie, jedna z topazu, druga z krwawnika, sterczały na ponsowej wstążce, pończochy robione w tak przeźroczystą siatkę, iż cała cielistość nogi doskonale przebijała się przez nie, lśniące się, lakierowane trzewiki, kończyły ten zachwycający ubiór.

Fadowicz, jakem nadmieniał, rozwaliwszy się na krzesle, głowę w tył przechyliwszy, dryndając założoną prawą nogą na lewą, zaczął konwersacją po francuzku, mieszając czasem i słowa angielskie. Młody nasz hrabia, jak gdyby na przekorę, odpowiadał po polsku, i koniecznie do mowy ojczystej chciał go przymusić, lecz próżno; zdaje się, iż Fadowicz ledwie kilkanaście słów języka polskiego zachował. Jak język tak i wszystko zdawało mu się w kraju naszym obcem, nieznanym, niedobrem; utrzymywał, iż nie mamy ni literatury, ni nauk, ni rękodzieł, ni rzemiosł, i że gdy mu się kryształowa angielska faszka od herbaty stłukła, nigdzie u nas w kraju podobnej zrobić nie mogli, *c' est un pays pitoyable*, temi słowy zakończył wyrzekania swoje.

Edmund, grzecznie, w żywych atoli wyrazach, zbijał zdanie przeciwnika swego: „nie przeczę, mówił on, iż w nowych wynalazkach, pięknych sztukach, a nawet i lite-

raturze, dalecy jeszcze jesteśmy od tej doskonałości, która się szczycą Francja, Anglja, Włochy i Niemcy. Żeśmy w postępach oświaty i przemysłu krok w krok nie szli z temi narodami, niestety! długo panującej anarchji, niedbalstwu i zaspaniu ojców naszych przypisywać to należy.

„Szalone ze wszech stron wichry, wywracając wznoszącą się budowę pod gruzami jego przywały i mieszkańców samych. Skoro atoli Opatrzność wspaniałomyślnemu wybawcy powierzyła ich losy, jak prędko, jak silnie wróciły się ich władze, zapaliła się o dobro publiczne gorliwość! Ileż zakładów, ileż powstało rękodzieł, już wybornych płodów, dostarczających potrzebie kraju. I czego niedostaje, zachęcenia i publicznego ducha. Te od nas samych zależą, że jeszcze nie robią u nas ślicznie wyrzynanych kryształów, flakonów, nie mamy już dobrego szkła w Mińsku i innych fabrykach; w flaszkiach przez nie robionych nie zachował się herbata równie dobrze, jak w karmazynowych, dla tego tylko lepszych, że się świecą i drożej kosztują? Nie mamy już licznych już rękodzielników sukiennych, przednich i mierniejszych, nie mamy licznie zaprowadzonych trzód owiec hiszpańskich, czemuż nie mamy sobie dać słowa, nie chodzić samym, nie ubierać wojska, służących, jak w sukno krajowe?...“ „Nigdy, nigdy, przerwał Fadowicz, sukna wasze nie będą miały tego glansu, tego puchu jak Sedan...“ tu podniósł łokieć przeciw światłu, i pokazał lśniąca się lustrem sukno fraka swojego. „Zkądże weźmiecie fabrykantów, wszak nasi kopią pługiem w polu?“ „Co tylko tyczy się fabryk, rzekł mój Lejba, to najwłaściwiej przedmiotem ludu mego, to jest żydów, staćby się powinno.“ „*Comment!* zawołał Fadowicz z zadziwieniem, *Monsieur est juif! je ne l'aurais jamais deviné. Comment! Monsieur est juif, c'est il possible? comment peut on*

être juif?“ „*Rien de plus facile*, odparł Lejba, *quand on est ne dans cette religion*“... „*Monsieur le juif, a été longtemps à Paris?*... Nigdy z Polski nie wyjechał... *Cependant cette tournure, cette facilité*... „Są skutkiem, rzekł Edmund, dobrego wychowania krajowego, i pilności młodzieńca tego.“ „To się stało cudem, rzekł Fadowicz, *J'espère aussi* mieć dziedziców, ale ich będę chował w Paryżu.“

Tu rzuciwszy przypadkiem oczy na roztoczony w pokoju kobierzec, pan hrabia rzece: „tak bardzo chwali fabryków krajowego, a przecie kobierców angielskiego kupi.“ „Mylisz się Wpan, odpowiedział Edmund, jest to kobierzec z fabryki krajowej...“ „Znać, rzece Fadowicz, bo lekki i rzadki...“ „Załóż się Wpan ze mną, przerwał Edmund, że i gęściejszy i ważniejszy, niż są angielskie“¹⁾. „Nie chcę się zakładać, rzekł ów nierozważny młodzieniec, ale ja nie rozumiem, jak można swoje kobierce przekładać nad angielskie.“

Tu rozmowa zaczynała cokolwiek ustawać; Fadowicz wstał z krzesła, i jak gdyby grzebień jaki, puściwszy palce swe przez gęste, czarne swe kudły, przybliżył się do hrabianki i włożywszy ręce w kieszonki od spodni, zgarbiwszy się nieco, patrząc na lakierowane swe trzewiki, zaczął z nią rozmowę, niby to wesołą i dowcipną. Hrabianka, na której wszystkie doskonałości Fadowicza nie wielkie zdawały się czynić wrażenie, odpowiadała mu grzecznie, lecz dosyć zimno i obojętnie. W czasie tej rozmowy, Fadowicz po kilka-

¹⁾ W istocie samej kobierce nasze warszawskie dychtowniejsze są i mocniejsze, niż angielskie lub inne; przekona się o tem każdy, kto weźmie na wagę lokieć kobierca naszego i zagranicznego. Rząd dla utrzymania tej fabryki spuszcza za cenę, jaką kosztują, przecież wolimy obce.

kroć spojrzawszy na mnie, zapytał po cichu Edmunda: *Qui est cette jeune personne?* „Jest to dziewczyna żydowska, odpowiedział Edmund, która u nas znalazła schronienie.“ *Elle est diablement jolie: que vous êtes heureux mon cher!* „Bynajmniej, odparł Edmund, oto jej narzeczoną“, pokazując na Lejbe... *Queque, ça fait*, rzekł trzpiot ów... *tant mieux*, to mówiąc, przybliżył się do mnie: *Mademoiselle est Juif?* „Nie rozumiem po francuzku“, rzekłam, i wzięwszy robotę moją, w inną udałam się stronę pokoju. *C'est sauvage, c'est encore gauche*, rzekł Fadowicz, obracając się do Edmunda. *Vous aprivoiserez cela*, rzekł, zanosząc się od śmiechu.

Edmund z politowaniem podniósł ramiona... nie na to nie zważając Fadowicz kręcił się po całym pokoju, usiadłszy nakoniec przy klawikorcie, „to zapewne wiedeńskie piano, rzekł, wyborne“; „mylisz się WPan! odpowiedział Edmund, jest to instrument zrobiony w Warszawie przez pana Leszczyńskiego...“ *C'est impossible...* „Czytaj WPan napis...“ Tu zaczął brząkać, i choć nieproszony, zaśpiewał romans, *petit chagrin*.

Skończywszy z najzupełniejszym wewnętrznym zadowoleniem, postrzegł na klawikorcie dwie małe książeczki; były to tragedje: Barbara Felińskiego i Luidgarda Kropińskiego; porwał je trzpiot nasz, przebiegłszy oczyma, *comment vous lisez cela?* zawołał. „I czemuż nie, odpowiedziała hrabianka, są to wyborne sztuki...“ *L'our moi je ne connais que Racine.* „Widziałeś WPan te sztuki w Warszawie“, zapytał Edmund... „Nigdy w życiu mojem nie byłem na polskim teatr, cieszę się, że rząd płaci 4000 dukatów na scenę cudzoziemską, i że jakikolwiek jest teatr francuzkiego; jakoż cała *bonne compagnie* tam tylko uczęszcza, a w teatrze polskim pies nie ma.“ „Temci go-

rzej, rzekł z żywością Edmund, nie wydoskonali się nigdy scena nasza, póki dobrym tonem będzie przekładać obce, płaskie krotofile nad własne płody, wstyd patrzeć na łoże nasze puste, gdy francuzkie zajęte. Smutek mię ogarnął, gdym na najlepszej, oryginalnej sztuce polskiej widział nieraz dwie tylko łoże i kilka krzeseł zajętych: gdy jaka nowość przylatuje, szarmanstwo dla tego, by powiedzieć, że widziało, a zobaczywszy, ulatuje na zawsze. Mnóstwo przekłada dekoracje, bengalskie ognie pływających w niebieskich obłokach aniołków, nad najpiękniejsze wzory; i tak będzie póki nazywająca się dobra kompania lepszego nie da przykładu...“ „Słyszałem, przerwał Fadowicz, że Bóg wie, co się wyrabia na naszej scena, że tam, mimo nakładów i prac przedsiębiorcy, dzieje się jak niegdyś w Polsce, gdzie możnowładzcy więcej znaczyli niż sam król, że całe usiłowania na tem, by cudaekim jakim na afiszu tytułem łapać, jak na wędkę, łatwowierną publiczność, a zatem mniej łatwowierni idą od francuzów.“

„Idą, rzecze Edmund, jedni dla tego, że w rzeczy samej, wstyd powiedzieć, lepiej umieją po francuzku, niż po polsku, drudzy idą dla tego, że pierwsi poszli, że widząc najmodniejsze kapelusze z piórami, wychylające się z łóż, widząc całe szarmanstwo, całą elegancję naszą, wpadającą w zachwycenie nad samobójstwem Zokrysa.“

Co za śmieszne stworzenie, kochana ma Rachel, jeśli nasze Talmudy, przesady, czynią nas tak nizeczemni w oczach świata, ach, jakże przesadzone wychowanie, czyni równie śmiesznymi, jak politowania godnymi podobne twory, jakim jest pan Fadowicz. Daruj długości listu tego, sama szczęśliwa, zapewniona od kochanego Lejby mego, że i wkrótce szczęśliwymi będziecie, puściłam pióro moje, i nie zatrzymałam go, aż zmordowane zatrzymało się samo.

Pisał Lejba do ojca mego, przypisałam się i ja, zmiękczaż go tkliwe nasze wyrazy miłości i przywiązania? Z niecierpliwością oczekujemy odpowiedzi jego wiadomości, jak u was obróciły się rzeczy. Bądź zdrowa, kochana ma Rachel.

LIST XXXII. — ABRAHAM DO LEJBY.

Dnia 27-go Ab.

Schyl głowę twoją przed majestatem Najwyższego, młody mój przyjacielu; święta dobroć Pana nie tylko ciebie i twoich wybawiła od ucisku, ale co więcej nierównie rozdarła zastonę, tak długo nieszczęsny lud nasz izraelski trzymającą w ślepotcie. Słuchaj, jak się to stało. Już więcej od niedziel trzech, w nędzy i utrapieniu, trzymała klątwa Jankiela, licznych miasta tego mieszkańców: cierpieli wszyscy, bardziej atoli nad innych Moszko, ojciec twej Sary; znasz rozciągłość handlu jego, zastanowiony w licznych rozgałęzieniach swoich, codziennie nieporachowane przynosił mu straty.

Na dopełnienie największej ze wszystkich, doniesiono mu, iż gdy dla klątwy, ni on sam, ni współnik jego, nie mogli być przytomnymi przemycań kilkaset koni, wszystkie te konie schwytanymi przez celników zostały, i że strof za to podejście niezmierne sumy wynosi. — Na wieść tak okropną jął sobie Moszko targać pejsaki, posypał głowę swoją popiołem, płakał i wrzeszczał okropnie. Rozpacz Herszka niemniej była załosną. Gdy czas ulżył nieco pierwszą ich boleść i przerażenie, obydwaj potajemnie przyszli do mnie, prosząc o radę. „Żałuję, rzekłem im, że gdy w sprawach religijnych nie chcieliście mię słuchać, dziś w przygodzie, tyczącej się osobistych zysków waszych, zda-

nia mego szukacie. Mielście mię za odszczepieńca, ja, który was zawsze za bliźnich, za braci mych miałem: jak bliźnim moim, i w tej ciężkiej chwili, jasno wam zdanie moje otworzę. Dopuszciliście się zapewne ciężkiego przestępstwa, oszukując po tylekroć rząd najwyższy krajowy: zkądże to poszło, oto z przewrotnej nauki waszej, oto że wam czytano w Talmudzie w traktacie Megilla, fol. 13., że żydom wolno jest chrześcijan oszukiwać: potraciliście okropnie na handlu waszym; wymorzyliście się głodem, skłóciliście się w własnych rodzinach, przez cóż? przez rzuconą klątwę zagorzałego Jankiela? za co, czy za przestępstwo zakonu? nie, o to, że uczciwa dziewica, niemilemu ręki swej dać nie chciała? któż Jankielowi dał do tego prawo? czy przykazanie Boże, czy zakon Mojżesza? nie, nadały mu je wasza niepojęta łatwowierność, wasza ślepotą. W jaką przez nie pograżyliście się przepaść, sami widzicie, by z niej się wydobyć, cóż wam czynić zostaje? oto słuchać czystego słowa Bożego, wyrzec się na wieki Talmudu, jako źródła wszystkich nieszczęść naszych, zawrzeć uszy na te wszystkie bezrozumne bałamuctwa, któremi was niegodni imienia starszych mamią i oszukują.

„Wierzyć, że każdy człowiek bez różnicy jest bliźnim waszym, że gdy Talmud naucza, aby go nienawidzieć, Bóg świętym swym palcem napisał na tablicy, aby go kochać i miłować; któremuż z tych dwóch wierzyć będziecie? *Herszt du! herszt du!* mówili do siebie Moszko i Herszko, obracając się potem do mnie, rzekli: „To coś nam powiedziały. Abrahamie, zdaje się nam rozsądnem, przecież wyrzec się tak raptownie Talmudu, który nam zalecano przez lat tyle, jako wyższy nad pismo same, nie jednej chwili jest sprawą; pozwól więc, że się namyślimy, teraz zaś powiedz nam, czyli bez wykroczenia przeciw zakonowi będący

w kłatwie, handel nasz możemy prowadzić; widzisz, ileśmy stracili; straty te powiększają się co dzień, oto są furmani, przydali (kilku żydów przywołując do siebie), którzy rozwożeniem tylko towarów żywili siebie, żony i dzieci, dziś mrzący od głodu, cóż oni, cóż my czynić będziemy?“ „Nie uważać, rzekłem, na kłatwę nieprawą, pracować, prowadzić dalej uczciwy zarobek, lecz strzedz się podejść i oszukaństwa.“

Ucieszeni tym wyrokiem, wyszli z domu mego, i nie upłynęło trzech godzin, jak kilkanaście bryk z wielkim trzaskiem biczów w rozmaite strony ruszać zaczęło. Miło mi było widzieć, iż lud bynajmniej nie oburzał się na to, lecz zagorzały nasz rabin, ślepy Jankiela zwolennik, wyleciał z kilku starszymi braćw, wrzeszcząc na furmanów, przypominając im kłatwę, i chcąc ich cofnąć nazad. Napróżno atoli; puścili się w zamierzone drogi. Nie posiadając się w gniewie swym, rabin dniem i nocą wysyłał do Jankiela, uwiadamiając go o tej wzgardzie rozkazów jego. W przeciągu dni kilku zaczęto się oswajać z pogardą tej kłatwy, rozmowy moje z wielu przyczyniły się do tego; odżył w mieście naszym przemysł, zaczęto pracować i z wyklętymi nawet przestawać; chwilowe to wypogodzenie poprzednikiem było ostatniej burzy okropnej. Dnia piątego przylatuje Jankiel, zwołuje wiernych do bóżnicy; pokazanie się jego wzbudziło jakąś trwogę i pomieszanie, skutki drugiego posłuszeństwa nałogu.

Moszko i Herszko pytali, czy mają iść z drugimi: „pójdźcie ze mną, rzekłem, czas jest, lub życie poświęć, lub nieszczęsnemu ludowi naszemu raz na zawsze oczy otworzyć.“ To mówiąc, wzięłem rzemienie moje i rańtuch, z Herszkiem, Moszkiem i Chaimem udałem się do szkoły. Już ją był lud napełnił, już Jankiel, stojąc pod świeczni-

kiem na wysokości, pieniał się i piorunował przeciw bezbożnym; postrzegłszy nas wchodzących, bardziej jeszcze zatrzęsł się ze złości: „precz od progów Izraela, zawołał, przekłęci i odszczepieni...“ Jak gdybym słów tych nie słyszał, postępuję dalej, towarzysze za mną. — „Nie widzicie, krzyknął znów Jankiel, co się dzieje, nie słyszycie głosu mojego? Kto prawy Hebrajczyk, kto posłuszny jeszcze najstarszemu z Chassidimów, niech mężnie prawieć swoją podniesie, i z domu Bożego wytrąci przeklętych.“ Tu Szmul, Josiel, Dawid, syn Szmula, Icyk Benjamin i Rubin posunęli się ku nam z podniesionymi pięściami. „Jakżeż, ozwał się Herszek, ojciec Jankiela, czylić i ojca twojego zabijać każesz?“ „I tatele, i mamele, i braci, i siostry, aż do ostatniego szczenięcia“, zaślepienieć zawołał.

Na ten głos szaleńca, najwierniejsi mu, przestraszonymi opuścili ręce. Podziw, zgroza, osłupienie ogarnęły lud cały. Jankiel sam blady i odrętwiały zapomniał mowy w swych uścicach, pieniał się, ziewał, strasznie mrugał oczyma, nakoniec zemdlony, z głową zwieszoną, bardziej padł na ławę niż usiadł. Wtenczas ja korzystając z powszechnej zgrozy, którą lud cały przejętym był na wściekłe rozkazy Jankiela, w te słowa odezwałem się:

„Ludu Izraela, wy wszyscy, co mnie słuchacie, jeżeli któren z was najsędziwszych, najstarszych latami, odezwać się może, że kiedykolwiek Abraham powiedział wam nieprawdę za prawdę, jeżeli którykolwiek z was powiedzieć mi może, *skrzywdziłeś mnie*, jeżeli który z was zarzuci mi wykroczenie jakie przeciw zakonowi Mojżesza, enocie i miłość bliźniego, niech wystąpi, niech się odezwie, a ja umilknę i słuchać go będę...“ Tu zatrzymałem się, a gdy się długo nikt nie odzywał... „Milczycie, dozwólcie więc, rzekłem, że ja mówić będę. W tem odrętwieniu Jankiela

widzicie potężną prawicę Jehowy: zlitował się on nad ludem swoim, i nie chciał, by był dłużej szalonych zagorzalców igrzyskiem. Do czegoż nas przywiodły błędne ich nauki, nieludzkie zabobony, dzikie Talmudystów i kabalistów tłumaczenia, baśnie? Spójrzycie na siebie, spójrzycie na braci waszych rozprószonych po ziemi okręgu. I czemuż jesteśmy wszyscy? oto wygnańcami, wzgardzonymi tułaczami. Będziemy się temu dziwić, możemy mieć ojczyznę, gdy ziemię, co nam od wieków daje przytułek, obcą zowiemy, możemy mieć przychylnych, gdy każdego, co nie jest Hebrajczykiem, nie mamy za człeka, gdy go uczeni nasi nakazują nienawidzieć, i jak splugawionym brzydzić się, któryż kraj uzna za obywateli tych, którzy nie uznają praw krajowych, wyłamują się z pod jego sądów, strój, język, obyczaje mają odmienne. I czemuż tak jest: bo starsi nasi tak nas nauczają, bo w zabobonach i nieoświeceniu naszym, znajdują swoje korzyści, odpychają od nas naukę i światło prawdziwe. Jakże długo poznawać tego nie będziemy. Ach, jakąż różnica świętości i potęgi Izraela za czasów Dawida i Salomona, za czasów, gdzie czczono Boga Syonu, gdzie nie znano Talmudu i nie znano praw innych, jak te, co były złożone w skrzyni przymierza; jakąż, mówię, różnica między powagą i blaskiem dni tamtych, a dzisiejszem upodleniem naszym. Jeśli więc temu zaprzeczyć nie mogę, znajdziez się Izraelita, któryby się nie wyrzekł tych wszystkich gubiących nas talmudycznych bałamuctw, a nie powrócił do tych praw, pod którymi długo był kwitnącym i szczęśliwym.

„Słuchajcie mnie Izraelici! Ośmdziesiąt ósmy rok kończę życia mojego, nie w chwili zapewne, gdzie zstępuję do grobu i wkrótce z ojcy moimi połączonym się ujrzę, nie w tej to zapewne chwili odważyłbym się was do złego

prowadzić, ach, gdyby tak było, pioruny straszliwego Boga skruszyłyby mnie na miejscu. Lecz gdy widzę, że ten Bóg Abrahama, Izaaka i Jakóba zmiękczył serca wasze, otworzył uszy wasze ku prawdzie, uwierzcie, że słowa i rady moje pochodzą z jego świętego natchnienia. Tak jest, Jego to duchem zagrzany wołam do was.“ Tu wziawszy tablicę w rękę i podnosząc ją do góry, „przysiężmy, rzekłem, na ten prawdziwy zakon Najwyższego, iż on będzie jedynem prawem naszym.“ Z niewymownym zapałem odezwała się zreszta cała: „przysiegamy...“ „Jehowie najwyższemu, niech będą dzięki, zawołałem, lecz nie dość na tem, przysięgłszy, że jedynie słuchać będziemy zakonu, który nam Bóg podał przez ręce Mojżesza; wyrzeknijmy się tych wszystkich baśni i tłumaczeń, które nam zagorzała obłądność ludzka narzuciła.“ „Niech giną!“ zawołał lud; tu przybliżywszy ogień z gorejącego kagańca do leżących stosów Talmudu, Myszny, Gamury, do kabalistów, komentarzów, zapaliłem je, wśród kłębow czarnego dymu spłonęły stosy bezbożne, a lud radosne okrzyki podniósł do nieba.

Nie ja to, młody mój przyjacielu, nie ja proch nędzny, ale potężne ramię Najwyższego tę tak wielką sprawiło odmianę. Bodajby przykład tego, co się u nas stało, naśladowanym był wszędzie; bodajby wszyscy światli Izraelici połączyli wspólnie siły swoje, i ohydne nieludzkie zabobony, nauki starszych naszych pokruszyli na wieki. Nie uwierzysz jaka tu radość, korzystam z tego daru światłości, która zstąpiła na lud nasz, korzystam z powolności umysłów, bym od tylu lat przygotowane już odmiany zaprowadził w zgromadzeniu naszym. Ważniejszymi odrodzonych Izraelitów prawidłami będą następujące:

1. Biblia ze wszystkimi księgami swemi, jedynie za prawo boskie uważaną będzie.

2. Talmud, Myszna, Gamura, wszystkie komentarze, wszystkie księgi kabalistyczne, jako obrażające samego Boga i ludzkość, wszędzie zniszczone i spalone będą.

3. Dzieci Izraelitów uczyć się będą pisma świętego i obrządków religii, od wybranych po temu światłych nauczycieli, wszystkie inne nauki koniecznie w szkołach publicznych rządowych odbierać będą.

4. Żaden starozakonny przed rokiem 24-tym, dziewczyna przed rokiem 18-tym brać się z sobą nie mogą; śluby zawierane będą w przytomności urzędników krajowych.

5. Obrządki nasze religijne, ile można, do trybu oznaczonego w księgach Mojżesza, powróconemi będą. Zamiast dawania składek do kahałów i bractw starszych, wszyscy starozakonni polscy uczynią powszechną składkę na wybudowanie na wskazanem do tego od rządu miejscu, choć w małym podobieństwie, kościoła Salomona; umieszczonemi w nim będą skrzynia przymierza, opony, trójnogi do kadzidła, świeczniki i t. d.

6. Przez wyznaczonych i egzaminowanych przez rząd krajowy rabinów, wybrany będzie wielki kapłan, aprobowany przez rząd; wybrani będą lewitowie do odprawiania służby Bożej z przyzwoitym porządkiem i okazałością.

7. Gdy odtąd wszystkie sprawy cywilne między żydami do sądów krajowych należeć mają, rabini pod utratą urzędów i pięć lat więzienia, od sądenia wszelkich spraw odsunięci, samem tylko pełnieniem religijnych obrządków i obowiązków zatrudniać się mają; wszystkie kahały i bractwa starszych znoszą się na zawsze, język polski będzie językiem starozakonnego.

8. We wszystkich miejscach, gdzie się znajdzie dostateczna liczba starozakonnych, uprzywilejowani rabini na-

bożeństwo po synagogach odprawiać będą w języku polskim.

9. Każdy belfer, bakałarz, nauczyciel lub inny żyd, któryby się odważył nauczać Talmudu, Myszny, Gamury, na 10 lat ciężkiego więzienia i tysiąc talarów strofu skazanym będzie.

10. Wszystkie drukarnie, w którychby się odważono drukować Talmudy, księgi komentarzów, kabały, zamknięte i strofowi 10.000 talarów podpadać będą; tejeż karze podpadnie każdy księgarz podobne księgi sprowadzający z zagranicy, lub zbierający na nie prenumeratę.

Te są przedniejsze ustawy, które zamyslałem współrodakom moim podać do przyjęcia, ustawy zgadzające się z świętością zakonu wielkiego prawodawcy naszego, z życzeniem rządu krajowego, z obecnem nakoniec położeniem naszym. Gdybyśmy byli niepodległym narodem, gdybyśmy się widzieli panami Palestyny, prawa te zupełniejszemi byłyby. Dzisiaj oddalić od nas toczący wnętrzości nasze jad talmudowy, uczynić dobre, które można, już to jest wiele uczynić.

Ufam, iż jak dobrze życzący współbraciom twoim Izraelita, wiadomości te odbierzesz z radością. Doniosłem ci je naprzód, bo wiem, że u ciebie to wszystko, co się tyczy dobra zakonu twego, droższem jest nad własne twe dobro. Lecz, żeby cię i w tem nie zostawić w niewiadomości, oznajmuję ci, że sławny ów luminarz Jankiel, rywal twój, tak był zaszła niespodzianą w zgromadzeniu naszym odmianą przejęty i przelekniony, iż przez kilka godzin do zmysłów przyjść nie mógł; gdy nawet minął paroksyzm, zdawało się, iż z reszty rozsądku ogołoconym został. Ulitowawszy się nad nim ojciec jego Herszko, w okrytej budzie odesłał go do domu. Ucieszycie się zapewne,

i ty, i Sara twoja, gdy wam doniosę, że list Lejby, a może i dzisiejsze trudności, w których się Moszko znajduje, zmniejszyły wstręt, który czuł tak długo do połączenia was razem.

Uleczenie z zabobonów, w których go Jankiel trzymał, nie mało także pomogło, ale lepiej poznasz to z listu Moszka, który tutaj przyłączam. Ciesz się, kochany przyjacielu, po długich czarnych flagach zajaśniał dzień pogodny nad Izraelem i nad tobą. Tak jestem znużony, że dziwuję się, jakim mógł napisać ten list długi.

Bądź zdrów, *Abraham*.

Rachel moja pozdrawia was serdecznie.

LIST XXXIII. — MOSZKO DO LEJBY.

Dnia 26-go Ab.

Wraz po odebraniu listu twego, poczyniły się tu wielkie odmiany. Dziś dopiero poznałem, że Abraham jest mężem, z którym Pan przemieszkuje, gdy na głos jego, jak gdyby niemocą tknięty, zamilkł ów Jankiel, Jankiel, którego ja sam za świętego policzałem. Z wychodzącymi z ust Abrahama słowami, zdawało się, iż zasłona jakaś spadała z oczu moich, i żem pierwszy raz w życiu mojem poznał, co jest światło prawdziwe. Tenże sam skutek, a raczej toż samo Najwyższego działanie, okazało się nad całym zgromadzeniem naszym. Jedyne podlegacz zawziętości naszych, ów szalony Jankiel, już się oddalił, lecz na nieszczęście moje zbyt późno. Rzucona przez niego klątwa, okropnych strat stała się dla mnie przyczyną. Tak srogiem zagrożony jestem nieszczęściem, iż lubo wszelka niechęć ku tobie wygasła już w sercu mojem, myśl wyprawiania wesela, w dzień może upadku mego, jest mi niewdzięczną. Wiesz, że kilka-

set koni przeprowadzonych w nieprzytomności mojej za granicę schwytanemi zostały, że kary i strofy za to, jeśli nie odwrócone, przyprowadziłyby mię do ostatniego upadku. Na samo wspomnienie, ile to pieniędzy trzeba będzie wysypać, drzę cały. Aj waj, aj waj, wystaw sobie naprzód choćby sto koni, każdy po 40 rubli najmniej, to jest cztery tysiące rubli, zysku na każdym po 20 rubli, to jest dwa tysiące rubli, razem sześć tysięcy rubli strofu, latania po śledztwach, smarowania, może więcej drugie tyle: aj waj, jak wiele pieniędzy! głowa moja cała w ognjach, pot śmiertelny występuje na czoło, oszaleję, albo umrę, jeśli ty nieprzyjedziesz mi na pomoc. Dowiedziałem się, że majątek twój jest większym, niżli się spodziewałem; znam mój Lejbo, jak ściśle są związki twoje z jednym z najpierwszych panów tutejszych, użyj kredytu twego, by za wdaniem się tej znakomitej osoby wstrzymać egzekucję, nim się znajdą sposoby do usprawiedliwienia. Przeklęty Jankiel, gdyby nie jego klątwa, byłbym sam na granicy między celnikami... i nieszczęście to nigdyby się nie było zdarzyło. Przywalony niem, ledwie żyję! aj waj, co bądźże ze mną. W tobie jedynym nadzieja, pamiętaj, że od tego ręka Sióry zawisła. Jeśli mię wyrwiecie z tej biedy, całym sercem błogosławić wam będę. Całuję Siórę moją.

LIST XXXIV. — RACHEL DO SIÓRY.

Dnia 15-go Elot.

Co to jest za szczęście mieć możnych przyjaciół, mieć gorliwego, czynnego kochanka, wszystkiego tego powinszować ci muszę, kochana Sióro moja. Właśnie, gdy Moszko, ojciec twój, i Herszko, już zwątpili o sobie, i w największej byli rozpacz, spada jak z nieba Lejba twój, 60 mil kraju

objechał on w tygodniu; opatrzony listami Tenczyńskiego, nie żałował, ni pieniędzy, ni zabiegów, ni starań, by odwrócić wiszące nad dwoma spekulantami nieszczęścia; zapewnia, że bez uchybienia prawu rzecz całą wkrótce do pomyślnego doprowadzi skutku.

Na wieść tę, trudno ci opisać, jakie były uniesienia Moszka i Herszka, rzucili się obydwu na łono Lejby twego, i tak go ściskali z radości, iż rozumiałam, że go uduszą. „Bierz Sióro moją, wołał twój ojciec, daję ci ją na zawsze, błogostawię wam, życie szczęśliwie.“ Rozczulona matka twoja wylewała łzy rzewne, Lejba, całując rękę Moszki, „ojcze! mówił mu, długo odrzucany nie szemrałem na ciebie, ubolewałem raczej nad błędami, w których cię szaleni gorliwcy trzymali. Nie znałeś mię ojcze, nieprzyjaciel zabobonów, i przywłaszczonej na szkodę ludu starszych naszych władzy, prawym byłem czcicielem zakonu Mojżeszowego, żarliwym obrońcą uciskanych przez kahały braci moich. Doznałeś sam, ojcze okropnych skutków samowolności i wściekłego jej zapału. Doznałeś, jak nieludzkie, gorszące Talmudu prawidła, nauczając nas, że kto nie żyd, nie jest człowiekiem, że go oszukiwać wolno, jak mówię, prawidła takie o włos jeden nie przypawiły cię o zgubę. Chciej więc dziś, gdy nieba otworzyły ci oczy, niewzruszone wziąć przedsięwzięcie, nie dopuszczać się nigdy żadnego podstępu, żadnego oszukaństwa. Ach! wierz mi, ojcze, najlepszą, najpewniejszą ze wszystkich dróg, jest droga uczciwości i prawdy.“ Przyrzekł to Moszko, i najściślejsza ufność i przyjaźń panuje dziś między tymi, którzy tak niesłusznie przesładowali siebie.

Jest ci czego powinszować, kochana Sióro moja: Lejba twój jest ładny, ale bardzo ładny: co to za oczy, jaka kibić, jaka szykowność, jaki w nim rozum i słodycz. Szcze-

ście, że kocham Szmula mego, bo kto wie, czybym się w Lejbie twoim nie zakochała. Odwiedza on często ojca mego, który go niezmiernie polubił, niewypowiedzianie szczęśliwi obydwaj z zaszłych tu odmian, już widzą powszechnie starozakonnych polskich odrodzenie. Dałby Bóg, żeby się nadzieje ich spełniły. Przeszłaś więc już metę cierpienia, kochana przyjaciółko moja, ile się z tego cieszę, ileż ci wieszczę: porzucisz wkrótce pyszne gmachy, wspańnięte grody, wyborne towarzystwo, ale znam ja Siórę moją, wiem, iż szczupły, chędogi domek z tym, którego kochasz od dzieciństwa, nad wszystkie przepychy miłszym ci będzie.

Lejba śpieszy się do ciebie, list ten zabiera, nie zatrzymujemy go: im kto bliższy źródła, tem większe czuje pragnienie. Jaka szkoda, iż pan Tenczyński uparł się koniecznie, by wesele w miasteczku jego odprawiło się.

Rodzice twoi jutro wyjeżdżają; ojciec mój, zbyt jest nowemi układami zatrudniony, zbyt osłabiony wiekiem, by zjechać mógł do was, ja go odstąpić nie mogę. Przesyła ci jednak błogosławieństwo swoje, a ja łączę do nich najczulsze serca mojego ślubu.

P. S. Ojciec mój pragnie, by wesele moje odprawiło się w tenże sam dzień, co i twoje. Pod szczęśliwszem godłem związku te spojść się nie mogły. Prawda, że Szmul mój nie jest Lejbą, lecz wyborny, poczciwy człowiek, pewna jestem, iż będę z nim szczęśliwą.

Bądź zdrowa, przyjaciółko moja. Mieliśmy wiadomość o Jankielu, czy uwierzysz, zupełnie zwarjował. Ustawicznie coś smarzu w tygielku.

LIST XXXV. — SIÓRA DO RACHEL.

Dnia 26-go Elot.

Ta, co była powiernicą wszystkich trosków i cierpień moich, niech pierwsza odbiera wiadomość o szczęściu mojem. Mogeż ci wyrazić, co serce me czuło, gdy luba matka moja przytuliła mię do łona swego, gdy na twarzy długo zagniewanego ojca ujrzałam pierwszy raz uśmiech uprzejmości i łzę wyciśniętą przez troskliwość. Uczucia te, przyjaciółko moja, opłaciły wieki frasunków. Ciebie tylko niedostawało, kochana ma Rachel, lecz myślę, że ty szczęśliwą jesteś, i przestaję narzekać. Przyzwyczajeni do zawodów, nie chcieliśmy odwlekać ślubowin naszych. Tak jest, dnia wczorajszego oddałam rękę moją dobremu i cnotliwemu Lejbie. Potoki szczęśliwości zalewają serce moje, zwolni się zapewne ich siła, lecz upodobanie się nawzajem, szacunek, nieograniczona we wszystkich życia kolejach wspólność i ufność, nie zmniejszają się nigdy, trwać będą na wieki. Młody hrabia prowadził mię do ślubu, nauczony rabin od oblubieńca mego opuścił śmieszne u nas obrządki tego zwyczaju. Uroczyste słowa Boga potwierdziły serce zakonnych przysięgi. Po skończonym obrzędku Lejba szepnął mi do ucha, bym medal mój złoty Stefana Batorego młodemu hrabi ofiarowała. Przyjął go Edmund z wdzięcznością, i zaprosił nas do zamku na wieczerzę. Ojciec mój ubrany był w gradylorowym, czarnym żupanie i płaszczu z dużemi srebrnemi haftkami; matka w aksamitnej, ponsowej załuszcze, tysiące pereł zdobyły skrzydła od czapki jej, koleczyki z dużych rautów, podobnyż kanak spuszczał się na piersi. Łątwo wnosić możesz, jak oboje wszedłszy w pyszne progi zamku tutejszego, uderzeni przepychem mebli i bogatych

sprzętów, pomieszali się strasznie. Nie bardziej nie maluje serca dobrego, jak ta prędką litość na widok osoby czującej upośledzenie swoje. Dał tego dowód Edmund, gdy spostrzegłszy zakłopotanie rodziców moich, podwoił dla nich naturalną swą grzeczność i dobroć: przez wzgląd na wkorzenione tyłą latami przesady, nie chciał młody hrabia być uczestnikiem uczty naszej weselnej.

Najlepsze tutejsze kucharki izraelskie przyzwane były do ugotowania wieczerzy, podług naszych zwyczajów.

Edmund chodził w około stołu, uważając, by nam nie zbywało na niezem. Przy końcu uczty nalał kielich koszerne go wina, i za zdrowie nowożeńców wychylił. Lejba mój spełnił podobnyż za zdrowie hrabi i całego rodu jego, łącząc czułe wyrazy wdzięczności i najgorętsze życzenia o nieprzerwane pomyślności tak dobrych państwa. Przez cały ciąg uczty przestrzegał hrabia, by nikt nietylko z służących, ale i domowych nawet, nie pozwalał sobie żadnych uszczypliwych postrzeżeń, żadnego niewczesnego żartu, a gdy wśród wieczerzy wpadła panna *Dufard* na salę, i spostrzegłszy ojca mego, krzyknęła: *Ach! quel vilain Marabout*, Edward żywo ją zgromił, i wzięwszy za rękę, wyprowadził z pokoju.

Tak delikatnem było we wszystkim tego szanownego młodzieńca postępowanie. Nie mogę ci zataić, iż z żalem porzucam dom, w którym tyle odebrałam dowodów dobroci. Amelia zdaje się mię żałować, wiele ona korzystała odemnie w polskim języku: wymowa jej nie równie jest lepszą, zaczęła nabierać smaku w polskich pisarzach i wszystko to winną jest żydówce. Poniosę do grobu przywiązanie do niej i wdzięczność dla domu całego. Jutro wszyscy puszcza my się w drogę; dwa dni zabawię z tobą,

potem rodzice moi odprowadzają mię do Itzy, gdzie mąż mój już najał dom, poczynił przygotowania, i wkrótce fabrykę fajansu rozpocznie. Jak miło mi będzie uściskać cię. Bodajby Bóg Abrahama, Izaaka i Jakóba błogosławił, i nam wszystkim, i Izraelowi całemu.

DOKOŃCZENIE.

Jeżeli w ciągu opowiadania tego, starozakonni bohaterowie i bohaterki nasze znalazły jakkolwiek łaskę w oczach czytelnika, zapragnie on zapewne wiedzieć, jakie były w dalszem życiu powodzenia ich wszystkich. W krótkich słowach zadosyć uczynimy ciekawości ich. A naprzód: nowożeńcy nasi, piękny Lejba i nieporównana w wdziękach swych Sióra, jeżeli można, coraz bardziej zakochani w sobie, żyją szczęśliwi. Fabryka ich farfur doskonali się codziennie, a lubo Anglicy (tak jak robią z fabryką kobierców naszych), dając farfury swoje za bezcen, usiłują zniszczyć zakłady jego, przecież wytrzymały w przedsięwzięciu swoim Lejba dotrzymuje im kroku; zaczął on od prostych mis i talerzy; sprowadziwszy potem co najpiękniejsze wzory, co raz doskonalsze wyrabia, zaczął nawet nakształt naczyń Etrusków wyrabiać podobne, częścią z dawnymi rysunkami, częścią malując na nich wyjęte z dziejów naszych przygody. Do całej tej roboty nie używa jak starozakonnej młodzieży, uczając ich nietylko rzemiosła swego, ale wpajając w ich serca czyste religji i moralności prawidła. Bóg dał im troje dzieci, dwóch synów i córkę. Synowie nazwani po dziadzie i ojcu: Moszko i Lejba, córka Betsabe, prześliczne i dowcipne dziecko, prawdziwa rodziców pociecha.

Odwiedzając i odwiedzanymi będąc od pierwszych

w okolicy obywateli, dowodzą, że enota, światło, obyczaje, dobre mienie, nabyte uczciwymi sposobami, zagładzają tę nierówność, którą niedostatek tylko tych zalet w społeczeństwo ludzkie wprowadza; dowodzą, że nie chrześcijanie, ale żydzi przez wstręt swój, ciemnotę, szalbierstwa, odłączają się od mieszkańców ziemi, w której przebywają od wieków. Oboje bywają często u Tomickiego i siostry jego, która niedawno poszła za Mikołaja Firleja.

Fadowicz, sprzykrzywszy sobie nudy polskie, odrzucany od rozsądnych panien polskich, trzpiotując i waleując aż do starości, udał się nakoniec do Paryża, i tam nie na łonie krewnych i przyjaciół, ale po kafenhauzach i teatrach wlekąc ostatki niepożytecznego życia, umarł niezadowolony i zapomniany.

Tenczyński pojął Elizę z Mielsztyna; ma z niej dwóch synów i córkę. Przykładem jest w kraju obywatelstwa, w domu moralności, ludzkości i rządu.

Chaim z liczną familją swoją osiadł przy Lejbie, rozwozi farfury jego po miastach i jarmarkach krajowych, i wybornie mu się powodzi.

Moszko, zaspokoiwszy kary z przemycania swojego, wyrzekł się wszystkich nieprawnych spekulacyj i zysków, prowadzi handel wywozowy płodów krajowych. Przyjeżdża on często na święta do dzieci, i na kolanach swoich płastuje wnuczeta. Lubo uleczony z dawnych przesądów, poznał niedorzeczności talmudu, czasami jednak odzywają się w nim zastarzałe nałogi. Raz, gdy na święta kuczek przyjechał do dzieci, a przespawszy się po obiedzie, ujrzał się sam jeden w brzozowym szałasie, niepowściągnięta napadła go chętka zajrzeć do talmudu. Dobył go więc z podróznego worka, i tak się głęboko zaczytał, iż nie postrzegł, gdy Lejba wszedł do szałas. „Cóż to czytasz, ojcze?” zapytał,

zacerwieniał się Moszko, i z pomieszaniem wyznał, że talmud. „Jakże możesz, zawołał Lejba, bawić się czytaniem tak dzikich niedorzeczności?“ „Czytałem, odpowiedział Moszko, nie dla tego, bym baśniom tym wierzył, lecz, że mię nieraz bawią, tak że się śmieję do rozpuku; że jednak dzieło podobne zawiera w sobie wiele zgorszenia, lepiej je spalić“; to mówiąc niezmierny ów foliał wrzucił w ogień.

Dawid, syn Moszka, a brat Sióry, który się był w jedenastym roku z dziewięcio-letnią córką Herszka ożenił, nie daje w pożyciu swoim, ni zgorszenia, ni przykładu; nie doznawszy na szynkach wielkiego powodzenia, za pomocą ojca i Lejby założył garbarnią, i dobrze mu się powodzi; miał wiele dzieci, lecz te słabe, spłodzone przez rodziców dziecinnych, pomarły wszystkie.

Poczciwa i rozsądna Rachel dała rękę swą Szmulowi. Abraham, ojciec jej, całą swą fabrykę płócienną oddał zięciowi; powiększył on ją znacznie; płótna, obrusy, serwety szmulowskie, wszędzie sławne, wszędzie wielki pokup znajdują. Szacunek, długie pożycie, zastąpiły miłość w sercu Racheli; czyniąc męża szczęśliwym, sama jest szczęśliwą; ma syna Arona, czarne pejsaczki kręcą mu się naturalnie, śliczny bachurek, i na wiek swój dziwnie rozsądny; życzeniem jest rodziców, by doszedłszy lat 24, pojął Betsabę, córkę Sióry. Obydwie przyjaciółki odwiedzają się często, trzymają razem dzienniki polskie, i trudnią się ciągle literaturą krajową z równą korzyścią i smakiem. Dwie te słuszne niewiasty dały nieznaną płci starozakonnej przykład, jakiej przyjemności dodają życiu ludzkiemu oświecenie, przyjaźń i miłość nauki.

Jankiel zupełnie oszalał; godny prawdziwie politowania; fanatyzm jego nie był oszukaństwem, wierzył on szczerze we wszystkie szaleństwa zagorzałych sekty swojej

pisarzów. Smutna ta ofiara dowodzi, jak w rozognionej imaginacji wpojone z dzieciństwa błędy, fatalnemi na przyszłość stają się.

Herszko, ojciec jego, pod straż przyjaciół oddawszy syna, w czynnym handlu szukał zapomnienia frasunków. Uleczony z szkodliwych przesądów swoich, uznawał chrześcijan za bliźnich, czytał biblię; wyrzekł się talmudu, był poczciwym i przykładowym Izraelitą.

Abraham, dopełniwszy dziewięćdziesiątego pierwszego roku dni swoich, usnął i przyłączony został do ojców swoich. Słodkiej pociechy doznał przed zgonem swoim mąż ten enotliwy, gdy ujrzął, że poczynione w mieście jego rodzinnem zbawienne ustawy i odmiany, po całej rozszerzały się Polsce, że mnóstwo młodych światłych Izraelitów, czekających tylko, by się znalazł mąż śmiały, dający przykład, cheiwie popierało zbawienne Abrahama zawody; kosztem szanownego starca tego, kosztem współwierzących z nim, stanął niewielki kościół na wzór Salomona; zamiast straszego wycia, kiwania się i rzucania szkolników, wprowadzone w nim poważne, godne Boga obrządki. Zniesiono z radością ludu całego kabały i bractwa starszych; poddano się pod prawo cywilne krajowe: rabini przestrzegają obrządków religji; spalono talmudy i kabały; bachury, na nauce swej nie targane za pejsaki, chodzą do szkół publicznych, i zamiast gorszących baśni i przesądów, uczą się tych nauk, które oświecają umysły, kształcą serca, i pożytki w dalszem życiu gotują; z tkliwością, szanowaną jest pamięć Abrahama, jako tego, który zniósł uciski i zabobony ludu swego, i pierwszy założył kamień węgielny oświecenia i szczęścia starozakonnych polskich.



B A J K I.

Suczka z szczeniętami.

Niejeden może zapyta:
Czemu suczka z szczeniętami,
Pomiędzy temi bajkami,
Czytelnika naprzód wita?
Jest pomyślenie nowe,
Obrać suczkę za przemowę!
Niech i tak będzie, lecz wraz wytlómaczy
Następna bajka, co to wszystko znaczy.
Z jedwabnym włosem, kudłata,
Na piersiach nieco srokata,
Suczka niewielka, lecz ładna,
W każdym ruchu dziwnie składna,
Troje szczeniątek powiła,
A dobra matka sama je karmiła;
Rodzicielskim uprzedzeniem,
Nad swem kochanem plemieniem,
W najlepszej wierze mniemała,
Że żadna suka, gładka czy kudłata,
Na całym okręgu świata,
Podobnych szczeniąt nie miała.
„I cóż są, rzecze, dzieci tej mopsicy,

„Tej mucki, tej tam taksicy ;
 „A nawet ów Bażik szary,
 „Przy moich, czyste poczwary.“
 Tak choć maleńkie szczenięta,
 Już matka przyszłym losem ich zajęta,
 Cuda świata w nich widziała ;
 Nieraz tak sobie dumiała :
 Płowy, z ogonkiem okrytym,
 Pierwszym u księżny będzie faworytem.

Ten co do góry ma uszko,
 Z piękną Zemirą dzielić będzie łózko,
 Ona to miłość przysięgłą mężowi,
 Odda małemu pieskowi !
 Nakoniec, ów maleńki, ów luby buffonek,
 Co zadarkszy swój ogonek,
 Na grzbiet mój łapki zakłada,
 Wielki geniusz zapowiada,
 On przy ministrze na dworze,
 Łaskami będzie szafować,
 Jego panowie w pokorze,
 Chcący urzędów,
 Lub jakich względów,
 W dwie łapki będą całować.
 Kiedy przez słodkie marzenia,
 Poczciwa suczka daje się uwodzić,
 Los, co tak ludzkie, jak i psie stworzenia,
 W nadziejach lubi zawodzić,
 Ukarał psiny duch nazbyt wyniosły ;
 Bo te szczenięta, co dojrzałą dobą,
 Psiego rodzaju miały być ozdobą,
 Na wielkich łotrów porosły.
 Ten co dla księżny był już przeznaczony,

Zepsuty i znarowiony,
 W brudnych zalotach, a nawet nieskrycie,
 Na ulicach pędził skrycie;
 Drugi, co miał być Zemiry pieścідłem,
 Do pola poszedł za bydłem;
 Nawet ów geniusz rzadki, zawołany,
 Co miał górować nad dworskimi pany,
 Przez niesłychane zrządzenie,
 U Bernardynów obracał pieczenie.
 Co się tej suczce stało z szczeniętami,
 Mnie się stać może z mojami bajkami.
 Ojca wiedzion omamieniem,
 Gdy patrzę na nie z czułem rozrzewnieniem,
 Pochlebiam sobie, że biedna chudoba
 Może się komu podoba,
 Niepomny (choćaż tylu zawodów już świadek),
 Że gdy w marzeniu chwala, na jawie upadek.
 Pomimo tego, szczerze mi się zdaje,
 Że zbiór tych bajek nikogo nie łaje,
 Że w nich moralność jest zdrowa,
 Bardziej wesoła, niżeli surowa.
 Gdy ja tak widzę, Zoil co nie błądzi,
 Przeciwnie zbiór ten osądzi,
 Przenikłość jego daleka,
 W baranie moim upatrzy człowieka,
 Kto wie? w indyczkach córki ulubione,
 W kokoszy własną swą żonę:
 A może nawet w dowód przywiązania,
 W swych usługach dziwnie miły,
 Znajdzie przystosowania,
 Co mi się nigdy nie śniły.
 Cóż robić, kto się puszcza w podobne zawody,

Poddać się musi na wszystkie przygody,
Słuchać z wdzięcznością, to co z doświadczenia,

Biegli mężowie doradzą,

A nawet pustych trzpiotów postrzeżenia,

Przyjąć z pokorą, bo i te się zdadzą.

Słowem, na wszystko złe się przygotować,

Trwać w przedsięwzięciu, cierpieć i pracować.

Ja to dopełniam, i książeczkę małą,

Gdy się napiera z drzeniem i nieśmiało,

Wypuszczam na przestrzeń świata,

Niech sobie łązi, alboliteż lata.

Jeżeli się sparzy, na mnie niechaj nie narzeka,

Ośm lat ostrzegałem, jaki los ją czeka;

Siedź lepiej w tece, mówiłem jej często,

Groty złośliwych, latają zbyt gęsto.

Wieszce coć czeka, gdy u Zawadzkiego,

Siądziesz na pułce w tyle Krasickiego;

Przyjdzie literat, lub co się nim mieni,

Przejrzy kart kilka, włoży do kieszeni.

Czytając z przyjaciółmi, przy dobrym kielichu,

Choć cię głośno pochwali, ugryzie po cichu.

Może też i z powiatu szlacheć dalekiego,

Weźmie cię, by do domu coś zawieść nowego,

Przeczyta żonie, córkom, synowi lubemu,

Pożyczy sąsiadowi, ten znowu drugiemu,

Ten swemu kuzynowi, kuzyn synowicom,

Synowice stryjowi, a stryj pasierbicom.

Tak z rąk do rąk przechodząc, aż w końcu podróży,

Gdy nieszczęsna książeczka już wszystkim usłuży,

Dzieci podrą obrazki, i kartkę niejedną,

Przeniesiesz się w przedpokój między czeladź biedną,

Tam przy łojowej świeczce, gdy wkoło usiądą

Lokaje cię po słówku ślabizować będą,
Aż gdy cię dobrze podrą i dobrze zatłuszczą,
Gdzieś tam między sienniki do szlabanu wpuszczą.
W nim myszy, mszcząc się tyle zwierząt obmówionych,
Z kart twych, uścielą gniazda dla dzieci pieszczonych.
Taki będzie twój koniec: lecz radom mym sprzecznie,
Nie przestajesz się na świat wyrwać koniecznie.
Idź więc, już w odwieczną zbliżając się ciszę,
Ni twych pochwał, ni licznych nagan nie usłyszę.

1816.

D w a w o ł y.

Troskliwy rolnik, o swe urodzaje,
Zaledwie postrzegł, że śnieg z pola taje,
I wiosna pierwszą zieloność odkrywa,
Z zamknięcia pług swój skwapliwie dobywa.
A na posiłek wychyliwszy czarę,
Pod jedno jarzmo zaprzął juńców parę;
Lecz gdy je łączył, mało na to baczny,
Czyli ten wybór był sobie dogodny?
Czyli jak bywa na świecie dziwaczny,
Jeden wół krnąbrny, a drugi łagodny;
On im uprawiać kazał twardą rolę:
I cóż się stało? woły wśród roboty,
Spreczne w skłonnościach, sprzeczną miały wolę,
Ustawne sobie wyrządzały psoty:
Gdy jeden cofał, drugi ciągnął żwawo,
Gdy ten na lewo, ów targał na prawo.
Tłukły się łbami, wierzgały kopyty,
A za ten upor i zwłoki,

Często oracz nieużyty,
Niemikosiernie biczem chłostał boki.
Żal patrzeć, co cierpiała para nieszczęśliwa;
Gdy niedaleko sroka szczebiotliwa,
Skacząc z bryły na bryłę za małym robakiem,
Dobrze znajoma z bydłem, nawet i z wieśniakiem,

Sroka, co wiemy, że gada,

I nieraz gości przyjazd zapowiada.
Tak do niesfornych odzywa się wołów:

„Na co wam tyle przyda się mozołów.

„Tak wiele chłosty i wierzganja tyle,

„Gdyście przez wszystkie życia tego chwile,

„Skazani może, o stworzenia biedne!

„Pracować razem, dźwigać jarzmo jedne,

„Nie jestże lepiej porzuciwszy swary,

„W zgodzie ponosić wspólne wam ciężary,

„Poddać się losom, bo to myśli próżna,

„Chcieć zmienić, czego odmienić nie można.”

Wy, co w goryczach jarzmo dźwigacie małżeństwa,

Uczcie się cierpliwości z tego podobieństwa,

Czy los ślepy, czyli też nadzieje zawodne,

Połączą wiecznym związkiem humory niezgodne,

I pług życia rozkażą ciągnąć obok siebie,

Umiejcie ciężkiej ulegać potrzebie.

Rozwód niesie zakałę, kłótnie trują życie;

Lepiej strzedz się zgorzenia, i ponosić skrycie.

1806.

Kozioł i orzeł.

Tchnącego męza zgłębieniem natury,
Jakież wstrzymają przeszkody?

Ni sroga przepaść, ni wyniosłe góry,
Ni zebranych nurtów wody.
Czy dzikie puszcze przebywa,
Wśród ciężkich trudów ochoczy,
I tam przedmioty odkrywa,
Co wstrzymują cheiwe oczy:
Lskniący kruszec, kamień czarny,
 Motyl, co za różą leci,
 I robaczek nawet marny,
Gdy się w spruchłym drzewie świeci;
Krzewy, co ledwie od ziemi się wznoszą,
Skropione deszczem wilgotnym,
Wszystko dla niego nauką, rozkoszą,
I nigdy nie jest samotnym.
Taki to badacz natury,
Gdy Karpackie zwiedzał góry,
A deptąc twardych granitów opokę,
 Wdarł się na szczyty wysokie,
 Gdzie wszelka płodność ustaje,
Lecz zawał śniegu, co nigdy nie taje,
 A pod nogami daleko,
Rzadkich chmur pasma się wleką,
 Wszędy czezość i spustoszenie,
 I przeraźliwe milczenie.
Przejęty trwogą, gdy mędrzec rozważa,
I skał ostrych mierzy szyki,
Świst go okropny przeraża,
Ogląda się kozioł dziki,
Nieścignionym pędem dąży
Do ukrytych jaskiń w górach,
Nad nim w powietrznych lazurach,
Na rozciągnionych skrzydłach orzeł krąży.

Byстрыm wzrokiem wiodąc wszędy,
Dziarskiego kozła zapędy;
Alié jak piorun, co rani, gdy błyska,
Raptownym szybem się ciska,
I z całej mocy uderza,
Na sadzącego srogą przepaść zwierza,
Wpaja węń drapieżne szpony,
Wiedząc, że w świetle moc cała obrony,
Skrzywionym dzióbem wydziera mu oczy.
Kiedy zwierz we krwi się broczy,
I ciężkim bolem dręczony,
Zwija się we wszystkie strony,
Rażąc powietrze swym krzykiem,
W srogiej walce z napastnikiem.
Ślepy nie wiedząc jak począć w potrzebie,
Kędy zbawienie albo śmierć grożąca,
Stacza się w przepaść, i orła, i siebie
O ostre skały roztrąca.

W tej bajce prawda jest na dnie,
Prawda widoczna i szczerą,
Ten orzeł, kozła chcąc pokonać snadnie,
Kiedy mu oczy wydziera,
Tych przypomina, co w dumnej powadze,
Na głupstwie ludu gruntują swą władzę.
Pielegnować uprzedzenia,
Bronić nauk oświecenia,
Znieść wolność duku, sposób niewątpliwy,
Lud osiadać nieszczęśliwy.
Lecz cóż się można po ciemnym narodzie
Spodziewać w ciężkiej przygodzie?

Nierozeznany, ślepy w każdym czynie,
Łatwo z swym wodzem zaginie.

1807.

Dąb i bluszcz.

W zachodniej części mniej znanego kraju,
Wpośród ciemnego gaju,
Kędy po zwirach mruczał strumień czysty,
Stał dąb ogromny, dawny, rozłożysty.
Ziemię korzeniami głęboko przenikał,
A czołem niebios dotykał.
Pod jego cieniem fiatek wstydlivy,
Żył nieznany i szczęśliwy,
Na łasce wielkich szczęścia nie zakładał,
Wzniósł się, zakwitł i opadał.
Nie takim był bluszcz poziomy,
Co się w blizkim bagnie zrodził,
Podły, chytry i łakomy,
Nisko się czołgał, lecz wysoko godził....
Bo widząc dąb ów wspaniały,
Wraz sobie zamysł uknował zuchwały,
Za jego wsparciem z poziomego krzewu,
Stać się podobnym wyniosłemu drzewu.
W tej myśli pewną drogą postępował,
To jest: pochlebstwem i sztucznym układem,
Czołgał się zwolna, niskim zbliżał śladem,
I nóżki pańskie całował.
Dąb pyszny, widząc nikezemne stworzenie,
Czołgające się po ziemi,
Rzekł mu (nie znając, co jest podejrzenie):

„Chwyć się rączkami twojemi,

„Obok mego pnia i kory,

„Jest to dla wielkich rozkoszą,

„Gdy się mali przez nich wznoszą...”

Bluszczyt na rozkazy tak przyjemne skory,

Skromnie się wznosi i w koło obwija,

A widząc, że mu wiatr pomysłny sprzyja,

Im wczoraj czołgał się niżej,

Tępnie się dzisiaj, i wyżej, i wyżej

I panu szeptem do ucha.

Dziwi się puszcza głucha,

Jak nędznik dębu karmiący się soki,

Tuczy się, i już cały tłusty i wysoki;

Bluszczyt jednak baczną by nie wyszła zdrada,

Przed całym światem powiada:

Że za pański interes i jawnie, i skrycie,

Gotów poświęcić i krew swą i życie.

Lecz kiedy temi pochlebstwy urąga,

Obfite soki i żywne wilgocie,

Przez które okazały dąb przeżył lat krocie,

Ssie bez litości i do siebie wciąga.

Tak dalece, że kiedy krzewina wprzód licha,

Silnie się wznaga, i wzrasta zamożnie,

Dąb, co mu we wszystkim ufał nieostrożnie,

Tucząc pijawkę sam biedny usycha,

I tę naukę zostawia po sobie:

„Jeżeliś wielkim i w zamożnej dobie,

„Wspierać nieszczęsnych miej sobie za chlubę,

„Ale zdračnego strzeż się zauszniaka,

„Co na twoją dąży zgubę;

„Twoje dobro, jego nigdy nie dotyka,

„Wszystko pochlebstwa na tobie wymusi,
„Sam się wyniesie, lecz ciebie udusi.“

1806.

P i e r ś c i e ń.

Kiedy fortuna wzbije cię wysoko,
I w górę wzniesiesz swe czoło,
Miejże naówczas czujne na to oko,
Jak się otoczysz wokoło.
Bo jeżeli gmin sług, przez twój wybór własny,
Będzie i płochym i ciemnym,
Ujmie twej cenie, słumi blask twój jasny,
I sam się staniesz nikczemnym.
Żyd jeden, znany po jarmarkach wielkich,
W Lipsku, Frankfurcie i Dubnie i Lwowie,
Biegły w szalbierstwach i konszaktach wszelkich,
Dostał dyament, ale co się zowie,
Prześliczny, i pierwszej wody.
Jakie to były dla Josiela gody,
Na widok jego blasku i wielkości,
Nie posiadał się z radości.
Lecz, jak to bywa pomiędzy żydami,
Co nieraz psują, kiedy chcą poprawić,
Kazał ten kamień w pierścionek oprawić,
I nikczemnemi otoczyć rautami.
I cóż się stało, gdy go chciał sprzedawać,
Połowy ceny nikt mu nie chciał dawać.
„Kup Waśc, żyd mówił w ułożonej minie,
Księżnie jejmości lub pani hrabinie,
To pierścień śliczny, cudny, niesłychany.“
„Cóż ja z nim pocznę, mój żydku kochany,

Mówiła każda — jaby'm tej brzydoty,
Choćbyś mi dawał za czerwony złoty,
Nie chciała nosić; średni kamień ładny,
Ale sam patrzaj, jak obwód szkaradny.
Rząd rautów wszystko i szpeci i kryje,

Ni to na głowę, ani też na szyję.“
Chociaż odprawian często nieprzyjemnie,
Żyd łąził wszędy, lecz wszędy daremnie,
Nakoniec widząc, że przez otoczenie,
Pierścienia swego sam zaszkodził cenie,
Okolne rauty za okno wyrzucił,
Zbył kamień, i koszt we trzykroć powrócił.

1808.

Kura i kaczęta.

Choć swym kogutem zajęta,
Wylęgte przez się kaczęta,
Nad stawem wodziła kura,
Mniej na cudze baczna płody.

A że kacząt jest natura,
Z małego isć do wody,
Uczyniwszy szereg długi,
Chyląc się w ten bok i drugi,
Szły na przestrzeń głęboką;
Nic nie zważając, że paszczą szeroką
Sum okrutny siedząc na dnie,
Mógł kilkoro połknąć snadnie.
Że czepy sterczące w górę,
Mogły na wskrós przebić które;
Że w koło przygód bez liku.
To widząc pliszka na małym kamyku

Stojąc, kiwając główką i ogonkiem,
Dybiąc za muchą lub wodnym pająkiem,

Gdy je koleją porywa,

Tak się do kacząt odzywa:

„Śliczna też to wasza mama,

„Bawiąc się z kogutem sama,

„Nie nie dba o wasze zdrowie,

„Jak też być może tak płocha?”

Jedno jej z kacząt odpowie:

„To tylko nasza macocha.”

1808.

Róża i flaszeczka.

Na gotowalni Ismeny,

Stały piękności narzędzia,

Puszki, nalewki, bez ceny,

Grzebienie, kutas z łabędzia,

W pośrodku przyjaciel drogi,

Czasem słodki, nieraz srogi,

Ten, co ją jeden widział z rana zbladła,

Stało zwierciadło.

Przy gotowalni, i puszkach bez liku,

Obok na małym stoliku,

Nie wiem po lewej, czy po prawej stronie,

W porcelanowym wazonie,

Rozwinięty do połowy,

Stał krzak różowy.

Ten swą pięknością zaprzątńniony cały,

Z pogardą patrzył na złoto, kryształy,

Na łańcuch, co się pysznym blaskiem chlubił,

Z całego jednak gotowalni zbioru,
Choć inne były świetniejsze z wyboru,

Małej flaszeczki nie lubił.
Ta z czystego głązu rżnięta
I szczelnie korkiem zatknięta,
Kosztowne wonie zawiera.

Jedną ją ręką Ismeny otwiera;

Krzak do niej w takiej odzywa się mowie:

„Nie wiem, co w mej pani głowie,

„Że taką fraszkę, ze szkła bryłę lada,

„Ciebie nademnie przekłada.

„Mnie chociaż zorza łzami swemi rosi,

„Chociaż jestem kwiatów wzorem,

„Gdy weźmie z rana, porzuci wieczorem,

„A ciebie zawsze, na piersiach swych nosi.

„Zkąd to pierwszeństwo, i cóż się to zowie?”

Flaszeczka na to odpowie:

„Dlaczego pani przekłada mię biedną,

„Co mi się zdaje powiedzieć gotowam:

„Ty woń twą ronisz dla wszystkich za jedno,

„Ja moją dla niej samej tylko chowam.”

Do was kobietki łudzące,

Wszystkim podobać się chcące,

Sens tej bajki jest zwrócony.

Ta, co swą czułość zwraca w wszystkie strony,

Co uśmiechy i spojrzenia,

Ciche szepty, powierzenia,

Zarówno wszystkim udziela,

Jak róża, co swój zapach zionie wszędzie,

Zalotników liczyć będzie,

Nie zatrzyma przyjaciela.

S z c z u p a k.

W stawie, co raczej był wielkiem jeziorem,
Tak, żeś nie ujrzał gdzie jego początek,
Razu jednego we czwartek wieczorem,
 Łowiono ryby na piątek.

Gdy jedni łodem ciągną, drudzy w łodzi,
I ciężka sieci do brzegu dochodzi,
Pan cheiwy, już się zdaleka wpatruje,
Co się też w matni znajduje?

Było ryb wiele: tam karpie tuczone,
Liny, okonie i płocie wzgardzone.

- Z pierwszych co większe pan bierze dla siebie,
A mniejsze rzuca ku dalszej potrzebie.
I lin i karaś życiem darowany,
Lecz każdy szczupak wraz na śmierć skazany.
Człowiek go biorąc: „ty, rzecze, niegodny,
„Ty, prawdziwie wilku wodny,
„Co nieustannie paszczę twą otwierasz,
„I bez litości ryby me pożerasz,
„Nie chcęć jak inne wolnością darować,
„Lecz zaraz każę z pieprzem ugotować.“
Szczupak odpowie: „właśnie też Waszmości,
„Bardzo do twarzy mówić o litości,
„Cóż, że ja biedny, przymuszony głodem,
„Zjem płotkę, małym pożywię się płodem,
 „I to mnie tak srodze wini?
 „Stokroć człowiek gorzej czyni,
„Gdy nie z potrzeby, nie dla pożywienia,
„Dla pustej chwały, lub też z przywidzenia,
„Nie płotki, własnych swych braci,
 „Męczy, zabija i traci.

„A gdy tysiące srodze zamorduje,
„Cieszy się dumny i Bogu dziękuje;
„Wierzaj mi człeku wyrodny,
„Przy tobie tygrys łagodny.“

1808.

Lew i piesek.

W pośrodku pustyni Afryki,
Gdzie mieszka ród zwierząt dziki,
Lew monarcha nad wszystkimi,
Pomiędzy tylu innymi,
Którym swej łaski udziela,
Za powiernika, i za przyjaciela,
Małego pieska wybiera;
I gdy z słońcem na niego poзира,
Głosem jak tylko lew może łagodnym:
„Stań ze się rzecze względów moich godnym.
„(Mówią, że ród piesków wierny)
„Ty, ciężar berła niezmierny,
„Ulżyć możesz do połowy,
„I wiele złego uprzędzić.
„Myśl rzadka królom, przyszła mi do głowy,
„Chcę koniecznie prawdę wiedzieć.
„Nie mając względu na żadne pobudki,
„Donoś wszystko bez ogródki,
„Czy w dzień, czy w nocy, czy z rana,
„Bez opowiedzi, i bez szambelana,
„Do gabinetu przystęp ci jest wolny.“
Rozkazom pańskim powolny,
Piesek z spuszczonej ogonem,
Stawał przed monarchy tronem,

Tam nieraz, jak mops poczciwy,
Panu, ojczyźnie zyczliwy,
Słowem, jako wierna rada,
Co należy to powiada.
Za pomyślne donaszania,
Za każdy kąsek ciekawy,
Lew, jak monarcha łaskawy,
Dawał mu łapę do pocałowania.

Mops nasz w największych był łaskach na dworze.

Razu jednego lew w dobrym humorze,

Rzecz do mopsa: „to wszystko, co gadasz,

„Uboczne dzieje, co mi opowiadasz,

„Bardzo jest przednie, lecz chcę wiedzieć więcej:

„Powiedz, co o mnie gada ród zwierzęcy?“

Na ten rozkaz niespodziany,

Stanął jak wryty, minister zmieszany,

By taić prawdę, był nadto poczciwy,

Wyjawić nieco irwożliwy.

„Nie bój się, rzeczce monarcha z uśmiechem,

„Prawdę mówić nie jest grzechem,

„Mów, jakie o mnie jest w kraju mniemanie?“

Na to mops rzeczce: „Najjaśniejszy panie!

„Ponieważ takie są twoje rozkazy,

„Niech to, co powiem, będzie bez urazy.

„Powiada lud twój płochy, gadatliwy,

„Ze Wasza królewska mość, pan mój miłościwy,

„Czy to z doprawdy, czyli tylko żartem?

(„Kazałeś być mi otwartym)

„Przez swe względy dobroczynne;

„Zwierzęta winne albo też niewinne,

„Raczysz łaskawie rozdzierać,

„A nawet nieraz pasterza pożerać,

„Świeży przypadek niejeden wymienia,
„Że u pewnego strumienia,
„Pożarłeś jagnię niewinne i młode,
„Z przyczyny, że dziad jego, mącił wodę.“
Tu z pode grzywy, z pod peruki wielkiej,
Lew toczył okiem iskrzącym,
A potem ryknął głosem tak rażącym,
Że zadrzał ród zwierząt wszelki.
„Wieszże, dla czego takie plotą baję?
„Dlatego, że mops głupi plotkom wiarę daje,
„Wierzysz wszystkiemu; gdybyś nie chciał wierzyć,
„Nikt by nie śmiał potwarz szerzyć.“
Rzekł, i biednego mopsika,
Chwyta w paszczę i połyka.
Każdy zapewne, co te słyszy dzieje,
Nad losem psiny łzy rzewne wyleje.
Biedny, zostawił naukę niesprzeczną,
Że silnym prawdę mówić niebezpieczno,
Bo u nich prawda, ma postać potwarzy.
Lisom się taki przypadek nie zdarzy.

1808.

Obraz.

Raz przyszedłem do obrazu,
W ramach przepysznie złożonych,
W rysach jego podrobionych,
Nie było życia wyrazu.
Czemuż, wołam tę chudobę
W taką przybierać ozdobę?
„Mnie ta przymówka nie wstydzi,
„Rzeknie obraz, nie mróz powiek,

„Gorzej, kiedy się to widzi,
„Ze lepsza suknia niż człowiek.“

1808.

P a p u g a.

Co wam powiedzieć dzisiaj ułożyłem,
Nie jest to bajka ani też zagadka,
Własnymi na to oczyma patrzyłem,
Mam pannę Laurę za świadka.
W obszernej klatce, jak w pałacu jakim,
Pyszna papuga siedziała,
Ubrana w szarym kolorze jednakim,
Innej odmiany nie miała,
Tylko, że order nie po prawej stronie,
Lecz nosiła na ogonie.
Przez dobrą panią postawiona latem,
Gdzie rosły piękne krzewiny,
I pomarańcze i dojnice z kwiatem,
W gmachu, w którym był przepych i wygoda,
I wszystko pięknie i zdrowo,
Jak gdyby jaki zacny wojewoda,
Pomiędzy szlachtą czynszową,
Dumna papuga, lecz ludzka bez miary,
W jadalnej sali miała duże czary,
Pełne przedniego siemienia,
I co dla ptasząt smaczkiem do jedzenia,
Słowem, że stoły trzymała otwarte.
Małe ptaszyny z natury obżarte,
Szczygieł, maleńka sikora,
Czyżyk, pliszka czarno-pióra,
A najbardziej wróble spaśne,

Wszystko, co mogło wleść, przez prątki ciasne

Lazło, i jadło póki ziarna stało.

A potem razem wszystko odleciało.

Te liczne goście, ten dwór okazały,

Dość miłość własną papugi łechtały;

Lecz kiedy sama czując trochę głodu,

Z prątku u góry zleciała do spodu,

Nie było zéru ani odrobiny,

Wszystko wyjadły ptaszyny.

Mówi przysłowie aż nadto prawdziwe:

Wielec małych uciskają,

Ale podobno i to niefałszywe,

Że czasem mali możniejszych zjadają.

1811.

Gęś i osioł.

Choćbyś miał siłę równą lwu samemu,

Lub największemu z niedźwiedzi,

Gdy na rozumie Bóg cię upośledzi,

Ulegniesz nawet słabszemu.

Na kępie kędy chłód i w dnie gorące,

Gdzie bujna topol srebrnym liściem trzęsie,

Porozrzucane po niezmiernej łące,

Pały się gęsie.

Zdaje się dla nas rzeczy niepojęta,

By trawa była do jedzenia zdalna,

Jednakże wszystkie zwierzęta

Twierdzą, że jest delikatna.

Jedna więc z gęsi zieloną murawę

Jadła, jak gdyby najlepszą potrawę.

Osiół wiedziony tymże apetytem,

Gardząc respektem damom należytem,
Zaczął gryść trawę między małym wrzosem,
Tuż gęsi naszej pod nosem.
Rozgniewała się gęś strasznyim sposobem,
Wszczęły się żywe kłótnie i zatargi,
Gdy to naprózno, czerwonym swym dziobem,
Szczypnęła ośła w koniec grubej wargi.
Lecz zwierzę cierpiąc ból srogi,
Tyle rozumu nie miało,
Że się przedniemi bronić trzeba nogi,
Zawsze tylnemi wierzgało.
To jest, nie w stronę kędy ból przenikał,
Ale w tę stronę, gdzie go nikt nie tykał.
I ztąd wypadło, że pomimo mocy,
W końcu walki i gonitwy,
Za nadejściem ciemnej nocy,
Przy gęsi został plac bitwy.
Precz uszedł ośioł, gęś szczęściem zuchwała,
Z radości strasznie wrzeszczała.

1809.

Słowik w urnie.

Między smutnemi ruiny,
W lasku nad maleńką rzeczka,
Kwilący słowik pomiędzy krzewiny,
W żałobnej urnie miał swoje gniazdeczko.
Wesoła pliszka stojąc na kamyku,
„Powiedz mi, rzeczko, kochany słowiku,
„Czemu od dawna i na każdą wiosnę,
„Obierasz za dom, to miejsce żałosne?“

„Zadość się twojej ciekawości stanie, —
Łagodnie słowik odpowie —
„Rodzice moi i wszyscy przodkowie
„Na tem tu drzewie mieli swe mieszkanie,
„Strzaskał je wieher; a ja nieszczęśliwy,
„Życząc, by widok dotkliwy,
„Pamięci zeszłej dni moich nie smucił,
„Osiadłem w urnie i drzewom porzucił.“
Pliszka mu na to: „jeżeli przy korzeniu
„Drzewo puści latorośl i znowu odżyje?“
Przewał jej słowik: „ach! w takim zdarzeniu,
„Z laurowych liści gniazdo me uwiję.“

1810.

Bobry.

Przy pięknym dworze, w strugu czystej wody,
Mieszkał bóbr z dziećmi i żoną,
Dom jego chociaż staroświeckiej mody,
Przez pracę, zmysłność bobrom przyrodzoną,
Wszystko posiadał; czyste były wniścia,
Pełno w komórkach i kory i liścia,
W cichej swobodzie pędziły dni całe,
Jejmość, jegomość i panięta małe.
Szczęśliwi, gdyby w życzeniach nie ślepi,
Żyli jak ojce i dziady.
A będąc dobrze, nie chcieli być lepiej.
Ale przeciwnie, gdyż obce przykłady,
Wszystko popsuć są gotowe.
Nieraz bóbr z wody wyścibiwszy głowę,
Widział, co się w zamku działo,
I jak tam wszystko jaśniało,

Jak małe dzieci pomiędzy szpalerem,
Chodząc sobie z guwernerem,
Jak gdyby na tej niezrodzonej ziemi,
Gadały słowa obcemi;

Pilne na wszystko mając uważanie,
Rzekła do męża bobrzyca:

„Wieszże dla czego tak wielka różnica
„Między człkiem, a zwierzem? oto wychowanie

„Czyni ją, czemuż i bobrzęta

„Nie mają być chowane, jak inne panięta?

„Niech nad naszymi biegłe jakie zwierze,

„Dozór oświecenia bierze.”

Gdy tym zamysłem bobrzyca zajęta,
Papuga kędyś z więzienia wymknęta,
Z pąsem skrzydłem, a szara na grzbiecie,

Wałęsając się po świetle,

Jak gdyby swoje przeznaczenie zgadła,

Przy budzie bobrów na gałęzi siadła,

I zaczęła szczebiotać różnemi języki.

Podobał się ten głos dziki,

Podobały się pióra pąsowe na szranku;

Wraz więc żona do męża: „ah! mój ty kochanku,

„Wszak ta papuga, kiedy dziób otwiera,

„Nakształt dworskiego gada guwenera,

„Co to za szczęście, i przygoda jaka,

„Samo je niebo nam nieci,

„Weźmy zaraz tego ptaka

„Za dozorcę naszych dzieci.”

Wielka powolność była w naszym bobrze,

Co rzekła żona, wraz powiadał: dobrze;

Nie bez trudności przyszło do ugody,

Z papugą naszą dziwaczną.

Musiano wielkie zapewnić nagrody,
I orzechów pensję znaczną,
Nim się podjęła wykwiintnej usługi.
Nakoniec jęła męczyć niebożęta,
Zwierzęta.

Nauczyła ich dosyć przez czas długi,
Wszystkiego tego, co znają papugi:
Jak się krzywić, jak głowę na ramię pokładać,
Jak bez sensu głupstwa gadać,
Rozwodzić krzyki i śmiechy,
Wszystko to dobrze, ale niedługie pociechy
Były rodziców, bo gdy z szczeniąt małych,
Doszły bobry lat dojrzałych,
Pokazało się, co za zał, o nieba!
Że wszystko znały, prócz co bobrom trzeba.
Żadnej do rzeczy domowej ochoty,
Same grymasy, a pasz do roboty.
Zestarzeli rodzice, a nie było komu,
Ni drzewa spuścić, ni zawlec do domu,
Ni tamy ubić ogonem,
Ni się w zimę opatrzeć świeżej kory plonem;
Znędział ród cały, dlatego jedynie,
Że w małej swojej rodzinie,
Ojciec i matka nie myśląc o głodzie,
Nad pożyteczne, woleli, co w modzie.
Późne natenczas było narzekanie,
Na tak zdrożne wychowanie;
Próżno ojciec na dzikie patrząc koczkodany,
Skarzył się łzami zalany:
Biada nędznemu, lecz tak zawsze bywa,
Kiedy papuga bobry wychowywa.

K o m i n e k.

Na kominie marmurowym,
Wśród zimy, ogień palił się wyborny,
Gospodarz domu przezorny,
Hojnie go drzewem podsyczał olszowym.
Pokój był duży, a zatem i chłodny;
Wszyscy więc, księżna, hrabina,
Poważny starzec i elegant modny,
Cisnęli się do komina.
Skoro się ogień zaświecił,
Z rannej do wieczornej doby,
Szczęśliwy, kto go choć na piędź zachwycił.
Przez pierwsze z gości osoby,
Komin był ciągiem wkoło otoczony,
Ileż on słyszał szeptania,
Zwad, miłości, pojednania.
Ztąd więc dumą napuszony,
Wszystkie do ciepła zapędy,
Brał za powinne swej wartości względy,
Patrzył z pogardą i wielkimi fochy,
Na krzesła, stołki i sofy.
Trwało głupie zaślepienie,
Aż póki lubej wiosny słodkie technienie,
Nie jęło ziemi przygrzewać i świecić,
Wtenczas, gdy ogień zaprzestano niecić,
Każdy chcąc wiosny, chwycił oddech świeży,
Porzuca komin i do okna bieży.
Nikt się przy nim nie został, ale co się zowie
Nikt, porzucili nawet froterowie;
Opuszczon zewsząd, na niewdzięczność tkliwy,

Poznał komin nieszczęśliwy,
Że zgraja, co go chciwie otaczała,
Nie jemu, lecz się ogniewi kłaniała.
Gdy stracisz, co ci fortuna udzieli,
Dopiero poznasz, czy masz przyjacieli.

1810.

Wiewiórka i niedźwiedź.

Żywa, wesółą, zgrabną całym tokiem,
Z gęstym ogonem i wypukłym okiem,
Gdzie leszczyna rośnie krzywa,
Żyła na dębie wiewiórka szczęśliwa.
Ani się temu przynależy dziwić:
Wszystko, co zwierzę może uszczęśliwić
Wiewiórce dali Bogowie,
Rozum, wesółość i zdrowie,
I miłość pracy, starania przezorne,
Czyste sumienie i serce wyborne.
Nie mógł oszczerca dowieść mową srogą,
Żeby choć na włos ukrzywdziła kogo.

Posiadała przymiot rzadki,
Przymiot, co mędrzec za pierwszy policza,
Oddalonemi nie gryść się przypadki,
Korzystać z chwili, której los użycza.

Z tej przyczyny w każdej porze,
Zawsze w przedziwnym humorze,
W ciągłej przemianie, pracy i zabawy,
Życie pędziła. Zielone murawy,
Z lubym małżonkiem przelatując szybko,
Suwała z lipy na topolę gibką;
Baczna na przyszłość, póki wiek i siła,

Do wydrażonej swej strzechy,
W pyszczku i łapkach znosiła,
Dojrzałe zewsząd orzechy.
Te prace i to na przyszłość baczenie,
Nagrodziło dobre mienie;
Bo kiedy zima obnażyła lasy,
I zwierz niejeden obumierał z głodu,
Wiewiórka miała obfite zapasy,
Dla siebie i dla maleńkiego rodu.
Wszystko w jej domu czysto i wygodnie,
I mówić można, że żyła swobodnie.
Widok prawdziwie był rozrzewniający,
Kiedy śnieg padał albo grad bijący,
Jak od tej słoty bezpieczne,
Piękne, wesołe i grzeczne,
Dzieci przy matce zasiadły wokoło,
Gęstym ogonem zasunawszy czoło,
Muskając pyszczek przednimi łapkami,
Ciekawie strzygąc uszkami,
Słuchały, co im matka rozprawiała.
A ta, przygody, gdy wspomina walne,
Wszędzie nauki moralne,
Do swej rozmowy mięszała.
Mówiła, jak to nim czas nadszedł śnieżny,
Nieraz na okno biegała do księżny,
Jakie to państwo, jakie pokoje ozdobne,
Jak zacne syny i córki nadobne,
Już naśladować umieją rodzice.
Słowem, że nie ma różnicę:
Że tam, jak u nich w czynie i powieści,
Cnota, wesołość i dowcip się mieści.
Nikt tam, mówiła, nie odchodzi próżno,

Ileć blednych darzyli jałmużną,
I ja choć wiewiórka mała,
Kilkam orzechów dostała.
Tak używała wieczorów zimowych,
Aż póki wiosna ogrzewając ziemię,
Czynne i wesołe plemie,
Do zabaw i prac nie wróciła nowych.
Lecz nie ta jeszcze treść powieści cała.
Na wierzchu dębu wiewiórka mieszkała,
To wiemy, ale któż mieszkał u spodu?
Stworzenie wcale przeciwnego rodu.
W zapadłej jamie, głuchej, niedostępnej,
Zwierze postaci srogiej i posepnej,
Niedźwiedź, co zawsze rzucał się i srożył,
Mieszkanie swoje założył.
Nie wylazł tylko, żeby czynić szkodę,
Czyli się dostał w rolniczą zagrodę,
Tratował grykę i ule wydzierał,
I nieraz pszczoły niewinnie pożerał;
A gdy zjadł zboże, drzewa pootrzęsał,
Jeszcze się gniewał i dęsał.
Przez całe życie smutny i leniwy,
Nie znał, co moment szczęśliwy;
Z niezgrabną żoną, żyjąc chwilę małą,
Nie wiedział, co się z nią i z dziećmi stało.
Latem po puszczy i mrucał i psował,
A gdy mróz już następował,
Gdy śnieżna flaga już zaszła na niebie,
Nie kontent z drugich i siebie,
Las obnażony porzucił,
I do smutnej jamy wrócił;
Bez zapasu, nie mając co psuć i gryzać,

Nędzny, przez zimę musiał łapę lizać.
Uczcie się młode panięta
Nauki, co wam te dają zwierzęta.
Wiedźcie, że jak praca czynna,
Słodycz w obejściu, wesołość niewinna,
Życie nam czynią przyjemnem,
Tak dzika srogość z wejrzeniem podziemnem,
Lenistwo choćby przy największej sile,
I serce, co nie nie czuje,
Rozlewa gorycz na młodości chwile,
I przykrą starość gotuje.

1810.

Światło i ciemność.

Sułtan Wampunu, przed niewielu laty,
Ciężkie bardzo poniósł straty:
Drogie kamienie, po części skradzione,
I w koronie osadzone,
Niebacznie nosząc, pogubił;
A że je serdecznie lubił,
Więc przez firmy wydane,
Zachęcił wierne poddane:
Aby, jeśli go cokolwiek kochali,
Tak wielkiej zguby szukali.
Obiecywał im nadto niezmierne nagrody,
Mądre prawa i swobody.
Zachęceni tym głosem, odważne janczary,
Derwisze, Szpahy, Imany,
Słowem wszystkie muzułmany,
Zakasawszy szarawary,
Z niezmierną pracą, przy niezmiernych znojach,

Szukali po ulicach, dziedzińcu, pokojach.

Nie mogąc znaleźć, uradzili zgodnie,

Żeby zapalić pochodnię

I przy jej świetle szukać i po murach,

Po najmniejszych szczelnościach, po kątach, po dziurach.

To się udało, skutkiem prac łozonych,

Tylu światel połączonych,

I usiłowań i cnoty,

Poznachodzono klejnoty.

Co więcej w tejsze usłudze,

Poznachodzono i cudze,

Szafiry i rubiny, pereł szereg cały,

Co nigdy do Wampuna ani należały,

Ale, że bardzo piękne i ognia wielkiego,

Choć były cudze, powiedział, że jego,

I zabrał sobie; lecz przejęty trwogą,

Widząc, ile przy świetle ludzie zdziałać mogą,

Bojąc się srodze, by w innej potrzebie,

Nie używali pochodni dla siebie,

Rozkazał w głównym meczecie,

Aby wierni w Machomecie,

Pogasili natychmiast bez żadnej różnice,

Wszystkie pochodnie, latarnie i świece,

I ażeby, kto żywot swój pragnie ocalić,

Nie ważył się i stoczka małego zapalić;

Ciemność więc była, tak gruba, daleka,

Żeś nie rozeznał bestyi od człowieka.

Lecz cóż się stało, gdy panują cienie?

Zgasły i samej korony promienie.

Wytrysk i strumień.

Z śnieżną pianą z wrzącym szumem,
Gdzie pyszne były ogrody,
Między gęstych widzów tłumem,
Wytrysk wyrzucał swe wody.
Gdy szklanne pasmo podnosił do góry,
Słoneczne farby, złoto i lazury
Objając się o jasne kryształy,
Zwodniczym blaskiem igrały.
Każdy patrzył z uniesieniem,
I choć czas daremnie trawił,
Przecięż się dziwił i bawił,
Wyskokiem iskier srebrzystych.
Obok ogródka między gajów cieniem,
Wpośrodku smugów kwiecistych,
Cichym nurtem strumień płynął,
W spokojnem swoim korycie;
Ni to on szumem, ni szparkością sływał,
Lecz za to skrapiał obficie
Poblizsze pola, i łąki i krzaki.
Pewny w swym biegu i zawsze jednaki,
Choć nikogo nie zadziwiał,
Ani czynów swoich głośił,
Wszystko atoli wilgocią zażywiał,
Wszędzie pożytek i żyźność roznosił.
Jakie imiona te nosiły wody,
Jeśli objawić wymaga porządek,
Powiem bez żadnej dla nikogo szkody:
Wytrysk był dowcip, a strumień rozsądek.

Ś l i m a k.

Powolnym krokiem z spuszczonei oczy,
Jak ten, co go smutek tłoczy,
Gdzie góry strome skaliste,
Cienia buki rozłożyste,
Chodziłem ścieżką; alić wedle krzaka
Na piasku, widzę ślimaka.
Ten, dom swój niosąc na grzbiecie,
Chociaż nieznacznie, postępował przecie.
Rzekłem więc głośno: „o biedne stworzenie!
„Jakie być musi twoje udręczenie,
„W długich podróżach, w każdej życia dobie,
„Nosić ten ciężar na sobie.“
Tu, co za cudo, o nieba!
Ślimak głośno odpowiada:
„Nie rozkosz, ale potrzeba,
„Tym nas ciężarem okłada;
„Był przed laty byt nasz dobry,
„Jak ludzie, albo jak bobry,
„Tak i ślimaki łążące,
„Mieli swe domy na ziemi stojące.
„Lecz cóż się stało, o dniu pełen twogi!
„Przyszedł bestyjek tłum mnogi,
„Z ostremi szpony, wąsate,
„I całe prawie kosmate,
„Zjadłe, zapamiętałe,
„Niszczące krainy całe.
„Naprzód po domach jeły się rozgaszcząć,
„Potem je całkiem przywłaszcząć,
„Tak, że gdy ślimak ubogi,
„Z dalekiej powrócił drogi,

- „Nie znalazł domu, a nieszczęsna żona
„Z dziećmi na dwór wypędzona.
„Ach, był to ucisk straszliwy!
„Aż ślimak jeden sędziwy,
„Widząc swój naród w ostatecznej chwili,
„I że zginie plemię całe,
„Radził, co widzisz, byśmy domki małe,
„Zawsze na grzbiecie nosili,
„Przez ten sposób ród ślimaczy,
„Jeszcze coś po lasach znaczy.
„I wyście zwierzem, los mię wasz obchodzi,
„Jeżeli więc radę udzielić się godzi,
„Zwłaszcza w najeździe burzliwych orszaków,
„Co gnębią ludzi, równie jak ślimaków,
„Radziłbym byście tak jak ja czynili,
„I domy wasze na plecach nosili;
„Lecz próżno, rady nie będziecie prosić,
„Bo już podobno nie macie co nosić.“

1812.

P a w i s o w a.

- Często przymioty na których nam zbywa,
Przez zawiść, co się tajemnie odzywa,
Bierzem u drugich za błędy i wady,
Tę prawdę setne dowodzą przykłady.
„Co za twór brzydki, zawoła na pawia,
„Sowa dumą napuszona,
„Napróżno biedny nadstawia,
„Złoto swojego ogona,
„Jakie ruszenie niezgrabne,
„Słowem wszystko niepowabne.“

„Prawda, paw rzeczce, i przyczyna snadna,
„Dlategoom brzydki, że ty jesteś ładna.“

1813.

Fiałek i kamień.

Blady fiałek z głową pochyloną,
Nad strumykiem w chłodnym cieniu,
Rósł przy kamieniu.

Czyli dzień czarną powłókkł się oponą,
Światło się skryło nocnego księżyca,
Czy błysła zorza różowego lica,
On przez tkliwości swej skutek,
Czuł w każdym listku i radość i smutek.

„I cóż ci z tego, żeś tkliwy,
Rzeknie mu kamień nieczuły,
„Za chwilę którąś szczęśliwy,
„Ileż ci godzin frasunki zatruły?
„Dziękuję za dary takie,
„Ja ich bynajmniej nie cenię,

„Dla mnie na świecie wszystko jest jednakie,
„Dlategoom czerstwy i dobre mam zdrowie...“

— „Gadasz, jak gadać nawykły kamienie, —
Skromny fiałek odpowie, —

„Czym jesteś, z mowym cię poznał,
„Nie zna wesela, kto smutku nie doznał.
„Zostań nieczułym, ja wolę mą smętność,
„Wolę łzy rzewne, niż twą obojętność.“

1812.

Jeniusz i rozsądek.

Wyniosły geniusz i zdrowy rozsądek,
Wielkie z sobą wszczęli spory,
Nie szło o miejsca porządek,
Jeniusz cudownemi twory
Pierwsze miał w świecie zalety.
Szło, kto w zamierzonym kresie,
Wieniec nagrody odniesie,
I pierwszy stanie u mety.
Śmiał się duch pyszny, że rozsądek skromny,
Bez skrzydeł, co by go wzbiły,
Na niższość swoją niepomny,
Z niepojętymi chciał się mierzyć siły.
Kiedy więc chwila nadeszła zawodu,
Rozwinął skrzydła, wziósł się pod obłoki,
Przeciwnik jego nie zmieniając chodu,
Niespiesznie, lecz pewnemi postępował kroki.
Zepsuty szczęściem, zbyt zarozumiały,
Zbyt przyuczony do chwały,
Buja geniusz, powietrza szlaki wszystkie śledzi,
Pewien, że zawsze wyprzedzi,
Gdy się szalonym polotem unosi,
Na północnej świata osi,
Okropny wichur powstaje,
I łamiąc skrzydeł rozciągniętych brzemię,
Łbem na dół pada na ziemię,
A kiedy geniusz na żywioły łaje,
Srogimi grozi odwety,
Rozsądek stanął u mety.

P a w i s ł o w i k .

Rozpiąwszy ogon na koło,
Stał paw prosto wyprężony,
Leciuchna kitka zdobiła mu czoło,
Iskrzący rubin i szmarag zielony,
Błękitny szafir i topaz bogaty,
Okrywały pyszne szaty;
Patrzył i nogami deptał.
Skoro ogonem zatoczy,
Wszystkich na się zwraca oczy,
Ten głośno wołał, a ów cicho szeptął:
„Ach, co to za ptak prześliczny.“
Zbiera się zewsząd widzów poczet liczny,
Piękność piór jego wysławia,
Lecz kiedy się unosili,
Aż w tejsze chwili,
Wszyscy porzuciwszy pawia,
Do małej biegli krzewiny;
Z jakiejże prosię przyczyny?
Wszakże tak ich zadumiewał.
W tym krzewie słowik zaśpiewał...
Nad drogie szaty i jasne kamienie,
Dla serc tkliwych słodsze pienie.
Tej prawdy był już Mecenas przykładem,
Nieraz on przepych Augusta porzucił,
Szedł do Tyburu, by nad wodospadem,
Słuchał jak Horacy nucił.

Kukawka.

Wiosna świat lubym owionęła technieniem,
Już świeżym liściem las się przyodziewał,
Ród ptaszy wesół szczęścia uniesieniem,
Kochał i śpiewał.

Wszędy ruch wielki, gwar rozlicznych głosów,
Napełniał gaje i poziome krzaki,
Te wiją gniazda z gałązek i włosów,
Te niosą w dzióbkach dla dzieci robaki,
Lub ścielą puchy i małeńkie trawki.

Wszystko się trudni, prócz jednej kukawki.

Ta tylko baczna na korzyści swoje,
Nie znała tego, co moje i twoje,
Samolub wielki, mniemała, że inni
Dla niej pracować powinni.

Zimna, rozkoszą nie gardziła przecie,
I jak to bywa na świcicie,
Z miną skromności obłudną,

Jak powiadają, nie zbyt była trudną;
I jasnym tego dowodem,

Bo, gdy się blizką czuła na zleżeniu,
Mniej dbając, co się z młodym stanie rodem,
Postrzegła gniazdeczko w cieniu,
Niewielkie, ale porządnie uwite,
Od deszczu wonnym jaśminem nakryte,
W tym gniazdeczku ziemia mała,
Na pięciu jajach siedziała.

„To właśnie dla mnie wygodne mieszkanie“,
Myśli kukawka i prosto tam leci,
Mówiąc do ziemy: „chwałę twe staranie,
„Lecz kiedy lubisz tak dzieci,

- „Pozwól, że trochę usiedę,
„I w tym gniazdeczku połów leżyć będę,
„Jak zlegnę, tobie dla przyszłej młodzieży,
„Starczyć pokarmu należy.
„Pięć razy na dzień jeść im będziesz dawać,
„I tyle razy napawać,
„Czyś pilna, spojrzę czasem z tego dęba....“
— „Wielmożna pani, odpowie ptaszyna,
„Jam jest tylko biedna ziemba,
„To małe gniazdo cała ma družyna,
„I ja i mąż mój z samego poranku,
„Pracujący bezustanku,
„Ledwie wyżywić mozem niebożęta,
„Biedne pisklęta.
„Cóż, gdy przybędzie wasze pokolenie,
„A zwłaszcza teraz kiedy pożywienie
„Rzadkie jest, skąpe w robaczki są lasy,
„Słowem ciężkie bardzo czasy?
„Czemuż mię z mego rugować kącika,
„Nie lepiej, żeby pani dobrodzika
„Uwiwszy gniazdo wspaniałe,
„Sama w niem żyła i panięta małe?“
Przerywa ziemie: „Rad nie potrzebuję,
„Lecz na nieszczęście, gdy się w ciąży czuję,
„Gdy zbyć się trzeba nudnego ciężaru,
„Ustąp mi z miejsca bez dalszego swaru,
„Inaczej doznasz, że niezawsze głaszczę,
„Zaraz cię z gniazda całego wywłaszczę,
„Innym ta sprawa nie pójdzie sposobem.“
To mówiąc, skrzydłem i dziobem,
Potrąca ziembę, jaja jej popycha,
Tysiąc narobiwszy licha,

Siada, rodzi i ucieka.

Napróżno ziemba narzeka,

Cóż słaby pocznie, gdy gnębi potęga,

Westehnie, zapłacze i znosi z pokorą.

Choć ciasno, ziemba zasiadłszy wylęga

Dwie kukawki i ziembiąt pięcioro,

Wtenczas dopiero zaczęła się biada,

Gdy przyszło żywić pisklęta tak liczne,

Ziemba i mąż jej, choć grad nawet pada,

Latały chwycić muszki ponadrzęczne,

Drobne robaki, zwir lub kamyk mały,

Bo kukawki strasznie wymyślały.

Im bardziej rosły, tём trudniejsza praca,

Nakoniec kiedy zeszło im na sile,

Wyżywić siebie, karmić dzieci tyle,

Zgryzota biednej ziemby życie skraca.

A wkrótce potem, gdy nie było komu,

Co by dla małych kto przyniósł do domu

Choć przynajmniej kroplę wody,

Próżno wołając aż do późnej nocy,

Ziembi kukawek zginął poczet młody.

Takie są skutki gwałtu i przemocy,

Możesz najechać ubogą chudobę,

Nieś w dom niewinny nędzę i żalobę,

Lecz gnębiąc słabych, tём się nie z bogacisz,

Co wydrzesz, wkrótce nieszczęsny utracisz.

Bo to prawda oczywista,

Ze ten, co krzywdzi, nigdy nie korzysta.

W o ł y.

W wieku szczęśliwym, w którym dziś żyjemy,
Wiadomo wszystkim, ile wołów zjemy.

Jedzą je żydy i pany,

I piechury i ułany,

Nawet drab, co się wałęsa,

Zawsze pewien kawał mięsa.

To prawda, zraz pieczeni,

Gdy się dobrze zarumieni,

Smaczny jest bardzo, lecz i tu różnica,

Bo gdy dla ludzi dobra polędwica,

Kiedy nam miło jeść woły i spijać,

Nie miło wołom dawać się zabijać.

Nie dziw więc, że się bydłom sprzykrzyło,

Że ich tak wiele na rzeź wychodziło.

Jeden z nich znaczny wzrostem i powagą,

Wzruszon szlachetką zniewagą,

„Długoż, rzekł, będzie się godzić,

„Człeku nad bydłem przewodzić?

„Czy my to wróble, czy żaby nikczemne,

„Czyli jakie płazy ziemne,

„Byśmy bezbronne gubić się dawali?

„Czas jest, abyśmy powstałi.

„Zniszczmy człowieka rodzaj nieużyty,

„Kolmy rogami, tratujmy kopyty....“

— „Nie dobrze gniew twój doradza,

Rzekł wół poważny już wiekiem,

„Nie trzeba mścić się nad człekiem,

„On sam plemię swe zagładza,

„Przez mordy, rany i guzy,

„On nas przewyższa swą nędzą,

„I czymże nasze szlachtuzy,
„Przy tych, na które go pędzą?
„Samych ludzi srogie hordy,
„Powetują nasze mordy.
„W walkach wśród których się biedzą,
„I w których wiecznie się krwawią,
„Sami siebie wkrótce zjedzą,
„I świat zwierzętom zostawią.“

1812.

Złoto i żelazo.

Dukat świetnem pyszny złotem,
Pod twardym jęczący młotem,
Tak na swe losy narzekał:
„Czegożem ja się doczekał,
„Ach! jaką dla mnie to skazą,
„Być gnębionym przez żelazo;
„Przez kruszec podły i twardy...“
„Chciej powściągnąć ton twój hardy,
„Młot na dukata zawoła,
„Nikt tego zmienić nie zdoła,
„Nikt tej prawdy nie ukryje,
„Że żelazo złoto bije.“
Póki żelazo będziemy posiadać,
Umieć jak pługiem i orężem władać,
A cnota z męstwem będą kraju stróże,
Piekielna chciwość nigdy nie przemoże.

1814.

Wół i skowronek.

Tam gdzie skowronki najtłuszczejšie w świecie,
Podobno w lipskich równinach,
Zdradliwy ptasznił już zemknął swe siecie
Na przełęcznionych ptaszynach.

Nie bez przyczyny były ciężkie trwogi,
Gdyż im śmierci rodzaj srogi
Stawał już w oczach, ten sam co się darzy,
Wśród barbarzyńskich moczary,
Kiedy ich dławią taśmą pozłacaną.
Słowem ptaszki dusić miano.

Jeden z skowronków wołał tonem tkliwym:

„Lituj się nad nieszczęśliwym,
„Szanuj wdzięczne moje pienie,
„Niech srogość twoją ukoi,
„Patrz, oto duży wół stoi,
„Da ci lepsze pożywienie.“

Na to człek rzecze: „wół ten zostać musi,

„On nas żywi i bogaci,
„Ciebie choć sznurek udusi,
„Świat na tem mało co straci.
„Że się nie wacham w wyborze,
„Niechaj cię to nie zdumiewa,
„Potrzebniejszy ten, co orze,
„Anizeli ten, co śpiewa.“

I cóż moralność tej bajeczki znaczy,
Zmierzaż do celu jakiego?

Do cikliwych wierszy bazgraczy,
A naprzód do mnie samego.

M e l o n .

U szlachcica w dniu czwartkowym,
Na półmisku farfuruowym,
Pokazał się przy obiedzie,
Przed jegomością na przedzie,
Melon dosyć okazały,
Piękny, dojrzały,
Jaki nie wszystkie zwykły miewać domy.

Na ten widok tak łakomy,
Radość w twarzyczkach się świeci,
U małych dzieci,

I dziewczynek i chłopczyka,
Każdy już ślinkę połyka.

Gdy się do wetów zabrano,
I melon krajać już miano,

Rzekła pani Stolnikowa:

„Niechaj się ten melon schowa,

„Jest on pierwszy w fruktów rządzie,

„Może nam jutro kto z gości przybędzie,

„Wszakże przed państwem popisać się godzi,

„Nieprędko taki melon się urodzi.“

Na ten wyrok tak niemiły,

Wszystkie się dzieci skrzywiły.

Wielki się smutek w twarzyczkach maluje;

Nazajutrz melon znów się pokazuje,

Nikt nie przyjechał, i znów go sprzątnięto,

Toż samo we dni powszechnie i święto.

Nakoniec po dniach czterech albo pięciu,

W środku, na końcu i w całym objęciu,

Czarne się plamy rzuciły.

Wtenczas nie bacząc czy jejmość połaje,

Sam pan Stolnik melon kraje.
O nieba! cały był zgniły!
Jeżeli fortuna znana swoją zmianą,
Rzecz ci nastęrczy wielce pożądaną,
Tej nie odkładaj do jutra nieboże,
Chwytaj ją prędko, nie bądź opieszaty,
Bo jak ten melon dojrzały,
I szczęście zepsuć się może.

1813.

R y b a.

Obok jasnego strumienia,
Człowiek w chwili zamyślenia,
Na zielonym brzegu siedział,
Dumał, a o czem? sam pono nie wiedział.
Widząc atoli prześliczną pogodę,
I mając wędkę, rzucił ją na wodę.
Patrzy na piórko, i czeka, i czeka,
Nie nie przychodzi... już noc niedaleka,
Alić nakoniec coś haczyk trąciło,
Zadrzała linka, piórko się schyliło.
Człęk niecierpliwy, porywczo wyciąga,
Patrzy, aż złapał niewielkiego pstrąga.
Wziąwszy go, rzecze: „o stworzenie biedne,
„Jak się też możesz na robaczki brydne
„Łakomić, chwytając hak, co zdradnie błysnie?“
— „Dlatego, ryba odpowie,
„Że mnie głód nieznośny ciśnie,
„Że prawdziwie, co się zowie,
„Głód tylko jeden, nie chciwość,
„Bo ci przysięgam na moją poczciwość,

„Że przez dobę całą,
„Zjadłam tylko muszkę małą.
„Ale ty, człowieku dumny,
„Tak przezorny i rozumny,
„Co mię o łakomstwo pytasz,
„I nieostrożność mą prędką,
„Czemuż pochlebstwa wędką,
„Sto razy na dzień się chwytasz?
„By chwycić haczyk, mię głód ciężki budzi,
„A ciebie tylko sama próżność łudzi.“
Zdaje się, że te pstrąga uwagi dowodzą,
Że ryby nie tak głupie, za jakie uchodzą.

1811.

Jastrząb i krogulec.

Wzbite w przezroczyście szlaki,
Walczyły z sobą dwa ptaki.
Śmiałe, wyniosłe, nieznające trwogi,
Jeden krogulec, drugi jastrząb srogi.
Gniew ich był nieukojony,
Biły się dzioby, rozdzierały szpony.
Ciekawy wiedzieć o bitwy przyczynie,
Co między niemi sprawiło różnicę,
Patrzę, aż oto szło tylko jedynie,
Który z nich dwojga miał zjeść gołębicę.

To, co się działo między ptaki temi,
Nieraz się pono przytrafia na ziemi.

Manowce i prosta droga.

W jedno miejsce, choć pono w widokach dość różnych,
Wybrało się dwóch podróżnych.
Cel ich drogi był odległy.
Jeden obrotny, przebiegły,
Byleby grosz swój pomnażał,
Na sposoby nie nie zwazał.
Drugi człowiek bogobojny,
Nie znał, co jest czyn podwójny,
Gardząc źle nabyte mienie,
Nad skarby wołał sumienie.

Gdy się ku mecie puszczać przychodziło,
(A wiele ludzi patrzyło),
Człtek rzetelny pewną nogą,
Poszedł sobie prostą drogą;
Lecz oszust z wykrętów znany,
Pomiędzy ludem i pany,
Tak sobie po cichu rzecze:
„Możesz sobie dobry człecze,
„Twej prostej drogi pilnować,
„Ja, co wiem jak się kierować,
„Pójdę sobie manowcami,
„I ukośnemi ścieżkami.
„Nieraz ja po takiej drodze,
„Wiele znachodzę.
„Zacapię pieniądze czyje,
„Oszukam kogo, a nawet rozbiję.“
To mówiąc z miną dość zwawą,
Zawsze w lewą, nigdy w prawą,
Manowcem, gdzie ścieżka krzywa,
Leci, wszędzie coś urywa,

Nie zważając na bagna, na kałuż wezbraną,
Brnie nieraz w błoto po same kolano,
Choć go niejeden potraça i łaje.
Wiele nabrawszy, pierwszy w miejscu staje.
Ale staje tak zwałany,
Tak okropnie pobryzgany,
Że choć bogatym obciążony sprzętem,
Każdy nań patrzył ze wstrętem,
Każdy go palcem wytykał.
Przeciwnie człowiek, co błota unikał,
Co prostej trzymał się drogi,
Przyszedł czysty, choć ubogi,
Z wejrzeniem kędy szacunek się czytał,
Każdy go mile przywitał.

1816.

Sér i kartofel.

Na kartoflu suchym, małym,
W miejscu nieco zaniedbałym,
Żyły robaczki maleńkie.
Nóżki miały bardzo cienkie,
Niezmiernie chude w całej objętości,
Nie było widać jak skórę i kości.
Nie dziw więc, że w takim głodzie,
Zawąchawszy zapach séra,
Co w blizkiej leżał gospodzie,
Na zér ten ród się zwierzątek wybiera,
Obłazi w koło... po kartoflu brudnym,
Zdał się sér przysmakiem cudnym,
Tak, że ród, co był tak suchy,
Utył niezmiernie i miał wielkie brzuchy.

Podobało się siedlisko,
Bojąc się jednak, by dalej, czy blisko,
Nie spytano się, dlaczego tam siedzą,
Jakiem prawem cudze jedzą,
Ażeby na to, coś wyrzec umiały,
Sér ten kartoflem nazwały.
Wkrótce atoli, gdy się strasznie tuczają,
Kiedy się goszczą i huczają,
Zbytek, odmienne w życiu ich sposoby
Zrodziły straszne choroby,
Słowem oznaki śmiertelnej zarazy.
Potrwożyły się najezdnicze płazy;
Zgłębiając srogiej zarazy przyczyny,
Poznały, że te były z własnej winy,
Że temu, który do kartofla wprawny,
Sér będzie zawsze niestrawny;
Że lepiej choćby robak się wygłodził,
Żeby tam siedział, kędy się urodził,
Nie zjadał cudzych przysmaków,
Bo to niepięknie dla słuszných robaków.
Przekonane tą prawdą, zwlokły resztę siły,
I na kartofel wróciły.

1815.

Dwa ptaszki.

Mówią, że w lesie dwa małeńkie ptaszki,
Czyli to były słowiki,
Czyli pstrokate czyżyki,
Czyli też ziemby, to fraszki;
Rozumiem jednak, że ziemby,
Żyły oboje w lesie między dęby.

- Samiec był hoży, przystojny i młody,
Samica mniejszej urody,
Oko piękne, słodka minka,
Słowem prześliczna blondynka.
Do tej tak pięknej postaci,
Co ptasząt umysł i serce bogaci,
Wszystko w nich miałeś zebrane,
Lecz czyli z młodu zdroźnie wychowane,
Czyli z natury przez zdarzenie nowe,
Strasznie były romansowe.
- Raz więc gdzie czysta płynęła krynica,
Siedząc na krzaku samica,
Jak przystoi na ptaszynę,
Tak się do męża swojego odzywa:
„Moje ty serce, me życie jedyne,
„Ta tłuszcza ptasząt pusta, szczebiotliwa,
„Co tu lata między lasem,
- „I ten świat wielki, z całym swym hałasem,
„Może dla płochych być blaskiem zwodniczym,
„Lecz dla dusz tkliwych, prawdziwie jest niczem,
„Bo cóż za rozkosz wpośród tej gromady?
„Ustawny hałas, zaloty lub zwady,
„A nigdzie szczęścia, ani rozrzewnienia,
„Jakież ich są posiedzenia?
„Zlecą się wszyscy: tutaj sójka szydzi,
„Dalej trzpiot szczygieł sam nie wie co brédzi,
„Tam gołębicą wdowa od lat wielu,
„Jęczy po swym przyjacielu;
„Tu swe umizgi prowadzą czeczotki,
„Tam sroki dzikie rozgadują plotki,
„Co mówię, nieraz przylecieć gotowa,
„Nadęta sowa.

„Powiedz kochanku, jakąż w tem zebraniu,
„W tym hałasie, roztrzepaniu,
„Dla dusz jak nasze, tak wiernych, tak tkliwych,
„Znajdujesz słodycz? Nie w gajach gwarliwych,
„Gdzie każdy zwodnie i mówi i czyni,
„Prawdziwe szczęście mieszka na pustyni.
„Ach moje serce, wystaw sobie proszę,
„Co to za radość, jakie to rozkosze,
„W głuchym zakęcie, z trochę ziarna, wody,
„Bez natrętników, bez żadnej przeszkody,
„W każdym momencie, i w każdej potrzebie,
„Być zawsze z sobą, i patrzeć na siebie.“
Mąż jej odpowie: „gdy tak ci się zdaje,
„Lećmy kochanko, choć i w dzikie kraje.“

To mówiąc, skrzydła rozwinąwszy małe,
Lecą przez godzinę całą,
Obok siebie i pospołem,
Bujając górą, ciskając się dołem,
Po samopłynnym przestworze,
Szczęsne, wesołe, w przedziwnym humorze,
Wcześniej oboje stanęli,

Gdzie ich pustynia z resztą świata dzieli.
Słodki był wprawdzie zaciszy początek,

W dniu pierwszym rozmów nie przerwał się wątek,
A jeżeli przerwał, to przez całowanie,
Albo przez tkliwe skrzydełek ściskanie;
Mniej już nazajutrz, na trzeci dzień mało,
W czwartym co mówić nie stało.
Że nieprzerwane, mniej słodkie pieszczoty,
Nareszcie jeli doznawać tęsknoty.
Wpśród poziewań i długości czasu,
Od nudów przyszło do kwasu,

Z małej przyczyny i za powód lichy,
Kłótnie, przymówki i sztychy.
Coby naówczas luba para dała,
Żeby przynajmniej choć sowa zleciała,
A niosąc wieści, by nawet i dawne,
Chciała im przerwać sam na sam ustawne;
Lecz ptastwo, co ich ucieczkę widziało,
Popłółszy trochę, wkrótce zapomniało.
Nareszcie ziemby na tej głuchej dzieczy
Długo pustyni kosztując słodyczy,
Poznały w końcu, nawet w dobrej wierze,
Powiedziały sobie szczerze,
Że niesmak świata, zbytek osobności,
Są trucizną dla miłości.
Zapewne w życiu najśłodsza jest doba,
Sam na sam z lubą osobą,
Miło się rzewnie wylewy tkliwemi,
Lecz miło czasem pogadać z drugimi,
Bo to podobno odwieczną ustawą,
Że towarzystwo kochania zaprawą.
Poprawne ziemby do gajów wróciły,
Szczęśliwe sobą, drugich nie stroniły.

1810.

D w a k o n i e.

Gdzie ciasna droga, a raczej drożyna,
Zeszły się z sobą dwa konie;
Jeden z nich z żytem wiózł wory do młyna,
A w dół nachyliwszy skronie,
Obfitym zlewał je potem;
Drugi cały błyszczał złotem,

Pyszny czaprakiem grzbiet miał ozdobiony,
Na nim haft suty, przy hafcie galony.

Wtem, że droga była ciasna,

Częścią potrzeba, częścią miłość własna,

Wznieciły kłótnie między bestjami,

Dość się spierano żywemi słowami,

Jaki porządek zachować,

Kto się miał zostać, a kto postępować.

Rumak zawołał: „ja o miejsce proszę,

„Ja kwiat młodzieży na mym grzbiecie noszę,

„Rycerza, co jest tak mężnym, tak śmiałym,

„Że nieraz w boju zuchwałym,

„Krocie zabijał, a ileż kaléczył,

„Tegobym nigdy nie zliczył.

„I jam też sławny, bo gdy on wojował,

„Jam kopytami tratował;

„Więc wolną zostaw mi drogę...“

— „Ja się zwycięztwy pochwalić nie mogę,

„Rzeknie koń wiejski, mnie losem przypadło,

„Wlec pług lub bronę, albo ostre radło,

„W tej ja to pracy ciągle, choć powoli,

„Kilka włók twardej uprawięm roli,

„Na niej gdy piękną zasiano pszenicę,

„Ta wyżywiła naszą okolicę,

„I liczną czeladź przez czas dosyć długi,

„Jest w tem podobno kawałek zasługi,

„Więc wyznaj, zem potrzebniejszy.“

— „Ale ja jestem mocniejszy“,

Odpowie rumak, i pędem nań zmierza,

I tak potężnie piersiami uderza,

Że biedna szkapa z swojemi jukami,

Spadła w rów, a gdy robiła bokami,

Nieczuły rumak na biednego zale,
Tratuje zboże i suwa wspaniale....

To bajka, nie się takiego nie zdarzy,
Zawołał Zoil, to ci się przyśniło.

— Bardzo przepraszam, to się przytrafiło,
Kiedy Podole napadli Tatarzy.

Owca i sarna.

Jak miło człeku po długim rozstaniu,
Po długim w obcych krajach przebywaniu,
Gdzie nawet swego nie słyszał języka,
Kiedy kochanych ziomeków napotyka.
Wtenczas już trosków zapomni połowę,
Wszystko co słyszy, jest ważne i nowe,
O tysiąc rzeczy pyta razem chciwie,
Cieszy się, dziwi, lub rozrzewnia tkliwie.
Jam tej słodyczy doświadczył niedawno,
Gdym z Polką grzeczną, światłą i zabawną,
W Sen-Germain, wiejskiem spotkał się mieszkaniu.

Po uprzejmem przywitaniu,
Rozmawialiśmy nie podług zwyczaju,
Mało o sobie, lecz wiele o kraju.
Co za los jego, co za przetrwał burze;
Dalej o wierszach i literaturze
Wszczęła się mowa, jakie są autory,
Czyli się szarpią złośliwemi pióry,
Co za ich dzieła, czyli je kto czyta.
„A wać pan, grzeczna dama mię zapyta,
„Czyliś co pisał w swojej Ameryce?“
Ja na to: „wyznam pani dobrodżice,

„Że pisać czasu nie miałem,
„Daleko więcej w ogrodzie kopałem,
„Mam przecie bajkę i jedną i drugę,
„Przeczytam pani, nie są one długie.“
Gdym skończył, ona zdanie swe ukryte,
Słodzi uśmiechem, co się mówić zdaje:
„Nie bardzo twoje wiersze wysmienite.“

Po niejkiej potem dobie,
„I ja też, rzecz, wczoraj chodząc sobie
„Po owej łące i ciemnej dąbrowie,
„Ułożyłam w mojej głowie,
„Treść jednej bajki, i niezgorszej może,
„Pisać ją, ach broń mię Boże,
„Nadtom do tego leniwa;
„Lecz jeżeli ci się myśl zdaje szczęśliwa,
„Ułoż wierszami błachą mą osnowę.“

W tem opowiada rzecz całą....
Ja widząc dobry morał, myśli nowe,
Biorę me pióro, i ręką nieśmiałą,
Piszę poniżej, co czytać będziecie,
Czyli w tem dobre, czyli złe znajdziecie,
Mnie to nie ściągnie zalety, ni plamy,
Cała rzecz wyżej pomienionej damy;
W pisaniu duch mię pychy nie zaślepiął,
Ona sens dała, jam rymy poczepiał.

W dalekiej stronie Zjednoczonych Stanów,
Wśród ciemnych lasów, przy ciekącej wodzie,
Młody gospodarz na swojej zagrodzie
Miał piękną trzodę owiec i baranów,
Swobodnie one na zielonej łące,
Szczypały trawkę i zioła pachnące,

Pod rozsądnego dozorem pasterza.
Tuż w lesie była moc różnego zwierza,
A sarn najwięcej. Jedna z nich dość śmiała,
Wysmukła, przystojna wcale,
Z jedną z tych owiec ściśle się poznała,
Tak dalece, że w upale
Nieraz pod cieniem jedna przy drugiej leżały,
I zując, poufale z sobą rozmawiały.
Długo się owca rozszerza,
O swych wygodach, o szczęśliwym stanie,
Jak różny był jej od dzikiego zwierza,
Jak czułe pasterz miał o niej staranie.
„Nie pojdziesz, rzeczce, moja ukochana,
„Co to za szczęście mieć pana!
„Nie dość, że latem pasza i zagrody,
„Lecz w zimie nawet pełno siana, wody,
„Pełno wszystkiego, i gdy mrozy lodem
„Zetną krynicę i rzekę,
„Kiedy wy stworzenia dzikie,
„Często srogim mrzecie głodem,
„Przejęte zimnem lub strachem,
„My owce ciepło leżemy pod dachem.“
— „Wszystko to dobrze, odpowiada sarna,
„Pewnie, że wasza szczęśliwa jest doba,
„Przecież rzecz jedna mnie się nie podoba,
(„Może to uwaga marna),
„Widziałam jednak, że gdy owca z drogi,
„Zboczy cokolwiek, natychmiast pies srogi
„Leci, za runo chwyta ją, potrząsa,
„A czasem nawet i kąsa,
„Jest to prawdziwa zniewaga!“
— „Fraszki to, owca odpowie niedbale,

„My trzody, na to nie zważamy wcale,
„Dobro społeczeństw karność wymaga,
„Ale pójdź ze mną ku mieszkaniom człeka,
„Tam skryta będziesz uważać zdaleka,
„Jakie są jego attencje, jak dbały,
„Jak dobrem naszym zajęty jest cały.“
Pod wieczór, kiedy owce drobnym kłusem
Powracają do obory,
Sarna jednym prawie susem,
Staje tam skryta za ciemne jawory.
Wypukłe, czarne wytrzeszcza swe oczy,
Wszystko uważa.... Gdy się dzień już mroczy,
Widzi, mleczarka do ziemi schylona,
Wyciska macior nabrzmiąte wymiona;
Do przyjaciółki tak się więc odzywa:
„Jaka to grzeczność, co za dobroć tkliwa,
„To żeby nawet małe niebożęta
„Nie miały pracy ssać biedne jagnięta,
„Człek im gotowe już mleko podaje.“
— „Nie tak zupełnie, ja ci nie zataję,
„Odpowie owca. że ta wielość mleka,
„Nie jest dla jagniąt, ale dla człowieka;
„Lecz krople, co się w wymionach zostały,
„Ssać mogą dzieci, żeby nie zdychały.“
Po chwili znów się zastanawia zwierzę,
Patrzy, aż ostrzą nożyce pasterze,
Strzygą barany aż do samej skóry.
„To przecie znakiem jest dobrej natury,
„Zawoła sarna, od tego ciężaru
„Uwalniać trzodę wśród letniego paru,
„Bo jużcie prawda, z tą wełną wiszącą,
„Musí być owcom niezmiernie gorąco,

- „Jest to prawdziwie grzeczność delikatna.“
— „Zapewne, rzeczy owca, nam wełna niezdatna,
„Dlatego człek ją z grzbietów naszych zdziera,
„I potem siebie ubiera.“
Chociaż te wszystkie starania gorliwe,
Zdały się sarnie nieco podejrzliwe,
Gdy w każdym widziała sposobie,
Ze człowiek tylko sam myślał o sobie.
Przecież i reszty chcąc się dowiedzieć,
Rzecz: „moja kochana, możesz powiedzieć,
„Co są te skopy tuczone,
„Czarną kreską naznaczone,
„Co ów człek z okropnym wzrokiem,
„Powolnym prowadzi krokiem?“
Owca z westchnieniem, co serce przenika,
„Te skopy, rzecz, pędzą do rzeźnika.
„Człek nas zabija, a potem nas zjada,
„Nie jest w tem okrucieństwo, ani żadna zdrada.
„Ten, co przez życie tyle łask odbiera,
„Chętnie za pana swojego umiera.
„Za niego (tak nas prawo nauczyło),
„Dać się zarznąć każdemu baranowi miło,
„Ach! jaką chlubą, jakim to honorem,
„Lać krew pod nożem, albo też toporem!...“
Dłuższaby jeszcze owca w swym zapale
Szerzyła mowę, lecz sarna przerwała:
„Z wszystkiego, rzecz, com tutaj widziała,
„Rozkoszy twoich nie zazdroszczę wcale,
„Czyś w mowie twojej szczerza czy fałszywa,
„Pod twoim panem żyj sobie szczęśliwa;
„Ja wracam nazad, lepsza puszcza dzika.
„Nie masz tam wygod, lecz nie masz rzeźnika.“

Orzeł i sroki.

Orzeł, co trzyma Jowisza pioruny,
I samych niebian towarzyszy godom,
Co, gdy Bellona puści swe bieguny,
Drogę do zwycięstw wskazuje narodom.
Orzeł szlachetny, znany z dzielnej mocy,
Świat okrążywszy usiadł na północy.
Tam bystre oczy spuszczaając na ziemię,
Ujrzał, że skrzydlate plemię,
Okrutne sępy szarpały.

W uczuciach swoich wspaniały,
Zuchwalców w strony odpędza dalekie,
I ptactwo pod swą przyjmuje opiekę;
Zabrzmiały gaje wdzięczności pieniami,
Ruchając skrzydły, deptając nóżkami,
Ptaszęta radość swą ukazywały.
Ale niedługo te radości trwały,
Niedługo trwała spokojności święta:
Jak ludzie, tak też ptaszęta,
Jeżeli w łonie swym mają cnotliwych,
Mają zawistnych, i złych i kłótlivych.
Od sępa może sroki namówione,
Lub też z natury do płotek stworzone,
Czy orzeł czuwa, czy je, czyli zaśnie,
Ustawnie dzikie przynoszą mu baśnie.
Jedna zaczyna: „już brakło nam żeru,
„To wszystko winą tych, co są u stępu.“
Druga szebiocze: „patrz, co za gromada,
„Nie bez przyczyny to ptactwo się kupi.“
Trzecia się zbliża i do ucha gada:
„Ten ptaszek zdrajca, ten słaby, ów głupi,

„A ów szczygieł, co od nas siedzi niedaleki,
„Co na odgłos twych czynów przyleciał z za rzeki,
„Dawno z łabędziem poufale żyje,
„I coś w umyśle szkodliwego kryje.“
Orzeł z natury i prędko i żywy,
Choć zresztą z gruntu poczciwy,
Życzący dobra ptaszego plemienia,
Słyszając takie obwinienia,
Słyszając ciąg doniesień długich,
Na biedne ptactwo gniew srogi wywierał.
Kiedy gołęb, co na to spokojnie pozierał,
„Nie martw się, rzeczce, i nie martwij drugich.
„Kto jak ty silnym, spokojnym być może,
„Ja słaby, przecież próżno się nie trwożę;
„Te sroki, plotki z sobą nosząc wszędy,
„Fałsz ci za prawdę, za występki błędy,
„I smutne jakieś podejrzenia nuca,
„Wierzaj mi, próżno spokojność twą kłóca,
„Nie bój się ptaszków, ród ten może błędzić,
„Lecz w gruncie dobry, i łatwo nim rządzić.
„Niech słuszna wzgarda szczebiotliwość skróci,
„Twoja i nasza spokojność się wróci;
„Zwycięzki orzeł na czele zastępów,
„Nie od nas słabych, lecz strzeż nas od sępów.“

H o r t e n s y a.

Potrzebując u krawca nowego ubioru,
Lecz nie u krawca pierwszego wytworu,
Co za kamelot i płótno klejone,
Pisząc rejestra dobrze osolone,

A dzierząc przez lat kilka igłę i nożyce,
Kupują piękne wioski, duże kamienice.
Mój krawiec nie jest takim, on w domku drewnianym,
Na przedmieściu mało znaném,
Pracuje tydzień cały, w niedziele spoczywa,
Słowem, zarabia, lecz nie oszukiwa.
Do takiego więc przyszedłem; lecz, że zatrudniony,
Bo właśnie krajał sukna postaw roztoczony,
Czekałem, aż dokończy, i siadłem przy oknie.
Patrzę, w szklance cybulka narcyzowa moknie,
A na koszlawym stoliku,
Stoi hortensya w kąciuku;
Ta, czy postrzegła, że mnie to zdumięwa,
Tak się po cichu odzywa:
„Dziwisz się może, i nie bez przyczyny,
Że wśród tej biednej widzisz mnie drużyny,
Ach! przyjacielu, jaka losów zmiana,
Kiedym z dalekich krajów zawołana,
Pokazała się na tym waszym świecie,
Nie nie mówiono, jak o moim kwiecie;
Goździki, różę świetnie okraszona,
Wszystko to za piec wstawiono;
Hortensya tylko była kwiatem godnym,
I kto nie miał hortensyi, ten już nie był modnym;
Sadzona w wazach złocistych,
Pojona wodą zdrojów przeźroczystych;
Zbyt często Kloe, gdy w południe wstała,
Dla mnie papugi swojej zapomniiała;
Dziś patrzaj proszę, co się ze mną dzieje,
Nie zważają czy kwitnę, czyli też więdniję;
Już nie w pokojach, nie na pysznym dworze,
U krawca mieszkam w komorze.“

To mówiąc, gdyby mogła, byłaby płakała,
Patrząc, jak biedna cierpiała,
Rzekłem jej tonem powolnym:
„Los twój acz srogi, jest z innymi wspólnym;
Wierz mi, na świecie, widzimy to sami,
Co z ludźmi, to i z kwiatami.
Widziałem niejednego, co z dalekiej strony,
Kiedy przybył, był zrazu niezmiernie ceniony,
Wszędzie go pilno szukano,
Ściskano i całowano,
Nie było bez niego święta,
Wyrwali go sobie szlachta i książęta;
Lecz gdy go wieku szrony obsypały,
Kiedy modniejsze figurki nastały,
Ten, co był niegdyś tak cudnym,
Został i głupim i nudnym.“
Dawnej zasługi pamięć się utracą,
A nowość tylko popłaca.

1814.

Iskra.

Wy, których losy spiknione,
Nie przestawały uciskać,
Kiedy dobro utracone,
Potraficie nazad zyskać,
Choćby i w części najmniejszej,
Uczcie się z bajki niniejszej;
Jak ten szczątek pielęgnować,
Jak kroki wasze do tego stosować,
Ażeby pracą i bacznością stałą,
Wrócić z czasem zgubę całą.

Dziejopis króla Popiela,
Następującej powieści udziela.
W te słowa treść jej opiewa:
Gdzie Gopło lśknące powódzie rozlewa,
A lasem droga mało co dostępna,
Stała od wieków świątyni posepna.
Nie był mieszkańcom znany zakon Pański,
Lud wkoło bitny, lecz jeszcze pogański;
Czeił jedynie ogień święty,
Uszanowaniem przejęty,
Miał on w nieustannej pieczy,
To źródło życia, tę istność wszech rzeczy.
Czy Febus słońca podwoje otwierał,
Czy na świat nocy cienie rozpościerał,
Palił się ogień wśród świętej przestrzeni,
Mniej albo więcej jasnymi płomieni;
Lecz zczasem kapłani niedbali,
Czyli, że ogień dość nie podsycali,
Czyli, jak inni twierdzą z zapewnieniem,
Okropnem ziemi trzęsieniem
Gmach się zapadł, i górne waląc się skłópienie,
Gasi ogniska tlejące płomienie.
Padła noc straszna, zniknął żywioł drogi,
Mieszkańcy pełni rozpaczy i trwogi,
Bez pomocy i sposobu,
Błąkali się w cieniach grobu,
I brat brata nie poznawał.
Już się nadziei żaden nie podawał,
Gdy rycerz, co wielkimi dał się poznać czyny,
I świat napełnił sławy swej odgłosem,
Ciągnąc z hufcami przez owe krainy,
Ulitował się nad nieszczęsnych losem.

Wszedł do świątyni, kędy lud się smucił,
Tam ogromnego dobywszy bułata,
Którym odmienił całą postać świata,
I mocarstw tyle wywrócił,
Uderza w kamień, ten się wpół rozpada,
Pod ciosem iskra błyszcząca wypada,
On ją podnosi, kładzie do ogniska,
A radość wszystkim łąy z oczu wyciska.
Wtenczas spuszczałając mąż ów oręż złoty,
„Oto, rzecz, jest iskra drogiej wam istoty,
„Mała, słaba, zaledwie z życiem się pasuje,
„I jak najczulszych starań potrzebuje.
„Zaginać może nieostrożnym ruchem,
„Umieście czystym zasilać ją duchem.
„Strzeżcie od wichrów, bo wicher ją zgasi,
„Doznali tego już ojcowie wasi.
„Waszą pomocą i mojem ramieniem,
„Ta iskra zczasem stanie się płomieniem,
„Najpochlebniejsze uisci nadzieje,
„I dawnym blaskiem znowu zajaśnieje.“

1807.

M r o w i s k o .

Wśród srogiej burzy, wśród wichrów szalonych,
Czyniących sobie z wszystkiego igrzysko,
W liczbie niw bujnych i lasów zielonych,
Zginęło także przy drodze mrowisko.
Od gór Karpackich, kędy Bełt, gdzie Tatry,
Często przeciwnie, lecz w tem zgodne wiatry,
Rozszarpały, rozniosły w rozmaite strony,
Nieszczęsnych mrówek stos nieopatrzony.

Długo ta burza trwała, bo chociaż na chwilę
Wiatr jaki w potężnej sile,
Skupił cokolwiek mrówek pod innem imieniem,
Znów były ugodzone powszechnem zniszczeniem.
Więc rozpacz sama: nie było i śladu,
Gdzie dawniej czynne mieszkały stworzenia,
Zawieruchy, nachody obcego owadu,
Na dawnych zbiorach znaki wyryły zniszczenia.
Wtenczas niejedna mrówka jak Eneas z drugi,
Wziąwszy w pyszeczek dziediełko, przez pola, przez strugi,
Wolała nieść swą żalność w obcą jaką ziemię,
Niżli widzieć w ucisku swych spółziomków plemię.
Pozostałe na miejscu ostatki drużyny,
Żyły smutnie na kolecach opadłej jedliny,
Nie mniemając już widzieć dawnego mrowiska!
Gdy niespodzianie słońce od północy błyska,
I tenże sam Akwilon, co przed wielą laty,
Najokropniejsze mrówkom zwykł zadawać straty,
Dzisiaj zmieniawszy srogość dawnej swej natury,
Rozpędza gromadzone na około chmury,
I dobroczynnem technieniem, co krzepi, zagrzewa,
Rozeszłe mrówki w dawne siedlisko zawiewa.
Radość była niemiała, lecz wpośród radości,
Przyzwyczajone mrówki do losów srogości,
Do zawodów, gdzie były słodkie spodziewania,
Obok wesela, bojaźń i powątpiewania
Łączyć jeszcze zdały się. „Połowy nas blisko,
„Nie gromadzi, mówili, dzisiejsze mrowisko,
„Czyliż zawsze Akwilon będzie tak łaskawy?“
Słowem jakieś wachanie i jakieś obawy,
Bo kogo los okropny gnębić nie przestawał,
Ciężko, żeby się łatwo ufności podawał!

Wtem jedna stara mrówka, enoty znakomitej,
Słowem, Kato tej małej rzeczypołitej,
Widząc to, a dobrego żądając gorąco,
Wlazła na słomkę, na cal od ziemi sterczącą,
A spojrzawszy na mnóstwo stojące w około,
Dwakroć łapką sędziwe pomuskawszy czoło,
Choć głos wieku zwątlony, nieraz jej przerywa,
Tak się do zgromadzonych swych ziomeków odzywa:
„Szanowne mrówki! mógłże przed niewielu laty,
„Gdyśmy opłakiwali ciężkie nasze straty,
„Mniemać kto, że czas przyjdzie, gdzie przez niebian wolę,
„Wolno nam będzie zejść się w narodowem kole,
„Odzyskać imię mrówek, swego przewodnika
„Mieć jeszcze, i własnego używać języka;
„Przecież przyszło to szczęście, my jednak niebaczne,
„Nie zważając, że dobro zyskane już znaczne,
„Trapimy się i skargę szerzemy zuchwałą,
„Że mrowisko nie takie, jak przedtem bywało.
„Boleść naszą, strat tylu łatwo ja pojmuję,
„I nikt jej żywiej nademnie nie czuje.
„Nie pamiętacie młode: trzysta calów blisko
„Rozciągało się niegdyś to nasze mrowisko;
„Mrówka, co we dniu jednym ująć może tak wiele,
„Z granicy do granicy szła przez dwie niedziele;
„Tę wielkość naszą z żalem przypominam sobie,
„Lecz cóż się stało, oto wszystko legło w grobie;
„I mrówki, i mrowisko zginęły ze szczętem!
„Dzisiaj, gdy łaską niebian, trafem niepojętym,
„Część nas znaczna powraca — ach! nie bądźmy ślepi,
„I dlatego, że pewnie mogłoby być lepić
„Nie cieszyć się, że dobrze, i nie być wdzięcznymi?
„Któżby chciał rozdzielać się z bracią kochanymi?

„Któżby nie chciał by własność wróciła się całą,
„Lecz niejeden wiatr tylko, trzy nas rozszarpało.
„Ten, co wszystko utracił, co go los uciskał,
„Nie rozpacza, cieszy się, że już część odzyskał,
„Dziś z obecnego dobra korzystać gotowi.
„To, co życzyć zostaje, poruczymy czasowi,
„Zaniechajmy skarg naszych, nie to nie pomoże,
„A nieroztropna mowa wiele szkodzić może.
„Jeżeli kto z was tak mądry i znalazł sposoby,
„I wie jak rzeczy wrócić do szczęśliwej doby,
„Niech myśl poda, a jeżeli ta z rozsądkiem zgodna,
„Wraz się jej chwyci każda mrówka nieodrodna.
„Ale na błędne światło oczy nasze zwracać,
„Dla snów zwodniczych dobro rzetelne utracać,
„Jest obłąkaniem, co w nas długo trwać nie może.
„Długośmy się puszczali w niepewne bezdroże,
„Czas nie słowy, dzielnemi zaprzątnać się czyny,
„Uprzątajmy zwaliska, podnośmy ruiny,
„Niech każda pracowicie znosi z okolicy,
„Kolce z jodeł, ździebełka, kawałki żywicy,
„Pracą tylko mrowisko podniesie się w górę,
„Wypogodźmy więc czoło zbyt długo ponure,
„Nie w marzeniach, zkad dla nas wiatr już nie zawieje,
„W cnocie, rozsądku, męztwie są nasze nadzieje.“

1815.

F i l i ż a n k a.

„Precz ztąd odemnie, rzeknie filizanka,
„Do glinianego dzbanka,
„Co tobie w głowie, czyliś ty szalony,
„Z postacią twoją nikiemną,

„Bratać się ze mną?
„Patrz, jak mój cały obwód wykształcony,
„Jakem misterną zdziałana robotą,
„Od głowy do stóp u mnie płynie złoto!
„Każdy spogląda na mnie z podziwieniem,
„I nie zbliża się jak z drzeniem.“
Dzban jej odpowie: „skończ wymówki twoje,
„Wszakżeśmy z gliny oboje,
„Z tą tylko chyba różnicą,
„Że się na tobie marne fraszki świecą,
„Że stoisz próżno lub służysz do zbytku,
„A ja służę do użytku.“
Prypadkiem chłopek zbliżony,
Słyszac tę rozmowę z dzbanem,
„Sądziłem, rzeknie do żony,
„Że to ja gadałem z panem.“

1809.

Pszczoły i truteń.

Rzecz okazana doświadczeniem długim,
Ani jej trzeba probować,
Że stokroć łatwiej przyganiać jest drugim,
Niżli samemu pracować.
Może ta powieść, choć ma postać baśni,
Lepiej tę prawdę wyjaśni.
Gdzie stały lipy wonne, rozłożyste,
Gdzie wkoło smugi kwieciste,
Gdzie płonęła polna róża,
Była pasieka nieduża,
W niej pszczoły, zwykłe do czynnej roboty,
Tęm się usilniej trudniły,

Że zima, burze i słoty,
Dawne ich ule zniszczyły;
Młode im roje odpadły,
Miód kosmate trutnie zjadły.

Przyszło więc sobie ciężką pracę zadać,
I gospodarstwo na nowo zakładać.

Miłym to było widokiem,
Patrzeć na tłumne ich kupy,
Jak kwiecistemi obciążone łupy,
Nim się dzień zasuwał mrokiem,
Wracały w łube zagrody.

Tam jedne woski, drugie słodkie miody
Składały w ule, inne dla królowej
Pysznego zamku wznosiły budowy.

Pomimo przeszkód, choć połowa zbioru

Na rzecz się trutniów obraca,
Od rana aż do późnego wieczoru,
Z żywym pośpiechem szła praca.

Sądziły małe stworzenia,
Że już nagrodzą dawne spustoszenia,
I to podniosą, co czas poobalał.

Gdy się im każdy dziwił i wychwalał,
Truteń na boku siedzący,

Truteń dumny, próżnujący,

Co jedząc pracę pszczoł zebrał miody,

Siał niesnaski i niezgody,

Przyganiał pszczołom, mówił uszczypliwie:

„Wszystko niedobrze, źle i niegodziwie,

„Bo zacząwszy od królowej,

„Która do rządu wcale nie ma głowy;

„Jakież jej ministry płatne,

„Rozlazłe, głupie, niezdatne;

„Jakże dziwować się temu,
„Że już Bóg wie po jakimu,
„Idą u nas wszystkie rzeczy,
„W jakiej całość nasza pieczy;
„Wszystko te pszczoły zagubią.
„Jakby się rzeczy inaczej szczęściły,
„Gdyby to trutnie ministrami były.“
Pszczoły, co więcej czynią, niż się chlubią,
„Pójdź, rzeźną, pracuj, a będziem się cieszyć,
„Jeżeli nam dzieła pomożesz przyspieszyć.“
Porwał się truteń pełen zaufania,
Wkrótce pokazał, że z tyłą gadania,
Nie umiał z wielą głębokich zachodów,
Ni lepić wosku, ani sączyć miodów;
Ni nawet przynieść wody choć kropelkę.
„Na cóż się zdadzą łajania tak wielkie,
„Rzekły mu pszczoły, sam chciałeś spróbować,
„Przyznaj, że łatwiej ganić, niż pracować.“

1811.

Dąb i małe krzewy.

Jesion przy dębie stojąc rozłożystym,
Tak z nim rozmawiał nad wieczorną dobą:
„Powiedz mi, czemu rosnący pod tobą
„Tłum roślin, drzewek, tak bardzo karlistym;
„Tak nędznym, że się aż do ziemi zgina?
„W tobie tej nędzy przyczyna,
„Ty konar twoich niezmiernym ogromem,
„Trzymasz krzew każdy poziomem,
„Patrzący z góry zazdrośnie,
„Pognebiasz wszystko, co pod tobą rośnie.“

„Nie zgadłeś, do przeciwnika
„Odzywa się dąb ów stary,
„Patrzaj, wszak moje konary,
„Ni listek żaden tych krzewin nie tyka,
„Nie czyni krzywdy najmniejszej,
„Mam ja sposobek zręczniejszy,
„Mam drogę równie bezpieczną:
„Oto me wyniosłe czoło,
„Nad krzewy temi szerząc się wokoło,
„Jasność im tylko odbiera słoneczną.
„Rosnąc bez światła, zostaną karłami,
„A dęby zawsze będą olbrzymami.“
Tej bajki kilka wierszyków,
Odkrywa sekret ciemnot miłośników.

1815.

Zupa z żółwia morskiego.

Państwo, jak mówią, dość znaczne,
Lubiące potrawy smaczne,
Dowiedziawszy się, że z żółwia morskiego
U narodu angielskiego,
Wyborną zupę robiono,
Takąż u siebie chciało mieć zwarzoną.
Ale choć miało dosyć nauczania,
Jakie tam wchodzą przyprawy,
Przez zbytek zarozumienia,
Dobremu nawet chcąc przydać poprawy,
Bóg wie, jakową nawarzyło zupę,
Wrzuciło korzeni kupę,
Pieprzu, imbiru kawałki,
Bobkowych liści, muszkatelu gałki,

Narzędło drobiu bez miary,
Kaczek, indyków i gęsi dwie pary;
A wszystko razem tak tego spieszyło,
Tak potężnie osoliło,
Że gdy jeść przyszło, każdy się odzywa:
„Co za zupa niegodziwa!“
Dość, że na biedną potrawę,
Taką rzucono niestawę,
Iż się nią wszyscy jak jadem brzydzili,
Przeklinali, złorzeczyli.
Słyszac to Anglik, tak mówić zaczyna:
„Że ta zupa szkaradna, nie Anglików wina,
„Myśmy do miary wszystkiego włożyli,
„Wyście wszystko przesadzili.“

1793.

Stary kundel.

Starego kundla opadły szczeniuki,
Muce, mopsy i charciuki,
Na czem świat stoi czekały,
Wyły, do oczu skakały.
Kundel cóż na to?... Kundel stał spokojny...
„Ty, coś nawykły do wojny,
„Rzecz mu żona, ty, coś nieraz w polu
„Nie lękając się ni śmierci, ni bolu,
„Bronił trzody zapalczywie,
„Jakże możesz tak cierpliwie
„Ponosić szczeniąt tych wycie?
„Pokaż zęby należycie,
„Lub łapą przygnieć którego.“
A kundel na to: „cóż mi przyjdzie z tego?

„Może z tych szczeniąt, co wyją tak głośnie,
„Dobry jaki pies wyrośnie,
„Głupi nie może urazić,
„Gdybym którego chciał śmiałość ukrócić,
„Na zawsze mógłby się zrazić,
„Nie miałyby serca na wilka się rzucić.“

1817.

Zrzęda.

Starzec wywiedły i blady, i chudy,
W tem co wprzód lubił, dzisiaj widział nudy.
Cierpki, na czasy obecne się zalił,
A upłynione, dawne tylko chwalił.
Nieraz zwykł mawiać: „rzecz niezrozumiana,
Jaka to wieku odmiana!
Kobiety w wdziękach, a mężczyźni w mocy,
Jak dzień do nocy!
Za moich czasów, jakie to obrady,
Jakie na dworach parady,
Jakie w młodzieży postaci układne,
Ach! co za kobiety ładne!
W dzisiejszych, chociaż wykwintnie ozdobnych,
Nie zobaczymy podobnych.
Najpiękniejsza dziś hrabina,
Nie będzie taką, jak pani krajczyna,
Nigdy z nich żadna łez mych nie utuli,
Po Lubomirskiej, Kossowskiej i Zuli.
Co to za bale, ach jakie reduty,
Gdzież dziś zobaczymy, te złote bajuty?
O pierwszą parę dowcipne przycinki.
A po nich lube, śliczne pojedynki;

Nie znano za mnie, co wisk i bostony,
Lecz za to pełne złota faraony.
I w ucztach, gościnności położono tamę.
Nie zobaczysz kielichów, naparsteczki same.
Pójdźmyż na teatr: czymże ta Barbara,
Ludgarda, Cinna, Horacych ofiara,
I ci tam w chórach butni wojownicy,

Przy „kafowych trzewieczkach“ i „złotej szlafmicy“ ?¹⁾
Czyż Owsińskich, Świeżawskich, tylu innych zliczę,
Czém przy nich Szymanowscy, Żółkowscy, Kudlicze,
Leduchowska, Dmuszewska, czem w swojej piękności,
Przy pannie Tecnerównie lub innej jejmości?
Cóż nam za dziwy, indyczemi pióry

Bazgrzą dzisiejsze autory!

Krasičkih i Trembeckich, gdy wspomnę zalety,
Budzą politowanie żyjące poety,

I szczerze wyznać muszę wolę Bielawskiego,
Niżli wszystkich pisarzy grona uczonego;
Słowem, wierzyć możecie, jestem tego świadek,
Wszędy widzę zepsucie i wszędy upadek.

Nawet w samych żywiołach, nie wiem co się dzieje,
Nieraz latem śnieg pada, w zimie deszcz się leje,
Jeżli tak dłużej potrwa, pewnie Bóg odwieczny,

Sąd nam zeszle ostateczny...“

Kiedy tak zrzęda gadał, człek blisko siedzący,
Ni różowo, ni czarno, na świat ten patrzący,

Tak się odezwał: „miły przyjacielu,
Być może, że się świat ten zmienił w rzeczach wielu,
Lecz dozwól powiedzieć sobie,
Ta wszystkiego, co nowem, surowa nagana,

¹⁾ Dwie sztuczki przed laty często bardzo dawane.

Ta, jak powiadasz odmiana,
Mniej jest podobno w czasach, niżli w samym tobie.
Nazywasz wiek ubiegły dobrym i szczęśliwym,
Dlaczego? żeś sam wtenczas był młodym i żywym,
Że pełen życia, siły, chuci, co unoszą,
Wszystko dla ciebie było powabem, rozkoszą;
Ześ inaczej oddychał, że ludzie, świat cały,
W jasnych barwach przed oczy twojami stawały.
Dzisiaj kiedy na wszystko dawniej ulubione,
Skrzepła starość posępna rzuciła zasłonę,
Wyznajmy, (cofnąć zeszytych nie mogąc już chwili),
Ze nie ludzie, nie czasy, — myśmy się zmienili;
A dobrze nauczeni doświadczeniem długim,
Sami znosząc cierpliwie, pobbłażajmy drugim.“

1817.

Laur. mirt i cyprys.

Niedarmo w ciągu nieszczęśliwych czasów,
Pędziłem dni me wśród krzewów i lasów,
Niedarmo w głębi głuchoj Ameryki,
Chodziłem po puszczy dzikiej:
Gdyż sam doznałem, że miejsca odludne,
Dla samotnego nie tak bardzo nudne,
Są bowiem i drzewa poczciwe,
Powierzchnością nie świetne.
Przecież od ludzi bardziej są dyskretne,
A pono równie jak i oni tkliwe.
Tak więc w dalekie przeniesiony kraje,
Drzew uczęszczaniem ciesząc mą osobność,
Wyborną miałem sposobność,
Poznać ich wszystkie skłonności, zwyczaje,

Nauczyć się ich języka.
Nie dziw się proszę, jeżeli botanika
Jest ci znajomą. jeżeli Lineusza
Dzieło ciekawość twą budzi,
Czytaj je, poznasz, że tak, jak u ludzi,
Jest w roślinach i czucie i dusza.
Ileż to razy, gdy słońce wschodziło,
Podstuchać mi się zdarzyło,
Ich rozmowy, ich miłości,
Kłótnie, a nawet zazdrości.
Gdyż między krzewy, nie tak jak na świecie,
Kędy na jednym mężu dość kobiecie:
Wśród roślin, zona choć mała i blada,
Dwudziestu mężów posiada.
Cobym ja rzeczy mógł o niej powiedzieć,
Lecz na cóż cudze tajemnice śledzić?
Gdybym ja paplać niepotrzebnie lubił,
Niejedną różę na sławie bym zgubił.
Wolę więc taką rozmowę przytoczyć,
Co ani sławie niczyjej uwłoczyć,
Ni zgorszyć może. Gdzie mój pokój mały,
Trzy duże garnki z roślinami stały,
W jednym laur pyszny, w drugim mirt nadobny,
A w trzecim cyprys smutny i osobny.
Było to w głuchej jesieni,
Gdy liść na drzewie zieloność swą mieni,
I zwiędły pada; stały na stoliku
Dwie świece, przy nich szpargałów bez liku.
Stłumiony daszkiem kiedy płomień słaby,
Izbie mdlejącej światłości udziela,
Rzucając cały blask na Rafaela,
Cudnego pędzla podwajał powaby.

Nie piękniejszego jak moja Madona,
I Boskie dziecię pnące się do łona.
Lecz gdy me oczy wabi wdzięków tyle,
I w słodkiej ciszy ulatują chwile;
Raptem mnie jakieś słowa uderzają,
Słucham, aż w garnkach drzewa me gadają.
Laur mówił: „Już las z liścia obnażony,
A ja bez przerwy świeży i zielony,
Prawdziwie jestem bohaterów drzewem.
Mnie wieszczek nuci nieśmiertelnym śpiewem,
Ja to wśród zwyciężkich szyków,
Uwieńczam skronie dzielnych wojowników;
Dla mnie człęk znosi powietrza odmienne,
I w trudach nocy przepędza bezsenne,
Wpółśród ognistych kul gotów się ciskać,
By jedną moją gałązkę pozyskać;
Wyznać możecie bez zarumienienia,
Żeście obok mnie nikiemne stworzenia.“
— Mirt mu odpowie: „ja losom nie łaję,
Czem być kazały, spokojny przestaję;
Lecz ty dlaczego puszysz tak chełpliwie,
Czy, że za tobą człęk goniący checiwie,
Ślepy na ludzkość, wytępią narody,
I w głucho puszcze zmienia pyszne grody,
A gdy twe laury uszczknie naostatek,
I pokaże się niemi uwieczony,
Wieniec ten łzami nieszczęśliwych matek,
I krwią tysiąca młodzieży skropiony;
Kłęsek ludzkości ty jesteś nagrodą.
Ja, choć skromniejszy od ciebie urodą,
Choć bohaterów nie zdobię,
Kontent przecie w mojej dobie,

Żem krzewem miłości tkliwej,
Żem pełen porannej rosy,
Oblubienicy szczęśliwej
Uwieńczam skronie i cieniste włosy.
Jam godłem szczęścia, ty okrutnej sławy.“
„Wraz ja zakończę te długie rozprawy,
Zawołał cyprys, niech kłótnia ustanie,
Obu was krótkie dosyć panowanie,
Mirt ukochane uwieńczy młodzieńce,
Laur bohaterzy, czasem i szaleńce,
Lecz jakże długo? zapewne niedłuzej,
Aż póki młodość i wiek krewki służy,
Bo nikt was pono nie widział włożonych,
Na skroniach siwym włosem opędzonych;
Zdobiać młodzieńca póki w wieku kwiecie,
Potem na szrankach życia zostajecie.
Ja, nim śmierć przyjdzie, lat znikomych goniec,
Wszystkich wielkości przypominam koniec.
Ja drzewo smutne, ja cyprys posepny,
Przecież towarzysz nigdy nieodstępny,
Ja choć się trumna zawrze ciężkim wiekiem,
Idę do grobu za człkiem.“

Jabłoń i poeta.

Po ciężkich troskach, długiem oddaleniu,
Nie wiedząc jeszcze, gdzie mu życia meta,
Świat zwędrowawszy, siadł w ojczystym cieniu,
Sześćdziesiątletni poeta.
Smętną źrenicą gdy wszędy prowadził,
Po okolicach zbyt lubej zagrody,

„Kędyż, zapyta, szczep jabłoni młody,
Com go w dzieciństwie posadził?“

Wskazano drzewo za ogrodu wniściami,

Na pozór roste, ogromne,

Ale gałęzie już suche i łomne,

Z rzadkim owocem, rzadkim nawet liściem.

Jam się zbliżając z westchnieniem zawołał:

„I tyś to szczep ów, tak bujny, tak gładki,
Com z tyłą czułych starań wyhodował,
Jakież cię straszne zmieniły przypadki?“

„Te, co i ciebie, drzewo odpowiada,

Jedna dola nami włada:

Obadwa czasu przygniecenie dłonią,

Tyś był młodzieńcem, ja hożą jabłonią,

Tobie włos czarny krył kształt czoła wazki,

Liść gęsty moje okrywał gałązki,

Ty hożą piękność nuciłeś rymami,

Ja świeżych kwiatów zionęłam woniami;

Krótką ta pora luba i miłosna,

Krótką nasza była wiosna.

Nadeszły burze i srogie przygody,

Tobą miotały rozhukane wody,

Zbielał włos rzadki, zapadły źrenice,

I rylcem smutku naznaczone lice,

Z ciałem, umysłu gdy się siła skraca,

Pierzchają muzy, piękność się odwraca.

I we mnie ciosy swoje wiek jednoczy,

Więdnieją liście, owoc robak toczy,

Szalony wicher czoło na dół zgina,

A czas obudwom zachód przypomina.

Po burzach życia, gdy nastąpi cisza,

Miło młodości znaleźć towarzysza,

I na tej ziemi, pod przyjaznym cieniem,
Weselić starość przeszłości wspomnieniem.
Tyś szczep mój krzewił, użyczał mu wody,
Ja ci użyczę schronienia, ochłody.
W niegładkich rymach próżno myśl się więzi,
Zawieś twą lutnię na uschłej gałęzi,
Znikomych rozkosz niech się żal ukoi,
Tobie już w cieniu spoczywać przystoi,
Aż póki życie, co zmęcił los sprzeczny,
Zamknie sen wieczny.

1816.

Jabłko rajskie.

Do stołu w jednym zagranicznym mieście,
Gdzie każdemu podróżnemu,
Cywilnemu, wojskowemu,
A nawet czasem niewieście,
Siadać jest wolno, przybył wóz pocztowy.
W nim z większej świata połowy,
Różnych narodów postaci, natury,
Były figury.
Te głodne, pędem stół wkoło osiadły,
I smaczno jadły.
Gdy już jedzeniem żołądki zagrzone,
A przez Burgunda policzki rumiane
Lśnić się zaczęły, gdy w szampańskim dymie,
I ton wymowny, co zwyczajnie drżemie;
Właśnie przy wetach, kiedy obrus zdjęto,
O rajskim jabłku rozmawiać zaczęto.
„Było to jabłko, był to owoc smaczny,
Rzekł jeden z gości, gdy Adam tak baczny,

Gdy piękna Ewa uwiesć się nim dali,
I tak oboje cheiwie zajadali.“

Ozwał się Polak: „była to winiówka,

A raczej pewnie bursztówka.“

A gdy ktoś o tem zaczął powątpiewać,

Cheiał się do szabli porywać.

Szcześnie, że Anglik z miną zasepioną,

Tak jął ułatwiać wątpliwość rzuconą :

„Jabłko, co tyle zalet w sobie miało,

W Wielkiej Brytanii rodzić się musiało,

Był to „Gold pepin“¹⁾, jeżeli kto nie wierzy temu,

Ja stawię tysiąc funtów, naprzeciw jednemu.“

W tem Francuz żywy, lecz przytem łagodny,

W mowie, w ruszeniu swobodny,

„Monsieur, rzecze mu, nikt się nie dziwuje,

Że wszystko dobre Anglik sobie przypisuje,

I że w tym sporze, w tej małej zawadzie,

Na same jabłka monopolium kładzie.

Lecz któżby temu uwierzył?

Nie będę się długo szerzył,

Żeby owoce widzieć dojrzzałemi,

Nie dosyć wody i ziemi,

Coś jeszcze więcej potrzeba:

Potrzeba ciepła, pogodnego nieba,

Gdzie nie ma słońca, gdzie mgły wiekuiste,

Cięzko tam znaleźć jabłka piękne i soczyste.

Prędzej się każdy na to ze mną zgodzi.

Że raczej w kraju, gdzie nieba pogodne,

Rodzajne niwy, a zimy łagodne,

Gdzie upał słońca luby zefir chłodzi,

¹⁾ „Gold pepin“, jabłko bardzo cenione w Anglii.

Słowem w tej Francyi, w tej pięknej krainie,
Co nad wszystkie inne słynie,
Pod imieniem renety, na brzegach Sekwany,
Frukt się rodził zakazany.“

„Nie mogę się na to zgodzić,
Rzekł Portugalczyk z śmiałą nieco miną,
Frukt, co pięknością mógł Ewę uwodzić,
Był pomarańczą albo też cytryną.“

„Błędzicie, rzecz człowiek opalony,
Na brzegach Indu zrodzony.
Ewa miała gust wyborny,
Adam był człowiek przezorny,
Mogliż oboje zwieść się takim kwasem?
To rajske jabłko było ananasem.“

Trwały jeszcze zdania sprzeczne,
Kiedy staruszek niejaki,
Przenoszący nad przysmaki,
To, co było pożyteczne,
Otwarty, rozsądny, szczery,
Słowem, mieszkaniec Wezery,
Wychyliwszy piwa sztoffel,

„Ten owoc, rzecz, był pewnie kartofel.“
Długoby może ciągnęły się spory,
Kiedy mąż pełen pokory,

Mąż mówię Boski, tak usta otwiera:
„Naprawdę, rzecz, każdy się tu spiera,
Bóg nam swój zakon chciał w piśmie oznaczyć,
Żeby go czytać, nie żeby tłómaczyć;
Choćby co mogło w tej księdze zdumiewać,
Bezpieczniej wierzyć, niżli powątpiewać.“

Plotki.

Wśródtku samego miasta,
Na boku ogrodu,
Gdy szedłem latem używać pogodnego chłodu,
Uderzyła mię w oczy, (nie wiem czy niewiasta,
Czyli postać płci męskiej) duża i nadęta,
Cała szatami była obwinęta;
Nad uprawną rolę stała,
I w ręku kosz duży trzymała.
Zdziwiony, zbliżam się pędem,
Pytając się jak się zowie,
Widmo mi na to odpowie:
„Zowią mię na świecie błędem,
„Na tej tu uprawnej roli,
„Zasiewam plotki powoli.
„Lekkość i zazdrość są moje nasiona,
„W pracy mojej nieznużona,
„Siejąc, przebiegłam wszystkie krainy,
„Lecz nie wiem z jakiej przyczyny,
„Nigdzie się plotki tak bujnie nie rodzą,
„Nigdzie tak pięknie nie kwitną, nie wschodzą,
„Nigdzie nie są w takiej sławie,
„Jak tu w Warszawie.
„Nadto, do słońca mniej stosowne biegu,
„Rodzą się latem, rodzą i na śniegu;
„Nic im wzrostu brać nie broni,
„Żadna nie opóźnia zwłoka.“
To wyrzekłszy, z hojnej dłoni
Nasienie rzuca na niwy.
Co za cudo! w mgnieniu oka
Podnosi się plon szczęśliwy;

Cała się rola zieleni,
Kwiat się razem rozwija i owoc rumieni;
Jak owe jabłka pensem zażywione,
Okryły nowe krzewy plotki niezliczone,
Plotki różnego rodzaju,
Wszystkie stósowne do kraju.
Gdy mię ten widok nadzwyczajny ludzi,
Tłok nieprzejrzany ludzi,
Porzuciwszy dzieci, domy,
Tak ślicznych plotek łakomy,
Nasycać się niemi spieszy.
Choć owoc zwierzchu się lśkniący,
Wewnątrz zaś pusty i nie nie mający,
Dziwnie był smaczny dla ciekawej rzeszy.
Ten je więc cheiwie zajada,
Ten w pudło przygotowane,
Zerwawszy plotki rumiane,
Pięknie je liściem przekłada,
I oddawszy do rąk pewnych,
Posyła na wieś dla krewnych;
Tam dalej kobiety płoche,
Ładne, dowcipne, złe trochę,
Zbierają ciche i głośnie
Plotki miłośne.
Tu człek nadęty i dumny,
Choć okrutny i rozumny,
W znizeniu swem innego nie mając lekarstwa,
Jak same baśnie i łgarstwa,
Zbiera plotki polityczne,
I szle je w miejsca rozliczne.
Co widząc, jak za bajki nagroda jest chlubna,
Posyłają je do Dubna;

Dalej podli zausznicy,
Zysków cheiwi pochlebniicy,
Zrywali plotki domowe,
Niezgody mnożyć gotowe.
Kiedy tak liczna gromada
Pakuje plotki i one zajada,
Pokazała się niewiasta nadobna.
Żadnym wytworem nie była ozdobna,
Ani jej émiła zastóna,
Lecz lekki rąbek białe przykrywał ramiona,
W ręku gorzała pochodnia zajęta,
Była to prawda święta.
I zaledwie wzrok pogodny,
Rzuciła na plon odrodny,
Zniknął błąd plotki siejący,
Zniknęły fałszywe drzewa,
Lud się dopiero zdumiewa,
Że tak był bardzo łaknący
Plotek, co tylko są dymem fałszywym.
O święta prawdo! mieszkaj zawsze z nami,
Ciebie my ślubem wzywamy życzliwym,
Niechaj nas twoja pochodnia oświeca,
Niech błąd niezgody wpośród nas nie wznieca,
Niech naród świątły jasno zawsze widzi,
Szanuje prawdę, a plotek się wstydzi.

1789.

K u n d l e.

Człowiek enotliwy, lecz obciążon troski,
Szedł wieczorem mimo wioski;
Pies zaczął szczeakać, a za nim tuż drugi,

Wkrótce trzody wierne sługi,
Z całej wsi kundle wypadłszy skwapliwie,
Wyé zaczęły przeraźliwie.

„Czemuż, ktoś się ich spytał, tak straszne szczekanie?”

Nie umiał odpowiedzieć żaden na pytanie,

Żaden nie znał przyczyny, wszyscy wyli razem.

Publicznych wrzasków to jest prawdziwym obrazem,

Ten błędnie coś usłyszał, drugi wraz powtarza,

Łaje, szkaluje i ogień rozżarza,

Pełen złości i goryczy,

Sam nie wie dlaczego krzyczy.

„Cnotliwy (któs mi powie) potwarze te znosi,

Zły je człowiek wymyśla, a głupi roznosi;

Lecz cnotliwy częstokroć życiem je przyplacił,

Przez nie Sokrates wolność naprzód stracił

I zawstydzając zarzuty bezczelne,

Pił mężnie jady śmiertelne.

Przez nie Arystyd wygnaniem skarany,

Przez nie Scypio szkalowany

Prześladowaniem, podstępłą robotą,

Zazdrość mściła się nad cnotą.

Ona skruszyła wolności ołtarze,

Któż Rzymu, Grecyi kwitnące krainy

Poddał w niewolę, i okrył ruiny?

Zazdrość, niezgody, potwarze.“

Moi panowie, widzicie przykłady,

Nie posądzajcież cnotliwych o zdrady,

Ojczyzna na tem najwięcej szkodzi,

Wy się gryziecie, któż ją poratuje?

Bekieszka.

Zima nadeszła i Borea plemię,
Śniegiem okryło już ziemię.
Biedni mieszkańcy północnej krainy,
Jak gdyby tyłu zgryzoty przyczyny,
Tyłu przykrości nie mieli,
Jeszcze i zimno cierpieć musieli.
Każdy więc od mrozu się bronił,
I czem mógł tem się ochronił.
Kmiotek okrył się kozuchem,
Lecz pan, co przedniejszym duchem
Czuje się być zażywionym,
Z potrzeby zbytki porobił,
I futrem z obcych krajów sprowadzonym,
Wyniosłe barki ozdobił.
Pokazały się gładkie popielice,
I złotem tkane pętlice,
Krzyżaki, kuny, marmurki,
I astrachańskie burki,
Kiereje z srogich niedźwiedzi,
W której pan podczaszy siedzi;
Delijki ze grzbietów rysich,
Lecz najwięcej futer lisich.
Między wszystkimi atoli,
Bekieszka z pięknych soboli,
Pyszniła się miną hardą,
I z niesłychaną pogardą,
Patrzała na niedźwiedzie, szlamy, gronostaje.
A kiedy tak wszystkich łaje,
Czuła kierejka na swe poniżenie,

Do sobolów się zbliżyła,
I gdy z nienacka poły jej odkryła,
Co za fałszywość niecnoty!
Patrzy, jakie zadziwienie!

Z wierzchu sobole, a pod spodem koty.
Niebaczni ludzie, wy sami nie wiecie,
Jak wiele takich bekieszek na świecie,
Nie chcecie nigdy w tym zepsutym wieku,
Z powierzchowności sądzić o człowieku;
Niejeden, gdy się zasłony odwiną,
Katonem w słowach, w sereu Katyliną.

Pożar.

W obszernym domie, zdawna zamieszkanym,
Lecz jak się zdaje na klęski skazanym,
W domie, gdzie mieszkał bogaty i mierny,
Zajął się pożar niezmierny.

Co bardziej jeszcze powiększyło trwogę,
Że ze trzech stron wiatry srogie,
Wznosząc iskry, dym, płomienie,
Ognistą łuną niebieskie sklepienie
Okryły. Dzielni mieszkańcy atoli
W tej ostatecznej niedoli,
Miasto rozpaczy, frasunku,
Rzucili się do ratunku.

Porwali się niepomni na własną swą zgubę,
By obronić szczyty lube.
Gaszenia rodzaj wszelaki,
Sikawki, woda i haki,
Co roztropność albo też meztwo znakomite

Kazały, wszystko tam było użyte.
Gdy wszyscy walczą w powszechnej obronie,
Jeden samolub w najmodniejszym tonie,
Mniej dbając, że się dom cały mógł spalić,
 Byleby własne tłómczki ocalić,
 Zabrawszy ruchomość swoją,
 Wyszedł przez tylne podwoje,
 I do obcej się kamienicy schronił.
Niezmiernie kontent, że siebie obronił,
Tam przez lornetkę i w oknie stojący,
Spokojnie patrzył na dom gorejący.
Nie pierwszy przykład, że zamysł enotliwy,
 I hazardy i starania,
 Skutek wzięty nieszcześliwy;
Mimo pracy obrońców i usiłowania,
Dom ów ze wszystkim się spalił,
 I szczyt się cały zawalił.
Mieszkaniec, który się go obronić spodziewał,
Smutne popioły, gdy łzami oblewał
I wpośród gruzów zamyślony siedział,
Przyszedł do niego samolub kochany,
I rzekł mu: „jam to wszystko przepowiedział,
Nikt wam rozumu tego nie pochwali,
 Co za umysł niestłuchany,
 Biedz do obrony, kiedy dom się pali!
A potem całe dzieło bez porządku,
 Bez ładu i bez rozsądku.
Kto widział wodą chcieć ugasić mury,
Ja na mnie winy tej nie będę składał.“
Przerwał mieszkaniec: „Wyrodku natury!
Ty, coś siebie nad dobro powszechne przekładał,
Kto dzielić z enotliwymi hazardów się boi,

Temu zarzutów czynić nie przystoi:
Nie śmiałeś z nami rzeczy powszechnej zaślaniać,
Nie masz dziś prawa naganiać.
Ni zamysłu, ni sposobu:
Zginęliśmy, lecz z sobą przeniesiem do grobu
Czułe pocziwych wspomnienia.
Spokojność i świadectwo własnego sumienia.
Ty, coś zakładał szczęście twoje w złocie,
Zyj z nim, żyj razem w hańbie i zgryzocie.“

1794.

S z c z u r y.

Wśród starego domu murów,
W spizarni dosyć przestronnej
I od ludzi oddalonej,
Mieszkał dzielny naród szczurów.
Miał podostatkiem sera i wędliny,
I przepędzałby wiek złoty
Gdyby nie koty.
Lecz te bez żadnej przyczyny,
Chyba, że mocniejsze były,
Jak mogły szczurów dręczyły.
Ilekróć zrabowany sadła skład zbyt drogi,
Ilekróć krwią niewinną zbroczone podłogi,
Cierpiał lud, cierpiał i senat poważny;
Niejeden tam szczur odważny,
Pełen rycerskiej ochoty,
Na ojczyzny swojej łonie,
Umierając w chlubnym zgonie.
Zostawił żonę i małe sieroty.
Nakoniec w biednem siedlisku,

Znieść już dłuższego nie mogąc ucisku,
Ciężkim wskrós zalem zdjęci,
Rzekli rozpaczą przejęci:
„Lepiej zginąć znakomicie,
Niż prowadzić nędzne życie,
Raz ostatni sprobójmy jeszcze wojny losu.“
Wśród powszechnego odgłosu
Uzbroił się naród cały,
Starce tylko i dzieci w domach pozostały;
Reszta co tylko żyje,
Walczy i bije.
Może mi nie będą wierzyć,
Zwłaszcza srogie przeciwniki,
Lecz ja fałszów nie śmiem szerzyć,
I mam za sobą kroniki,
Które świadczą, że przeciw porządku natury,
Nieraz w tej wojnie kotów biły szczury;
Tyle w sercach rozpacz może!
Ale wyroków któż się oparł mocy?
O szczury! zguby waszej ja na was nie złożę;
Sami walcząc, próżności szukały pomocy,
I u łasic i u myszy;
Lecz choć wspólna sprawa była,
Każda z nich siedząc w zaciszy
Z jamy się nie wyruszyła.
Tak od wszystkich opuszczony,
I długim bojem znużony,
Hufiec szczurów był wycięty,
Sam Szczurogród nawet wzięty.
Wzięty poddaniem, nie szturmem,
I nim wojsko weszło hurmem,
Tak rzekł hetman z siwą głową:

„Przysięgam na kocie słowo,
Nie mówię ja do was zdradnie,
I włos wam z głowy nie spadnie.“
Ledwie to wyrzekł, alić co przedniejszych
W mieście, w wojsku co celniejszych,
Zbrojnie w niewolę wzięto,
I do połapek zamknięto;
Jak zbójców jakich wiedziono,
I do więzienia wtrącono.
Długo oddzielnych ze światem,
Gdy stawiono strapionych ciężkiem udęczeniem,
Przed ogromnym majestatem,
Jeden kolegów imieniem
Tak rzekł: „Koty najjaśniejsze,
Niewyciężone i najpotężniejsze!
Niech dobroczynne pazury
Raczą się schować na chwilę.
Uległy nieszczęsne szczury
Zbyt przeważnej waszej sile;
Obwinionym, nieszczęsnym, raz jeszcze przed zgonem,
Niech wolno będzie prawdę powiedzieć przed tronem.
Przebóg! powiedzcie, na wszystkie was Bogi
Zaklinam, jakież nasz występki tak srogi?
Jakaż zbrodnia, za którą oręż wasz zwycięzki,
Wywiera od lat tylu wszystkie na nas kłębki?
Mścić się nad słabszym nie przystoi tworem,
Dawnych krzywd, nierząd był dla was pozorem;
Prawda, w nieładzieśmy żyli,
Samopas sobie chodzili,
Zabraliście za te winy,
Trzy duże półcie słoniny.
Nauczeni tym przykładem,

Innym poszliśmy śladem:
Stanowim jak wy, i narody liczne.
Rząd prawie samowładny i berło dziedziczne.
Wy koty, na to krzyczycie:
„Jak to, wy wolność gnębicie?
„Nie ujdzie to wam bezkarnie;“ —
I zabraliście połowę spizarnie.
Nie wiedząc w jakiej żyć dobie,
Jak nareszcie począć sobie,
Nie widząc winy ukrytej,
Znowu wracamy do rzeczypospolitej.
• I to było przewinieniem,
Za które, o srogie nieba!
Rodu szczurzego powszechnem zniszczeniem
Zapłacić pono potrzeba.
Przebóg! chciejcie nakoniec stan biedny osłodzić,
Powiedzcie w jaki sposób można wam dogodzić?
Niech nam panuje kto z rodu waszego,
Dajcie nam kota jakiego;
Chociaż przeciwnej natury,
Przysięgam, że mu wierne będą szczury.
Liczba się nasza może przez to zmniejszy,
Ale niech król najjaśniejszy
Trochę sobie poswywoli;
Niechaj nas zjada powoli,
Byle, gdy inny kot nas będzie gonił,
On nas obronił.
Postanówcie co chcecie, lecz stan nasz dzisiejszy,
Nad śmierć samą nieznamiętniejszy.“
Skończył orator, i gdy pyszczek swój zawierał,
Łapką łyż rzewne ocierał.
Wtem kanclerz kotów, duży, wyprężony

I szeroko napuszony,
Tak odpowiedział: „Podli buntownicy,
Tylu dobrodziejstw czarni niewdzięcznicy!
Płacz wasz i skargi, i perory nudne,
Równie obłudne.

Wygraliśmy, bo słuszna nasza była sprawa,
Od wieków do szpizarni waszej mamy prawa.
Bierzem ją, a na dowód względów nieprzebranych,
Was przyjmujem za poddanych.“
Zamilkł, a kiedy i z tyłu i w przedzie,
Warta oratorów wiedzie,
Jeden zawołał przeraźliwym głosem:
„O zbyt nieczuły nad braci twych losem
Łasie i myszy, rodzie obojętny,
Niech nasz upadek będzie wam pamiętny!
Wspomnijcie sobie, że choć się odwleka,
Podobna naszej i was kolej czeka.“

1795.

C h i ń c z y k .

Kiedy Gengiskan w rozbujującej wojnie,
Podbijacz, co u głupich ludzi tylko słynie,
Biednych Chińczyków żyjących spokojnie
Najechał, i okropne porobił pustynie, —
Z żyznych pól i miast kwitnących,
Wśród cyprysów chłód dających,
Między groby przodków lube,
Ojczyzny swojej oplakując zgubę,
Smutny Mandaryn się schronił.
Jeden z Tatarów i tam go dogonił;
„Czemuż w tę gęstwinę ciemną,

Rzekł mu, unikasz przedemną?
Wszak między nami stało przymierze,
Wierz, ja kocham ciebie szczerze.
Prawda, maleńką zadałem ci bliźnę,
Najechałem twą ojczyznę,
Lecz to prawo wojownika,
I cóż się to ciebie tyka?
Kochaj mnie proszę. “ Gdy Chińczyk zdumiał
Patrzył na niego w milczeniu,
I w największym zadziwieniu,
Rzecz mu Tatar: „jam człek podufały,
Prawda, zem twoje prawa powywracał,
Dzieci twoje powytracał,
Ale to fraszka, i cóż ci to szkodzi?
To ci się nowych narodzi.
Kochać mnie możesz dlatego!“
Tu wśród żalu głębokiego
Rzecz mu Chińczyk. wskazując na groby:
„Tu koniec smutnej i pomyślnej doby;
Tam zaś, w gwiazdziste patrząc sklepienie,
Tam królowie i narody,
Odbiorą karę albo też nagrody;
Ty dzisiaj moje strapienia
Nie powiększaj urąganiem,
Wkrótce obadwa u tej mety staniem,
Która kres wieczny oznaczy,
I twym tryumfom i mojej rozpaczy.“

Skoczek na linie.

W maleńkiej wiosce pod samą Weroną
Mieszkał rolnik jeden z żoną,
Człek poczciwy, rozsądny nawet na wieśniaka.
Miał on syna jedynaka,
Który zamiast pociechy przy ubogim bycie,
Smutkiem zaprawiał ich życie.
Był to frant wielki, wielkie nie dobrego,
Słowem mówiąc, do niczego.
Lat piętnaście kończył blisko,
Furbo było mu nazwisko;
Ojciec go naprzód chciał widzieć rolnikiem,
Potem żołnierzem, potem rzemieślnikiem;
Odrzucił wszystkie te stany.
Rzekł mu nakoniec: „ale mój kochany,
Co z ciebie będzie? ubogiegoś rodu,
Pracuj, jeżeli nie chcesz umrzeć z głodu.“
Niepodejrzana jest ojcowska rada.
„Tata! nakoniec Furbo odpowiada
W ułożonej sztucznie minie,
Ja chcę tańcować na linie,
I pokazywać rozmaite sztuki,
Racz kuglarzowi dać mnie do nauki.“
Zmartwiony dziwną tą ochotą syna,
Długo ojciec napomina,
Przekłada, że to stan nie szacowany,
I na przypadki wydany.
Próżno, bo synek trwał w swoim wyroku:
„Wielu to, rzeczce, urodzonych w nędzy,
Skacząc po linie, przyszło do pieniędzy.“

Jął się więc uczyć, i nie wyszło roku,
Wszystkich współuczniów celował.

Właśnie jarmark następował,
I po ulicach ogłosiły druki,
Że Furbo będzie pokazywał sztuki.
Lud się na rynek gromadzi,
Gdzie już zawieszona lina;
Wszyscy zręczność widzieć radzi.
Furbo tańcować zaczyna,

Zadziwia wszystkich swą giętką postawą,
Wazy się raz na lewą, drugi raz na prawą;
Łamie się w rozmaite strony,

I kręci się i wywija.....

Ojciec krzyczy przełknięony:

„Synu! chodź prosto, bo w strachu szyja.“

Drudzy wołają przeciwnie:

„Ach! jak wybornie, przedziwnie,

Jak się wykreca, jak śmiały,

To djabeł cały!“

Buja wzruszona raz linka,

Furbo poklaskiem pyszniejszy,

Chcąc już zrobić skok trudniejszy,

I ostatniego wywinąć kominka,

Gdy najbardziej oczy nęcił,

Padł na ziemię i kark skręcił.

O! wy tancerze rozliczni,

Prawni i polityczni,

Co się na wszystkie strony wywijacie,

W śmierci Furba przykład macie,

Nie wachajcie się, ale pewną nogą

Postępujcie prostą drogą,

Trzy pająki i mucha.

Niebaczna mucha na własne swe życie,
Samopas sobie po izbie latała,
Niebaczna, bo nie na to nie zważała,
Że ze trzech kątów, a nawet nie skrycie,
Trzy jej pająki zarłoczne i chciwe,
Stawiły sidła zdradliwe.

Wkrótce stworzenie skrzydlate,
Ślepotę swą niesłychaną,
Przez ciężką opłaca stratę.

W gęstych sieciach uwikłaną,

Duszą pająki niebogę:

Ten skrzydło, ów lewą, ów rwie prawą nogę,
Nareszcie kiedy w ostatniej już toni,
Nieszczęsna mucha jak może się broni,
Zdrajcy pomiędzy siebie ją rozdarli,
I w mgnieniu oka pożarli.

Zginęła mucha, lecz zarłoczność chciwą
Łupem jej zbójcy bardziej rozdrażnili.

Cóż się więc stało? po niejakiej chwili,
Naprzód zaczęli patrzeć na się krzywo,
Potem nienawidzić z pozoru jakiego

Dwóch się łączy na trzeciego.

Ten i ów z siły całemi nań wpada,
Zwycięża, zwala i zjada.

Każdyby przysiągł, że pająki srogie,
Nietylko muchę niebogę,

Ale własnego zjadłszy nawet brata,
Nie będą kłócić zakątnego świata;
Lecz syte pastwy i krwawego boju,

Żyć złączą w zgodzie i długim pokojem.
O jak się myli, kto podobnie wnosi!
Nie wie, że pyszny równego nie znosi.
Jakoż, im każdy po zwycięztwie głośnem,
Wzniósł się w powagę, siły i szczęśliwość,
Tęm większą w owym sąsiedzie zazdrośnym
Wzbudzał nienawiść, gniew i zapalczywość.
Ni ten, ni ów się nie sądzi bezpiecznym,
Do tego stopnia wściekłość się zapala,
Iż każdy raczej w boju ostatecznym
Wolał ledz trupem, niż cierpieć rywala.
Spór się nie mogąc zakończyć sojuszem,
Okropna walka z obu stron się zwodzi.
Tak niegdyś Cezar z dzielnym Pompeuszem,
(Jeżeli małe z wielkiem porównać się godzi),
W sławnych po dziś dzień równinach Farsali,
Los świata ostrzem miecza rozstrzygali.
Koniec tej bitwy do zgadnięcia snadnym:
Pająk mocniejszy czyli też szczęśliwszy,
Nieprzyjaciela ze szczętem zgnębiwszy,
Ujrzał się jeden panem samowładnym.
Nadęty ciąglem dotąd powodzeniem,
I głupią pychą robak zaślepiony,
Tak się jął chlubić siedząc rozkraczony:
„Świat się uciszył pod mojem ramieniem;
„Kędy się izba kończy i zaczyna,
„Gdzie spojrzę, wszystko moja pajęczyna;
„I cóż położy potędze mej tamę?
„Niczem przedemną nawet Bogi same.
„Jam jeden tylko i mądry i dzielny,
„Niezwyciężony, nawet nieśmiertelny!“
Kiedy tak bluźni, dziewczyna służąca,

Prypadkiem pokój ów zamiatająca,
Widzi ścianę okrytą pajęczem rozpięciem.
Natychmiast jednym miotły pociągnięciem,
Pogromcę świata bez litości gniecie,
I wraz z państwem przez okno wyrzuca na śmiecie.

Lew, niedźwiedź i komar.

Z krajów szczęśliwych, gdzie ni mniej ni więcej
Zima trwa dziesięć miesięcy,
Niezgrabny niedźwiedź znudzony się w borze,
Ni pytany, ni proszony,
W cieplejsze przywłókł się strony.
Było to właśnie w tej porze,
Gdzie dni pogodne i ciepłe wieczory,
Zażywają wszystkie twory,
Gdzie skrzydlate robaczki ujęte rozkoszą,
Tłumem się w koło unoszą;
Wolno się bawić każdemu.
Nie tak się zdało gościowi nowemu.
Jął więc machać łapami i rzucać się cały;
Wtem spotkał go lew wspaniały.
„Na kogóż, pyta, tak okropna kara?
I któż śmiał waszą niezgrabność obrazić?“
Niedźwiedź odpowie: „zabijam komara,
Śmiał po uchu mojem łązić.“
„A jam rozumiał, rzecze lew otwarty,
Że tygrysy lub lamparty
Gotujesz się wpół rozdzierać.
Możeszże gniew twój wywierać
Nad robakiem, co nawet nie wie o swym błędzie?“

Na mnie gdy komar usiedzie,
Zemsty to mojej bynajmniej nie wznieci,
Wstrząsnę grzywą i uleci;
Lecz każdy podług siebie postępuje,
Pastwi się dziki, wspaniały daruje.“

J e ż i r ó ż a.

W ogrodzie świeżo ozdobnym klombami,
Gdzie był wody potok żywy,
Jeż nastrzępiony ostremi kolcami,
Posuwał krok swój leniwy.
Wpośrodku krzewów wokoło rosnących,
Co się w różne barwy płońią,
Róża wabiła wszystkich przechodzących,
Jasnym szkarłatem i przyjemną wonią.
Wdzięk jej nie uszedł przed uwagą jeża;
Podniósłszy oczki zwolna się przybliży,
A zawsze sobie pochlebiać gotowy,
Tak się odzywa do kwiatów królowej:
„Nadobna różo! cieszę się niezmiernie,
Że tak jesteśmy podobni do siebie,
Ja noszę kolce, a ty nosisz ciernie,
Straszni jesteśmy w potrzebie,
Każde z nas tknięciem ciężką ranę zada.“
Róża z uśmiechem tak mu odpowiada:
„Mój ty najeżony Panie!
Twe tak nowe porównanie,
Może jest grzeczne, ale nie zbyt wierne;
Ja w nas znajduję różnice niezmierne.
Nie przeczę tego: na pączki me jasne,

Gdy kto śmiałe ściągnie dłonie,
Wtenczas ja w własnej obronie
Czasem go z lekka zadrasnę,
I wraz to kłucie wdzięczną wonią słodzę.
Lecz ty posepnie łążący po drodze,
Ty bez uwagi, bez względu żadnego
Kolesz aż do krwi, bodziesz do żywego.
I ztąd niechaj to ciebie nie uraza,
Świat mnie i ciebie inaczej poważa:
Mnie miłość żąda, mną się piękność chlubi,
A ciebie jeżu?... ciebie nikt nie lubi.“
Młodzieży w płytkich zarcikach zbyt chyża,
Naśladuj róże, ale nigdy jeża.
Jeżeli z ust ostre słówko się wysłiznie,
Niech grzeczność balsam niesie małej bliźnie,
Niechaj ta prawda wszystkim będzie wspólną:
„Można zadrasnąć, lecz ranić nie wolno.“

Zefir i piwonia.

Zaledwie zorza różową powłoką
Krasila niebo, rozpędzając cienie,
Ledwie skowronek wzbiwszy się wysoko,
Witał świt blady przez radosne pienie,
Gdy rosę z skrzydeł strząsnawszy złocistych,
Zerwał się Zefir lotem niecierpliwym,
Dążąc, gdzie wczoraj w gaiku cienistym,
Był z różą swoją szczęśliwym.
W nadziei, że ją znowu pieścić będzie,
Lata wokoło i szuka jej wszędzie;
Nie wie nieszczęsny, że róża kochana,

Ręką pasterza przed chwilą zerwana,
Wkrótce Ismeny zdobić miała włosy;
On jej nie widząc, przeklina swe losy.
Kiedy piwonia, co tam blisko rośnie,
Co nań od dawna spogląda miłośnie,
Próżnością biedną napoiwszy głowę,
Chciała się udać za kwiatów królowę.

„Luby Zefirze! zawoła nań tkliwie,
„Jam róża, której szukasz tak troskliwie,
„Przyjdź na mem łonie omdlewać z miłości.“

Przyleciał Zefir, lecz grubej chytróści
Nie dał się uwieść, i z miną zmarszczoną
Rzekł jej: „nie jesteś w przebraniu twem zręczną,
Żeby być różą, nie dość być czerwoną,
Trzeba być wonną i wdzięczną.“

Żółw i dwa pawie.

Na dziedzińcu Puławskim dwa chodzące pawie
Okazałe w swej postawie,
Migając każdym ogona obrotem,
Jasnym lazurem, szmaragdy i złotem,
Ranku jednego przeciw sobie stały,
I nie wiem o czem myślały.
Ale znienacka raptowne ruszenie
Zrodziło w obu wielkie zadziwienie.
Więc z ciekawością, z trwogą połączoną,
Z głową do ziemi schyloną,
Z otworzonymi na poły dziobami,
Przypatrują się i depczą nogami.
Zwierz, co w obudwu takie wzniecił trwogi,

Był to zółw leniwo-nogi,
Który, jak gdyby szło o losy świata.
Głęboko myślał przez całe dwa lata,
Czyli miał wyleźć, czy w sadzawce zostać.
Wylazł nakoniec, a niezgrabna postać,
Niezmiernie pawiów zajęła uwagę.
Zółw nasz do głupstwa łączący powagę,
Łepek wyścibia i oczki otwiera,
Na wszystkie strony stokroć się obziera,
Potem łapkę wystawia, a przez chwilę długą
Dumając, dalej wystawia i drugą;
Znowu rozważa i myśli, aż przecie
Poznał, że trzeba wystawić i trzecie.
Nakoniec rzekł tę prawdę niesłychaną:
„Kiedy czwartej nie ruszę, na miejscu zostanę.“
Rusza więc, małym postępuje krokiem,
A pawie za nim z wytrzeszczonem okiem
Idą i mówią: „co to z tego będzie?
Najrozumniejsze w całym zwierząt rządzie
Jest to zapewne; patrz co za powaga,
Co za roztropność, rozmyśl i uwaga;
Jak jest ostrożny na przypadek wszelki,
Podróży jego cel być musi wielki.“
Nie zgadły pawie, bo z całym mozołem
Z całą tą flegmą i z spoconem czołem,
Z całą nakoniec wahania się cnotą,
Gdzież zółw nasz zalazł? oto zalazł w błoto.
Niech nam idącym życia tego ścieżką,
Czynna roztropność będzie towarzyszką,
Rozlazłość choć się rozumem nazywa,
Źle zaprowadzi i wstydem okrywa.

Orzeł i żaba.

Krażąc pod jasnym obłokiem,
W szybkim, nieścignionym locie,
Orzeł przenikliwym wzrokiem
Postrzegł brzydką żabę w błocie.

„Dziwny, rzeczce, gust tej żaby,
Jaka nikczemność jej duszy,
Jakież mieć może powaby
Nurzać się w błocie po uszy?”

Żaba na to: „gorzej błądzi
Co o gustach zwierząt sądzi.
Ten, co wiecznie światem władał,
Różne skłonności stworzeniom swym nadał,
Ty, orle wzniesion nad powietrzne szlaki,
Gdzie wieczna panuje cisza,
Ciskając gromy Jowisza,
Trwóżysz ród wszelaki.

„Koń w zawodzie nieścignionym
Z rozwianą grzywą, z nozdrzem zapalonem
Lubi zbrojne szeregi łamać, znosić, ścierać,
I piękne laury w nagrodę odbierać.
Słowik ukryty pod cieniem,
Przy drżącym blasku księżyca,
Wdzięcznym, słodkiem swoim pieniem,
Tkliwych kochanków zachwyca.

„Lew krwią rozdartych zwierząt paszcze broczy,
Złotym ogonem paw wokoło toczy,
Podług skłonności swoich wszyscy czynią,
Ja z przyjaciółką mamą świnią

Więszego szczęścia nie znamy,
Jak gdy w 6rodku kałuży albo ciemnej jamy
Od stóp do głowy powalani błotem,
Leżemy sobie pokotem.“

O gust ten zabę naszą nikt nie wini,
Ujść nawet może dla świni,
Lecz ten, któremu Bóg prawicę dzielną
Dał, rozum i wlał duszę nieśmiertelną,
Postępowaniem zawsze z enotą zgodnem,
Twórcy swojego niech się stanie godnym.
Uleż należy dopuszczeniom nieba,
Lecz nie leżć w błoto, zwłaszcza gdy nie trzeba.

P o r ę c z e .

Kalif Bagdadu, co rządził pół światem,
Jadąc przez most nad Eufratem,
Postrzegł na obiedwie strony,
Szereg poręcz wyniesiony.
„Wezryze, woła, z czyjeje to rady,
Te nowe szranki, te jakieś zawady?
Ja ich nie lubię; nie chcę w mym zawodzie
Coś spotykać na przeszkodzie,
Te śmieszne belki mam za nic;
Nie cierpię w niczem, ni szranków, ni granic.“
„Najwyższy panie, wezryr odpowiada,
Nie jest w tem żadna zuchwałość,
Twe bezpieczeństwo, twoją i swą całość,
Lud w tych poręczach pokłada.
Żyją jeszcze tego świadki,

Jakie okropne przypadki
Zdarzały się dlatego, że poręcz nie było;
Nieraz pospólstwo kiedy się zburzyło,
W kłótniach swoich uniesione,
Spychało się w tę rzekę, jak gdyby szalone.
Srozsze zdarzenie mozem w dziejach liczyć,
Jak sułtan znany przez swoje zapędy,
Konno przejeżdżając tędy,
Tak jał rumaka bez litości ćwiczyć,
Tak strzemionami dręczyć,
I batem męczyć,
Że bestja na kieł wziąwszy,
Okropnie dęba stanąwszy,
Z szanownym jeźdźcem w nieszczęsnej godzinie,
Rzuca się na łeb i w tych nurtach ginie.
A wszystko to się zdarzyło,
Że tych poręczy nie było:
Racz tedy przyjąć Najjaśniejszy Panie,
To szczere moje wyznanie:
Że gdy, czyli to rządzący,
Czy lud pod nim zostający,
Z granic rozsądku wybiegą,
Te ich poręcze od zguby ustrzegą."

Motyl i ślimak.

Leciuchny motyl w nowe odzian szaty,
Złotem, jasnemi lśknący się szkarłaty,
W miesiącu maju po pięknym ogrodzie
Latał wesoły, a w rączym zawodzie
Z kwiatów na kwiaty, od krzaka do krzaka

Bujając, postrzegł biednego ślimaka;
Ten nie nikomu nie szkodząc na świecie,
Laźł z domkiem swoim na grzbiecie,

Piaskiem sypaną drożyną.

Gdy motyl z hardą i wyniosłą miną
Woła na ogrodnika: „niedbały człowiecze,
Patrz w twym ogrodzie jaki gad się wlecze;
Możeż ten ślimak, stworzenie nikczemne,
Plamić twe smugi i kwiaty przyjemne?

Wyrzuć go za płot, albo zadepcz nogą.
Ślimak z krwią zimną na tę mowę srogą,
Tak odpowiada: „los ślepy cię zwodzi,
Tobie być pysznym wcale się nie godzi,
Przypomnij cały życie twego wątek,

A najbardziej twój początek;
Z bogactwy, co się dziś na tobie świecą,
Czem byłeś wczoraj? podłą gąsienicą;
Ja zawsze jeden, pod tym niskim krzakiem
Urodziłem się i umrę ślimakiem.“
Kto drugim gardzi i z bogactw się puszy,
Podle zrodzonej cechę nosi duszy.

Osły przy rogatkach.

Do rogatek w Nowym Świecie,
Gdzie celników jest zagroda,
Przyszła z jukami na grzbiecie,
Poczeiwych osiołków trzoda.
Czujni strażnicy bez zwłoki,
Z pilnością ścisłą i drobną,
Jęli przetrząsać tłumoki

Każdego osła osobno;
Ach jakież było zdziwienie
Kiedy spostrzegł strażnik stary,
Że każde biedne stworzenie
Dźwigało inne ciężary.
Ten nosił mantelzak wązki
W nim listy zroszone łzami,
Portrety, włosy, podwiązki,
Małe obrączki z datami.
Za nim osioł rosły, żywy,
Przyniósł większe jeszcze dziwy,
Różnej farby wstęgi,
Jedne gładkie, drugie w pręgi,
Tuziny małych krzyżyków,
I piętnaście metalików!
Wyglądał wpośród tych sprzętów
Projekt, jak płaszcząc się wszędy,
Bez zasługi i talentów
Mieć bogactwa i urzędy;
Przytem wszystkim niosło zwierzę
Nadęte wiatrem pęcherze.
Dalej przyszedł osioł kary,
Gięły go straszne ciężary,
Dekreta, pozwy, repliki
I to wszystko, co prawniki
Gdy ich pieniąctwo ułudzi,
Walą na nieszczęsnych ludzi.
Obok wolno szedł osiołek,
Na nim u starego grzbietu
Wisiał maleńki kociołek
Z garścią siana i osetu;
Zamiast czapraka, odziany

Kawałkiem starej łachmany,
Z zwieszonem uchem i z zwieszoną głową,
Odzian krepą pogrzebową,
Przystąpił osiołek smutny.
Temu wyrok zbyt okrutny
Wziął dawniej lubą rodzicę,
Dziś ukochaną oślicę.
Patrząc na nieszczęsną tłuszcę,
Rzekł strażnik z twarzą zaśloną:
„Nie wielkie szkody urosną,
Gdy was bez opłaty puszcę;
Dosyć cła, dość dla was kary
Dźwigać podobne ciężary.“
Niejeden pewnie z słuchaczy
Spyta, co ta bajka znaczy?

Ach moje państwo, czyż tego nie wiemy,
W tych osłach siebie widzimy.
Tłumoków naszych niezliczone mnóstwo:
Miłość, wyniosłość, pieniąctwo, ubóstwo,
I smutna starość z opieszalym krokiem,
Wszystko jest naszym tłumokiem.
Z ciężkich przeznaczeń, ciężko się wyprosić,
Gdy więc człek musi sakwę swoją nosić,
Czy los, czy na grzbiet sam ją sobie włoży,
Niechaj więc każdy w tej życia podróży,
Choć rzadko ulgę znajduje,
Powoli sobie kłusuje.

Małpa na reducie.

Pewień miłośnik natury,
Co zwiedził wszystkie i lasy i góry,
Między ciekawościami w swoim gabinecie,
Nie wiem co na to powiecie,
Miał małpę w wzroście, postawie,
Tak dużą jak człowiek prawie,
W puszczech Afryki dobrze ona znana,
Imieniem orangutana.

Mędrzec nasz był trochę pusty,
Umyślił małpie suknie sprawić sute,
A że nadeszły same mięsopusty,
Wziąć ją z sobą na redutę.

Więc sprawia małpie domino różowe
I bajutę koronkową,

Na łeb jej szorstki z natury,
Kładzie kapelusz ze strusiami pióry,
Rękawiczki na ręce, na nogi trzewiki.

By lepiej jeszcze utaić twór dziki,
Nos błękitny i twarz płaską
Wenecką okrywa maską.

Biorą dryndulkę, i już w północ samą
Stają przed teatru bramą,

Wraz się koło nich kłóca latarniczki,
Kto ma otworzyć im drzwiczki.

Wehoda, już liczne znaleźli zebranie,
Tysiączne światła, gwarliwe gadanie,
Muzyka i poncz, co woń swą rozszerza,
Wszystko ich zmysły uderza,

Każdy jak gdyby obrany z rozumu,
Ciśnie się w sam środek tłumy,

Jeden drugiemu pod nosem
Niesłychanym piszczy głosem,
Snują się różne figury rojami,
Lecz jak na świecie zwodne jedynie strojami,
Nieraz konował w peruce doktora,
A krawiec z piórem autora,
Szarmantka, której mowa ojezysta nieznana,
Była za polkę przebrana,
Artystka, co śpiewa w chórze,
W Westalki przyszła ubiorze,
Żyd za rycerza z kokardą niedużą,
A adwokat pasterzem z flecikiem i różą.
Wśród tego ścisku, nasi przyjaciele
Chodzili także z maskami na czele.
Każdy spojrzy na mędrca i wraz go pominie.
Małpa w różowym dominie
Milcząca, zimną udając powagę,
Wszystkich zwróciła uwagę.
Lecz choć kto do niej zagada,
Spojrawszy z góry nic nie odpowiada.
To uporcezywe milczenie,
Postać, chód niepospolity,
Coraz to większe wzbudza zdziwienie.
Głos się wszędy wznosi liczny:
„To pewnie jakiś książe zagraniczny.“
„Nie, rzeknie drugi; patrz jaki ton pański,
To ambasador hiszpański!“
„Mylisz się, woła inny, w twojem rozumieniu,
To lord angielski, widać po milczeniu“,
Może senator, feldmarszałek jaki,
Widno w nim wielkie dostojeństwa znaki.
Tak gdy się każdy pochlebia,

Już jej aktorka swój bilecik wścibia,
Doktor swój adres, malarz swe mieszkanie,
Kupiec swe towary tanie.
Każdy gdy się pod małpy protekcyę ucieka,
Na uczonego nikt nie spojrzy człeka.
Naówczas mędrzec zdarłszy z małpy maskę,
„O nędzna trzodo, o stworzenie płaskie
Zawoła, patrzaj komu bijesz czołem,
Podłość jest twoim żywiołem;
Rozum, nauka, zasługa prawdziwa,
Wszystko u ciebie cenę swoją traci,
Przekładasz zwierzę, co w dumnej postaci
Milczeniem głupstwo pokrywa.“

Pióro i szabla.

Gdzieś tam podobno w kąciuku,
Na marmurowym stoliku,
Leżały razem
Pióro z żelazem.
Leżąc, cóż robić? zawsze spać to trudno,
Zawsze milczeć trochę nudno,
Lepiej więc, choćby mowy były płocze,
Pogadać trochę.
Ostra szabla, co wiemy, że nie jest trwożliwa,
Tak pierwsza długie milczenie przerywa:
„A to rzeczy niesłychane,
Ty, pióro z gęsi koszlawej wyrwane,
Z gęsi, co to nie umie, ni chodzić, ni latać,
Tak się ze mną wazysz bratać.
Wiesz, przy kim leżysz? od ostrza mojego,

Zawisły losy mocarstwa każdego.
Ja jestem szablą, od mojej to woli,
Wytepiać, wkładać kajdany niewoli.
Patrz jak Atilla, Alarik, Gingiskan,
Sławny Tamerlan i wielki Kulikan,
Siłą mojego bułatu,

Rozkazywali struchlałemu światu,
Rozum, nauka z swym blaskiem zwodniczym,
Przy szabli niczym.

W pokoju nawet, gdy szcękam po bruku,
Na hałas mego i stuku i puku,
Sędziwy mędrzec, choć bywał bojakiem,
Ucieka, jakby przed straszycłem jakim;
Słowem, gdzie tylko błysnie szablą sroga,
Postrach i trwoga.“

„Winszuję, pióro jej rzecze,

I ja szanuję, i szablę i miecze,

Nie wtenczas, gdy na rozkaz jakiego szaleńca,
Po ruinach szukają próżnej chluby wieńca,
Nie wtenczas, kiedy burzą, wytepiają, gonią,
Lecz wtenczas, gdy praw świętych i ojczyzny bronią.
Mówisz, że jesteś wszystkim, o szablę ponura,
Czem ze byś była w świecie bez gęsiego pióra,
Któżby o Tezeuszu, a Alcydzie dzielnym,

O Achillu nieśmiertelnym

Wiedział co dzisiaj, gdyby nie ów Homer stary,
Co boskimi od Feba zbogacony dary,
Uniesion duchem, jakim wieszczkowie przejęci,
Nie wyrwał tylu imion z czasów niepamięci?
Mówisz, że szablą wszystkim, niczem niewstrzymaną,
Ach, gdyby samej szabli nędzny świat oddano,
Cóż by się wtenczas działo? i któż to opowie?

To nieszczęśliwe zwierzę, co się człkiem zowie.
Jego przemysł i praca, światła i nauki,
Te gmachy, te posągi, te nadobne sztuki,
Wszystkie by się te cuda, dziełem ślepej siły,
Obróciły w popioły, pustynie, mogiły!
Choć ciebie dzisiaj tłum względów zaszczyca,
Przecież pomiędzy nami jest jakaś różnica.
Szabla czasem obroni, lecz częściej dokuczy,
Pióro, choć czasem zbłądzi, zawsze jednak uczy.“

Tu, gdy się pióro rozwodzi tak śmieie,
Szabla, co nienawidzi rozumowań wiele,
Straszmem się gniewem zajęła,
I piórowi nos ucięła.

Lecz cóż się stało, na innym stoliku
Mnóstwo lepszych piór bez liku,
Pisać zaczęło: długo walka trwała,
Nareszcie szabla poznała,
Że łatwiej twierdzą prochami wysadzić,
Niż wszystkie pióra zagładzić.

Kotka.

Jak między ludźmi, tak wśród zwierząt innych,
Natura wielką sprawiła różnicę;
Czy na kobiety spojrzym, czy też na samice,
W kształcie, rozumie, w wdziękach ich niewinnych,
Są między niemi i skromne i dumne,
Troszeczkę głupie i bardzo rozumne.
W tej mniej lub więcej przystojna figura,
Niech Pan Bóg broni, żeby brzydka która;
Takich, co wszystko wzięłyby w udziale,

Przyznać należy, że nie bardzo wiele;
A jeżeli ujrzysz stworzenie tak cudne,
Coby łączyło i cnoty i wdzięki,
Takie stworzenie w daniu swojej ręki.
W wyborze męża niezmiernie jest trudne.
Słusznie; bo lepiej w małżeństwo nie wchodzić,
Niż być męczoną albo się rozwodzić.
Tej jasnej prawdy dała nam dowody
Kotka precudnej urody;
Ale tak śliczna, że po całej włości,
Nic nie mówiono jak o jej piękności.
Miała okrągłą i nadobną głowę,
Włosy pomarańczowe,
Oczy czułe i mdlejące,
Usta pstrokate sterczące,
Nosek pociągły, w policzkach kąciki,
I nad ustami maleńkie wąsiki;
Tok cały ciała, szykowny i giętki,
I na grzbiecie czarne cętki.
Nawet w miauczeniu coś miała słodkiego,
I do serca idącego.
Czułe rodziców staranie,
Równe piękności dało wychowanie,
I talenta i nauki,
Umiała różne sztuki,
Słowem, każdy przyznał śmiało,
Że kotka nasza była doskonałą.
Więc się dziwić nie należy,
Że wpośród kociej młodzieży,
Na każdym miejscu i każdego czasu,
Wiele robiła hałasu.
Gdzie tylko kroki obróciła swoje,

Tłumem młodych kotów roje
Chodziły za nią, i oczy swe szklanne
Na tak prześliczną obracały pannę,
Co dzień niejeden w miłośnych miauczeniach,

Mówił jej o swych płomieniach;
Oświadczał jak jest gorąco spragnionym,
Darem jej łapki być uszczęśliwionym,

U nóg jej składał prezenta,
Kawałek sera, myszy i ptaszęta, —
Lecz ona odmawiała dary i zaloty.

Oporem takim urażone koty,
Poszły na skargę do matki.

Była to pani cnoty bardzo rzadkiej,
Nie zwiedzała obcych krajów,
Lecz przywiązana do dawnych zwyczajów,

Żyjąc daleka zgietku i hałasów,
Bolała ciężko nad zepsuciem czasów;
Siedząc mruczała i ruszała wargi.

Koty jej swoje przełożyli skargi,
Pytali, zkąd to dziwactwo dziewczyny,

Z jakiej jej córka przyczyny,

Gardzi wszystkimi ofiary,

Pięknej swej łapki odmawia?

Ze tylu kotów starania i dary,

I miłość tkliwa wrażenia nie sprawia?

Na srogie męki ich głucha,

Grzeczna dla wszystkich, żadnego nie słucha?

Powazna kotka twarz swoją sędziwą

Umywszy łapką, tak im odpowiada:

„Ze córka moja nie jest dotąd tkliwą,

Niech na nią winy zaden z was nie składa;

Przyczyna jej oporu i obojętności,

W waszym życia sposobie, w waszej rozwiązłości.
Od dawnych kotów, co to za różnica!
Świat zawsze jeden, i dawniej kochano,
Lecz czułą miłość kryła tajemnica,
Kto kogo kocha o tém nie gadano.
Ten, co się chlubił, żył w wiecznej niesławie,
Dziś u was wszystko na jawie;
Co to za wasze kochanie?
Gdzie winne dla płci jest uszanowanie?
Kędy przystojność? gdzie zalotność grzeczna?
Między samemi spory, wojna wieczna,
Ustawnie się drapacie,
I miauczycie i parzchacie!
Wśród srogiej wrzawy, na jawnym widoku,
Po piwnicach, po dachach, czasem i w rynsztoku
Spełniamie miłości brudne.
I jaż to stworzenie cudne,
Dziecię me, łotrom mam takim powierzyć?
Ah! nie chcecie temu wierzyć.
Wprzód nimbym miała nieszczęście jej sprawić,
Jeżli się żaden nie zechce poprawić,
Choćby to miano i za rzecz naganną,
Wolę, że córka moja umrze panną.“

Herostat.

Wieczór nadchodził i gasły już zorze,
Gdy lud w Efezie powracał z igrzyska,
A rad z pysznego jeszcze widowiska,
Tłumnie rozmawiał o sztuki wyborze.
Kiedy w gęstych nocy cieniach,

Daje się słyszeć głos trwogi,
Patrzą, co za widok srogi,
Kościół Dianny w płomieniach!
Lecą wszyscy przerażeni
Ratować, wiedzieć pożaru przyczynę;
Alić zszedłszy na dolinę,
Kędy się źródło święte pieni,
Postrzegli bokiem zdaleka,
Idącego śpieszno człeka.
Był to Herostrat szalony,
W ręku miał jeszcze tlejącą pochodnię;
Wraz sam wyznał swoją zbrodnię,
A lud gniewem uniesiony,
Szkody powszechnej ofiarę,
Wiódł go do sądu po karę.
Stawa; sąd się zapytuje,
Czemu popełnił czyn wściekły?
Co na obronę znajduje,
Czyli jędze wypuszczone z piekły,
Rozum jego obłąkały?
Jak śmiał okrutny, zuchwały,
Świątynię bogów w perzynę obracać,
Posąg Dianny wywracać?
Niszcząc gmach tyłą wzniesiony trudami,
Ozdobny całej Grecyi skarbami,
Mieszkanie bogini lube,
I narodów wszystkich chlubę?
Postępując trybem prawnym,
Winowajca odpowiada:
„Chciałem być w Grecyi sławnym,
Ztąd wina moja i zdrada;
Próżność mię bodła, pragnąłem koniecznie

Żyć w pamięci ludzkiej wiecznie.
Nieużyte przyrodzenie
Odjęto cnotę sercu, światło rozumowi,
Byłem niezdatny krajowi,
Chciałem mieć jednak znaczenie.
Nie mogąc drugich zdatnością celować,
Co ci zrobili, to ja chciałem psować.
Zbrodnia łatwiejsza jak cnota.
Spalić więc gmach ten wzięła mię ochota.
Mniej dbam, że Efez na to się zażali,
Byleby o mnie gadali, pisali.“
Sędzia mu rzecze: „Złoczyńco nieprawo!
Cnotą dojść tylko można szczytu sławy,
Kto zbrodnię pełni, próżnością zajęty,
Nie będzie sławny, lecz wiecznie przeklęty.
Umrzesz w ciemnotach srogięgo więzienia,
I nikt nie wspomni twojego imienia¹⁾).

Brat i siostra.

Gdzie huczne zwiedzając morze,
Kupiec zagłem wiatry porze,
Na wyspie jednej spokojnej,
Mieszkał naród znamienity,
Naród od natury hojnej
We wszystkie dary obfity;
A nadto, w czem jest tak skąpym los srogi,

¹⁾ Sąd w Efezie na ukaranie próżności Herostrata wyrokiem swoim zakazał, aby nikt z mieszkańców imienia jego nie ważył się wymawiać.

Dał mu wolności dar drogi.
Była to wyspa szczęśliwa,
Lecz jak i w wolnych krajach często bywa,
Kto zręcznie umiał ludowi dogodzić,
Mógł na potem ludem wodzić.
Tak się w tej wyspie zdarzyło:
Niewiasta jedna nadobna,
Zręczna, obrotna, sposobna,
Do tego przyszła swą siłą,
Że jąta rządzić narodem;
Sławna była dawnym rodem,
Uczony dzieła jej chowa,
Znana w Atenach i Rzymie,
Wszędzie wolność czei jej imie,
Nazywała się Wymowa.
Postać nadobna, i w łudzającej twarzy
Ogień z słodyczą się żarzy.
Chciwa ozdoby i zimą i latem,
Nie dość, że skronie uwieńczała kwiatem,
Do wdzięków co jej natura
Hojną dłonią udzieliła,
Ona jeszcze pawie pióra
Dla ozdoby przyczyniła.
Suknie nosiła świecące;
Bardziej dla celu niż wdziękui,
Trzymała w obydwóch ręku
Dwie pochodnie gorejące;
Nie, żeby niemi umysł oświecać,
Lecz żeby pożary wzniecać.
A tak w wytwornej postaci,
Przez słodkie oczu spojrzenie,
Na zgromadzonych współ-braci

Puszcza wdzięcznych słów strumienie.

Długo głupi i uczoney,
Słodkiem brzmieniem omamiony,
Od wielu widząc popartą,
Słuchał ją z gębą otwartą.

Bóg wie jak silną stała się jej władza,

Sama wszystkiemu zaradza;
Tym pochlebia, tych zasmuca,
Na tych kwiatami rzuca.

Wśród ślepej zapaleczywości
Nieraz gniewem uniesiona,
Własne rozdziera wnętrzności.

Tak gdy niepowściągniona,
Czyli to jaka choroba,
(Czy rozumiała że się to podoba)

I gada zawsze i gada;
A kiedy cała gromada,
Na wszystkie potrzeby głucha.

Nie nie robi tylko słucha;
Ustała wszelka robota,

Budowy na pół wzniesione,
Zostały niedokończone.

Bo zawsze wymowna cnota,
Wolała gadać jak czynić,

I mniej zachęcać jak winić.
Już się rok schylał do końca,

Jako rzesza próżnująca,
Niepomna ważnych widoków,

Godzino-płynnych słuchała potoków.

Nakoniec los szczęśliwy otworzył im oczy,

Poznali, że chcąc ludźmi dobrze władać,

Niedosyć jest tylko gadać:

Że gdy się z słowy skutek nie jednoczy,
Z najprzyjemniejszą wymową
Często można podrwić głową.
Zaczęli więc myśleć wielce,
Przydać kogo rządzielce.
W tejże wyspie z drugiej strony,
Mieszkał w zaciszy szczęśliwej,
Cnej Wymowy brat rodzony.
Nie znał żądzy świegotliwej,
Stały w sercu, w słowach skromny,
Nikezemnych uraz niepomny,
Lubił jasność i porządek,
I nazywał się Rozsądek.
Bardziej powolny niż ostry,
Zdaleka patrzył na szaleństwa siostry;
Zrazu zbawienne chciał jej dawać rady,
Ale naród zapalony,
Wraz go posądził o zdrady;
Z wzgardą został odrzucony.
Lecz prędko tryumf go czekał:
Gdy się bowiem czas odwlekał,
Skutki próżnego gadania,
I ustawnego słuchania,
Do tego lud ten przywiodły,
Że z pokornymi modły,
Przyszedł Rozsądku prosić,
Żeby go bronił od zguby,
I nie chcąc więcej błędów siostry znosić
Wprowadził rzeczy w ścisłe kluby.
Dobro współbraci pragnący,
Podjął się usług skwapliwie;
I by duch wszystko palący,

Mógł umiarkować szczęśliwie
I z siostrą zaradzać zgodnie,
Zostawił jej świetne szaty,
I pawie pióra i kwiaty,
Ale odebrał pochodnie.

Tak brat z siostrą wspólnych darów,
Gdy używa poważany,
Nie było więcej pożarów,
Zgoiły się dawne rany,
I wyspa pokój zyskała:
Nikt się już więcej nie wadził,
Słodka Wymowa serce poruszała,
Ale umysły Rozsądek prowadził.

Gmach podupadły.

Nieraz ten co bajki plecie,
Trafunkiem i prawdę powie.
W Mozyrskim mówią powiecie,
(Nie wiem, jak się miejsce zowie)
Leżał zamek starodawny,
Nad czystego źródła spadkiem.
Niegdyś wielkością swą sławny,
Okazałości był wzorem;
Lecz czasem i niedozorem,
Już zewsząd groził upadkiem.
Panowie co w nim mieszkali,
Długo o zamek nie dbali,
Choć się część jego zwała;
Lecz gdy i reszta groziła,
Że każdemu miłe życie,

Nie chcąc żyć w niepewnym bycie,
Jęli myśleć o poprawie.

Co się w mnóstwie rzadko zdarzy,

Zgodzili się w swej ustawie,

Że chcąc ruiny poprawić,

Należy się mieć mularzy.

Wśród tej gorliwej ochoty.

Gdy przyjsć miało do roboty,

Gdy mur nowy mieli stawić,

I dawne naprawić rysy,

Skłócili się o abrysy.

Należy wiedzieć, że niedawnym czasem,

Gdy się dom walił częściami,

Pan chcąc go wzmocnić nawiasem,

Podparł go kilką drągami:

Ale zamek murowany,

Źle podpiera drąg drewniany.

Dawni jednak budownicy,

Dziela swego miłośnicy,

Chcieli by w nowych nie szukając wzorach,

Klecić na dawnych podporach.

Lecz większa drugich połowa,

Szczera w chęciach, w radach zdrowa,

Wołała: „Próżna robota,

„Próżna praca i ochota.

„Wszystko będzie pełne wady,

„Gdy wątle będą zasady.

„Że trzeba żeby panięta,

„Wspomnieli na fundamenta:

„Że gdy te założą trwało,

„Mogą potem stawiać śmiało,

„A gmach stojąc w czas daleki,

„Zwalczy pioruny i wieki.“ —
Próżna mowa, bo jedni jej nie zrozumieli,
Drudzy zrozumieć nie chcieli,
Ci zaś najwięcej mieszali,
Co budownictwa nie znali,
Bo gdy ten o podwalinach,
I o upadku przyczynach
Chce radzić, tamci coś nowego wzniecą,
I z jakąś fraszką wylecą.
Ten żąda okna poprawić,
Tamten nowy dach postawić,
Ten piec gdzie indziej przenosi,
Ow gwałtem kominka prosi,
Wielu zaś o to nagliło,
Żeby drzwiczek sekretnych jak najwięcej było.
Wśród tak rozlicznych sporów i niezgody,
Co Babilońskie przypomniały wieże,
Kiedy się każdy niby od upadku strzeże,
I chcąc dać jasne dowody,
Głębokiej swojej mądrości,
I niemyślnej ostrożności,
Choć nie zna gmachu osnowy,
Przydaje swym konceptem gabinecik nowy.
I gdy tak każdy szuka swej zalety,
Nowe stawiając gabinety,
Że już samego gmachu ledwie widać było;
A co dziwna, że w tym gwarze
Zapomnieli iż mularze
Najprędzej potrzebni byli,
Żeby gmach zabezpieczyli.
Lecz czyli takie losu zrządzenie,
Czyli jakieś zaślepienie,

Czyli że się pan nie chciał czeladzi powierzyć,
A czeladź bała się pana;
Choć była wszystkich chęć niepodejrzana,
Nikt nie mógł sporów uśmierzyć,
Nikt nie mógł trafić do końca.
Już niejednego miesiąca,
Dni na próżno uleciały,
Alić gmach ów nadwątlały,
Nie doczekawszy pomocy,
Wpośród okropnej nocy,
Wpośród gromów przeraźliwych,
Spadł na głowy nieszczęśliwych.
Wtenczas przy ostatnim zgonie,
Z płaczem wszyscy narzekali,
Że gabinety stawiali,
Gdy trzeba było myśleć o domu obronie.

Mucha i pszczoła.

Już wiosna w kwiecistym wianku
Smutną postać świata zdjęła,
Już ziemia rozkoszą tchnęła;
Kiedy jasnego poranku,
Odwiedzając wonne zioła,
I co do jej robót służy,
Siadła przykładna pszczoła,
Na barwistym pączku róży,
I schyliwszy listek miękki,
Piła świeżą łzę jutrzeńki.
Lecz gdy tak pije i skrzydełkiem *richa,*
Przyleciała z drugiej strony,

Na tenże krzaczek zielony,
Nie nierobiąca mucha;
Rzuciwszy oko na całą pasiekę,
Na bieżącą przez nią rzekę,
Na lipy kwiatem pachnące,
I na dęby cień dające,
Westchnęła; potem w przyjaznym zarzucie,
Wyrażała tak swe czucie:
„Ach! jaki smutek dotkliwy
Serce moje wskrós przejmuję,
Gdy się zewsząd zapatruję,
Jak siostró stan twój szczęśliwy!
Kiedy biedne moje życie
Równam z twemi dostatkami,
Z pełnemi miodu ulami,
Nie mogę tobie nie zazdrościć skrycie.“ —
Pszczoła tak jej odpowiada:
„Niech cię twa nie dziwi biada;
Wieszże zkąd nasze są miody?
Skutkiem są pracy i zgody.
Widzisz te ule stojące,
Mieszkają w nich pszczoł tysiące,
Żadna nie żyje dla siebie;
Każda ku wspólnej potrzebie,
Daje co tylko posiada,
Jedna na drugą nie składa;
I gdy na obszar szeroki,
Okryty gryką i kwiatem,
Lecim w dzień pogodny latem,
Zbierać dobroczynne soki,
Im więcej która przynosi,
Tém bardziej radość swą głosi,

A pracą zebrane zapasy,
Słodzą nam zimowe czasy.
Prawda, że ciąg dni szczęśliwych
Ma także swoje przygody:
I my, jak inne narody
Mamy nieprzyjaciół mściwych.

(I pszczoła się zupełnie szczęśliwą nie mieni)

Nieraz tłum brzydkich szerszeni
Przychodzi miody nam zjadać;
Lecz co zwykła nami władać,
I matka nasza i pani,
Zarówno jak jej poddani
Razem z nami nienawidzi
I szerszeniami się brzydzi;
A kędy miłość i nienawiść wspólna,
Tam jest przemoc nieudolna.
Inna we wszystkim u was odmiana,
Moja ty mucho kochana!
Czyli w starości, czy w młodości kwiecie,
Od dziś do jutra życie;
Rzadko która z was pamięta,
Że całość ojczyzny święta,
Pierwszym powinna być celem;
Że ten jej nieprzyjacielem,
Kto o jej szczęście niedbały,
Kto się jej nie odda cały.
Los z wami srogie wyrządza igrzyska,
Wspólnej potrzebie rzadko zaradzicie,
I jeśli się zgromadzicie,
To albo wkoło półmiska,
Albo na brzegu pełnej szklanki wina;
W was samych nieszczęść przyczyna.

Jeżeli więc chcecie pszczoły naśladować,
I być jak one szczęśliwe, spokojne,
Bądźcie dla dobra powszechnego hojne,
Chciejcie jak one pracować.
Ale inaczej w każdej pajęczynie,
Niebaczny rodzaj zaginie.“ —
To rzekłszy, dłużej nie mogąc się bawić,
Mądra pszczoła uleciała;
A mucha co ją uważnie słuchała,
„Trzeba się, rzekła, poprawić.“

Krety.

Kiedy wszystko złe się dzieje,
Kiedy nieufność, niezgody,
Zniszczywszy wszystkie nadzieje,
Zostawia rzeczy jak wprzódy;
W smutnym losów naszych względzie,
Niech przynajmniej wolno będzie,
Kiedy już prawda nie miła nikomu,
Siedzącemu cicho w domu,
Przed kochanymi współbracią,
Powiedzieć prawdę pod bajki postacią. —
Ogrodnik jeden rozsądny,
Pracowity i porządny,
Dostał po ojcu niedbałym,
Sad drzewy zewsząd okryty.
Sad ten był niegdyś ogrodem wspaniałym,
Lecz czas srogi, nieużyty,
A bardziej jeszcze przeszli ogrodnicy,
Co się w tym sadzie rządzili,

Tak go srodze opuścili,
Żeś już nie poznał i jednej ulicy.
Same chwasty i rośliny,
Pomiędzy niemi gadziny,
Kwatery pozarzućane,
Drzewa wszędy połamane.
Słowem z pełnego wprzód owoców sadu,
Zrobili puszcę bez sprawy i ładu.
Tak więc rzeczy opuszczone,
W spadku nowemu dostały się panu;
Chciał je przez prace łożone,
Do dawnego przywieść stanu:
Plantę więc nową porządnie ułożył,
Tutaj ulice naznaczył,
Dalej inspekta założył:
Tu drzewom owoc noszącym,
Tutaj lipom wonią tehnącym,
Właściwe miejsca przeznaczył.
Gdy się nadziei podaje
Przyszłego szczęścia porządku,
Zaraz na samym początku,
Niežnośnych przeszkód doznaje.
Kto rzeczy ważnej chce się podejmować,
Nim postąpi w swoim dziele,
Znosić musi przeszkód wiele,
I z zazdrością się pasować.
Ten los spotkał ogrodnika.
Zaledwie pierwszą ulicę wytyka,
(Więcej użytku pragnąc niż zalety)
Wnet utajone krety,
Ziemię, która się zaczęła prostować,
Jęły ryć wkoło i toczyć i psować;

A choć wprzód z sobą niezgodne,
Chęć psucia i wywracania,
Złączyła plemię odrodne;
Już są jednego zdania,
I te co pierwaj na siebie pryskały,
Dziś się czule całowały.

Daremnie ogrodnik smutny,
Przekładał im raz okrutny,
Który robocie jego zadawały;
Krety wcale nie słuchały.

„Przebóg! wstrzymajcie się proszę,
Od tego rycia i toku,

Jakież w tem macie rozkosze?

Pan Bóg wam nawet nie użyczył wzroku,

Ślepe, prawdziwie nie wiecie
Czego chcecie, co robicie.“

Próżne gadanie: rodzaj zapyrzony,
Toczył we wszystkie strony.

Owszem do siebie tak krety mówiły:

„Byśmy tylko przeszkodziły,

Żeby przed zimą nic się nie zrobiło,

Tośmy już potem wygrały:

Wiatr północny z całą siłą
Przyjdzie, i wszystko obali.“

Nie były słowa daremne,

Dotrzymały krety ciemne

Układy swoje zdradliwe;

Na próżnych usiłowaniach,

I ustawicznych psowaniach,

Minęło lato szczęśliwe;

Zniknęła wszelka otucha,

Zima, śnieg i zawierucha,

Zniszczyły wszelkie roboty.
Ucieszyły się niecnoty;
Biedny ogrodnik ciężko się zasmucił,
I dzieło swoje porzucił.
A tak przez kretów, utraconym czasem
Ogród znowu stał się lasem,
I kto chciał to w nim polował,
Niszczył, wycinał, plądrował.

Okręt.

Okręt miotany wiatrami,
Szedł jako tako wpośród nawałności,
I podróżni z żeglarzami,
Gdyby się byli trzymali w jedności,
Oparliby się tej burzy;
Lecz próżno: im bardziej niebo się chmurzy,
Tem bardziej, zamiast czynienia,
Zwłoki tylko i mówienia.
„Do zagłów! już skała bliska“,
Wołali tam i owdzie rozsądni majtkowie,
„Źle się kierujem, fala nami ciska,
„Przebóg! mniej obfici w mowie,
„Bądźmy czynniejsi.“ Tu na głos tak zdrowy
Mowca jeden dowodził, lecz nie czterma słowy,
Że chcąc zachować życie i majątek,
Trzeba roztrząsać wprzód wiatrów początek;
„Przydaj, rzekł drugi, zkąd wód wzrost i spadek.“
„Nie to, — trzeci zawoła, sądząc że przypadek
Najrozumniej rozwiąże i pogodzi spory, —
„Patrzcie, pioruny jak huczą z łoskotem,

„Postawić trzeba wprzódę konduktory,
„I zasłonić się przed grzmotem.“
Nakoniec wszystkie zdania zważane bez zgody,
Bardzo może przyzwoite,
Na lądzie lub w czas pogody,
Opóźniając ratunek, mowce znamienite,
Sternika i okręt cały,
Pędem rozbiły o północne skały.
A tak mimo ratunku sposoby gotowe,
Wszystko zginęło przez zbytnią wymowę.
Czemuż przykładu tego nie użyjem?
Potrzeba nagli, moi przyjaciele,
Wierzcie, rozumu mamy nadto wiele,
Czas próżno tracim, o brzeg się rozbijem.

Orzeł i robak.

Ten, co się królem mianuje nad ptaki,
Orzeł wylęgły w niebotycznej skale,
Wzniósłszy się w powietrzne szlaki,
Na rozciągniętych skrzydłach ważył się wspaniale;
I wzrok bystry po łące prowadząc szerokiej,
Ujrzał ptak noszący gromy,
Jak na wierchołku topoli wysokiej,
Czołgał się robak poziomy.
Spuszcza się na dół ciekawością zdjęty,
I pyta w jaki sposób niepojęty,
Robak stworzon do pełzania,
Bez skrzydeł i rozeznania,
Przez drzewo w sęki obroste,
Wlaził na miejsce tak wyniosłe?

Rzeknie mu robak: „Co mnie po rozumie?
Sięga wysoko, kto się czołgać umie.“ —

Kura i indyczka.

W miesiącu lipcu, właśnie w owej dobie,
Gdzie największe są gorąca,
Kura pod ścianą chłodu szukająca,
Siedzała sobie.

Siedząc, myślała o sprawach domowych,
O rywalkach coraz nowych,
O niewiernym kogucie, i o niebożętach
Kurczętach.

W długiem dumaniu o swojej niedoli,
Tak się mocno pograżyła,
Iż nie postrzegła jak idąc powoli
Indyczka tuż się zbliżyła; —
„Jak się masz, rzekła, sąsiadko?
Czemuż cię widuję rzadko?

Czemużeś smutna? jak ci służy zdrowie?“ —

Kura jej na to odpowie:

„Jak można tak się na tym świecie lezie,
Każdy ma swego mola co go gryzie;

Tobie ma pani kochana,

Nie jest bieda moja znana,

W wyższym się stanie zrodziłaś.

Inaczej się chowałaś, inaczej karmiłaś;

To mniejsza: kura co myśli wspaniale,

Nie uważa na to wcale.

Czego najbardziej każda ci zazdrości,

To małżeńskiej szczęśliwości;

Co to za mąż twój nieoszacowany!
Mijam, że w czarny aksamit ubrany,
Że szafiry i korale
Zdobią mu szyję wspaniale,
Że poważny, okazały,
Słowem pan cały.

Lubo i to zaleta nie najpośledniejsza:
Lecz jaka jego cnota najważniejsza,
To, że małżeńskiej wiary dochowuje,
I ciebie jednej pilnuje.

Nie tak jak ów mój kochany małżonek,
Co zadarłszy swój ogonek,
Z kokoszami bez przestanku
Tłucze się z samego ranku.

Mnie biednej (takie to niebios skaranie)
Ledwie sześć razy na dzień się dostanie;
Niedbalstwo takie przenika mi duszę,
Lecz cóż robić? milczeć muszę.“ —

Zdziwiona indyczka na podobne żale,
„Powie ci, rzecze, prawdę poufale,
Że twoje skargi nie są bardzo silne;
Często pozory są mylne:

Tobie się stan mój wydaje szczęśliwy,
Mąż mój wierny i cnotliwy;
Tak to na świecie: zazdrościm cudzego,
A nie znamy szczęścia swego.

Niewierny kogut, i często cię zdradza,
Lecz ileż cnoty wadę tę nagradza;

Jak grzeczny, jak wesoły,
Jak każdym ziarnem i małym kamykiem
Dzieli się z tobą na poły!
Możnaż go równać z indykiem,

Co sobą tylko zajęty,
Chodzi smutny i nadęty;
I gdy mi nawet chce prawie słodyczy,
To tak przeraźliwie krzyczy,
Iż się zdaje
Że mię łaje.

A nawet względem miłości,
I małżeńskiej powinności,
Co mi za kochanie jego!
Więcej dmuchania jak czego.
Słowem moja kochana, gdy uczą przykłady,
Że nie ma męża bez wady,
Lepszy zalotny, gdy greczny, rozumny,
Niż zimny, głupi i dumny.“

Słowik, wróbel i ziemba.

Miłosny słowik i wróbel zalotny,
W młodziuchnej ziembie razem się kochali,
I siedząc w krzaku, gdzie był gaj samotny,
Jak mogli tak się oba zalecali.
Wiosenny śpiewak w tonie słodko-tkliwym,
Chciał ją przekonać o ogniu niezmiernym,
„Będę ci, mówię, i czułym i wiernym,
Bylesz mnie chciała uczynić szczęśliwym.
Głos mój nie wątpię znanym już jest tobie,
Bogowie chętnie słuchają go sami,
Odtąd go twojej poświęcam osobie,
Wysławiać będę pomiędzy gajami
Twoje imię, wdzięki i twoje przymioty,
Twój wzrok poważny i pełen pieśzcoty;

Twoją urodę, a echa odgłosne
Powtarzać będą me pienia miłośne.
Słowem byś szczęśliwą była
Wszystkie me kroki będę do tego stosował.“
„A ja cię, przerwał wróbel, tak będę całował...“
Na te słowa wraz cała sprawa się skończyła,
Favore szarego ptaka;
Z kwitkiem puszczonego śpiewaka.
Tu koniec mojej powieści.
Jeżeli ciekawy kto moralnej treści,
Wy zwłaszcza ładne kobietki,
Pamiętajcie ją dobrze, znajcie jej użytki:
I kiedy tkliwych miłośników grono,
Z miną czułą i strapioną,
Łącząc za wami wszędzie,
Wzdychać i prawić androny wam będzie,
A może i wiersze swe głosić;
Umiejcie trwałość nad czezy blask przynieść.
Próżne wzdychania, wiersze i ton tkliwy,
Talent wróbelka, to talent prawdziwy!
Niejedna Kloris otwarta i śmiała,
Przyzna, że ziemba wielki rozum miała;
Oprócz atoli jednego zdarzenia:
To jest gdyby się znalazł ptak bogaty,
Coby miał gęste dukaty,
Natenczas postać rzeczy się odmienia;
Natenczas on pierwszy wśród ptaszej młodzieży,
I wróbla nawet pożegnać należy.

Źródła i strumyki.

W przyjemnej jednej dolinie,
Okrytej zewsząd gajami,
I ziołami i kwiatami.
I którą rzadko przechodzień ominie;
Czystych strumyków tysiące,
Wiły wodę szemrzące.
Wpółród nich zdroje niektóre,
Wyniosłą przebiegłszy górę,
Spychając kryształy czyste,
Wieszały na powietrzu pasma przezroczyście;
Lecz gdy tak miłą doliną,
Wody te oddzielnie płyną,
Gdy się tak nizeziemnie sączyé
Wodom wszystkim uprzykrzyło,
Żeby ich bliskie nie zabrały zdroje,
Umyśliły wspólną siłą
Wraz pozbierać wody swoje,
W jedno się koryto złączyć,
Zlać razem zdroje dalekie,
I wielką utworzyć rzekę.
Zamysł zaiste wspaniały,
Godzien największej pochwały.
Jakoż przejęci radością,
I pyszni przyszłą wielkością,
Zdroje, źródła i strumyki,
Tysiączne wydały krzyki.
Jeden chcąc dać przykład z siebie,
I przywieść drugich do zgody,
„Ja rzekł, ku wspólnej ostrzebie
Dam ostatnią kroplę wody;

I choćbym w szczupłym miał oschnąć korycie,
Chętnie poświęcę me życie.“

Drugi w żarliwym zapale,

Nadawszy małe swe fale,

„Ja, rzekł, gdy łono moje otworzę,

Nie rzekę zrobię, lecz morze.“

Każdy się z wielkiem zdziwieniem,

Patrzył nad tem uniesieniem,

I echa co je słuchały,

Gorliwość tę powtarzały.

Kiedy czas przyszedł pełnić obietnice,

Gdy strumyki i krynice,

Zlać mieli w jedno koryto,

Każdy cząstkę przyzwoitą:

Strumyki głośno krzyczały,

Żeby źródła przykład dały.

Posłuszne źródła, krynice,

Wraz oddały cześć swą rzęce;

Lecz choć w wody dostatniejsze,

Że w liczbie swej były mniejsze,

Tą, tak ofiarą obfitą,

Nie napełniły koryto.

Kolej przyszła na strumienie,

Które choć szczupłe ale niezliczone,

Przez cząstek swoich złączenie

Mogły dopełnić miarę naznaczoną.

Lecz nie wiem czyli z nagannej ochrony,

Te tak gorliwe strumyki,

Zamiast iść prosto do rzeki,

Jęły się kłócić w rozmaite strony,

I przez żałosne mruczenia,

Szerzyć swoje zażalenia:

Mówiąc: „My wszystko dać zapewne chcemy,
Ale cóż, gdy nie możemy!
Szczupłe są nasze dochody;
Wszak na brzegach naszej wody
Rosną konwalie i róże pachnące,
Musimy je wszystkie żywić;
Ach jak się będą dziwić,
Przez jakie zale, ach przez jakie krzyki,
Przyjmą nas pozostałe po domach strumyki!“ —
Słyszac te słowa wśród srogiego wrzasku,
Zdrój toczący się ua złocistym piasku,
Zdrój w obrady nie wchodzący,
Spokojnie sobie ciekący,
Rzekł im: — „Kto wielki zamysł przedsięwzię,
Niechże ma stałość po temu,
Niech co obiecał wykonywa szczerze;
Inaczej światu całemu
Lekkim się tylko pokaże:
Niewierny przysiędze, enocie,
Zbyteczny w słowach, a zimny w istocie,
Hańby swej nigdy nie zmaże.
Tylko skromnie sączone pośród ciągłej zgody.
Strumyki stworzyć mogą braterskimi wody,
Rzekę, co tocząc bałwany niezmiennie,
W morza przepaści bezdenne,
Przez złączone nurty swoje,
Zadziwi swą wielkością okoliczne zdroje.“

Pęcherz i kłos.

Na sterzącym w płocie kole,
Zatknięto pęcherz nadęty,
Zaraz za płotem ciągnęło się pole,
A na niem został kłos jeszcze nie zżęty.
Zewsząd miotany wiatrami,

Taką do kłosu pęcherz zaczął mowę:
„O ty nizezemny pomiędzy tworami,
Słusznie, że schyłasz przedemną twą głowę,
Widzę żeś słyssał o mym wielkim rodzie,
Patrz jak ogromny jestem w mym obwodzie,
Z jak szumnym ruszam się trzaskiem,
I jak pięknym lśknę się blaskiem.
Możesz się podłe zboże równać do mnie?”

Kłos mu na to rzecze skromnie:
„Ja się bynajmniej z tobą nie zrównygam,
I czem ty jesteś po mowie zgadywam;
Gardzisz mną, nie wiesz pod postacią marną,
Ze plemie ludzkie żywi moje ziarno:
Jestem ja szczupły, lecz zewsząd nie próżny,
Ty, powiedz na coś dobry lub usłużny?
Jaki jest w tobie użytek lub enota?
Cóż cię napełnia? czyzy wiatr i brzydota.“

Moi panowie! każdy z was zgaduje,
Jaki się naród w tej bajce znajduje;
Pęcherzem człowiek w próżności zbyteczny,
A skromnym kłosem człowiek użyteczny.

Ropucha i robaczek świecący.

Na murawie w czas gorący,
Kiedy noc zapadła głucha,
Błyszczał robaczek świecący;
Widzi to brzydka ropucha,
I wraz nań pryska swe jady.

„Jakież me zbrodnie i wady,
Pyta robaczek już w zemdlonej mowie,
Że na mnie śmierć tę wymierzasz?“
— „Dość już, — ropucha odpowie,
Dosyć, że światło rozszerzasz.“

1819.

Dzieci na lodzie.

Gdy wód kryształą mróz już ujął ściśle,
Chłopcy na łyżwach biegali po Wiśle.
Jeden z nich koszyk niosąc z kasztanami
Leciał najpierwszy, alić pod nogami
Lód pęka, biedny chłopiec w dziurę wpada,
Lecz koszyk został; natychmiast gromada
Niemyśląca o obronie
Tego, co w nurtach już tonie,
Wraz się rzuca na kasztany;
Cały koszyk rozerwany,
Mówię cały do jednego:
To obraz życia naszego.

Małpa i lampart.

Na łące, kędyś w afrykańskim borze,
Małpy jak zawsze w przedziwnym humorze,
Raz się zebrawszy przy wieczornej dobie,
Grać w ślepą babkę umyśliły sobie;
Wraz stara małpa z powagą zasiada,
Młoda, na jej kolanach głowę swą opiera.
Gdy uderzenie niejedna odbiera,
A nie zgaduje, natychmiast z radości
Małpy wesole z natury,
Wrzeszczą i krzyczą, i skaczą do góry:
Na odgłos takich śmiechów, wesołości,
Młody lamparcik, książątko wyborne
Zostawiwszy sługi dworne,
Zbliża się w miejsce, gdzie tak wielka radość;
Na ten widok strach i bladeś
Pada na małpy, każda myśli o swym grzbiecie,
Gdy lampart do nich: „Czemuż przestajecie,
Ach grajcie proszę, niech ja nie przeszkadzam,
Jam dobre zwierzę, każdemu dogadzam;
Grajcie, jak gdyby byliście tu sami,
Nawet pozwólcie, niech i ja gram z wami.“
„Ach mości książę, wołają zwierzęta,
Cóż to za dobroć, grzeczność niepojęta,
Możeż pan taki chcieć bratać się z nami,
Małpami?“
„Tak jest, odpowie jaśnie oświecony:
Małemu jeszcze mówiono dziecięciu,
Że każda bestya równa jest książęciu;
Więc grajmy wszyscy, ale grajmy proszę,
Niech z wami dzielę rozkosze.“

Na tę tak słodką i tak grzeczną mowę
Małpy, co zawsze wierzyć są gotowe,
Uwierzyły i dzisiaj: wraz jedna wypada,

I rękę na grzbiet zakłada,
Lampart swą łapę silnie na dół ciska,
Z rozdartej dłoni krew obficie pryska;
Z wielkiego bólu małpa cała zbladła,
I kto uderzył, już tą razą zgadła.
Natychmiast wszelkie igraszki ustają,
Choć małpy jeszcze śmiech jakiś udają,
Lampart tylko śmiał się szczerze.
Zmyka w stronę każde zwierze,

Mrucząc pomiędzy zębami:
„Nie wdawajmy się z wielkimi panami,
Każdy z nich choćby najlepszy z natury
Ma zawsze ostre pazury.“

Ziamba.

Wesoła ziamba na gałązce cienkiej
Gdy się kołysze i śpiewa,
I daje lekcję córeczce malenkiej,
Co się po cichu odzywa;
Raptem zapomniawszy dzieci,
Zrywa się i w bok przestraszona leci.
A gdy po niej jakim czasie

Nazad wraca się:
„Mamulu! mała ziamba zapytała,
Czemuś tak prędko od nas odleciała,
Co to się stało mamulu kochana?“
Odpowie matka cała pomieszana:

„Kochanie moje, postrzegłam zdaleka,
Największe monstrum: człowieka.“

Motyl i pszczoła.

Motyl pyszny z swojej szaty,
Lśniącej się złotem, bławaty,
Gdy lata z kwiatu na kwiatek,
Tutaj na różę, znowu na bławatek,
Nareszcie w miejscu ustronnem
Siada na fijałku wonnym.

Przypadkiem pszczoła wprzód tam siedząca,

Z tegoż fijołka czary,
Smoktała słodkie nektary;

Motyl ją skrzydłem potrąca

I krzyczy: „Precz ztąd nikiemny owadzie,
Nie widzisz, że mi stoisz na zawadzie!

Chyba mię nie znasz?“ — „A to rzecz zabawna!

Odpowie pszczoła, znam ciebie oddawna,

Strój twój dzisiejszy powierzchwną różnicą:

Niedawno byłeś podłą gąsienicą!“

Małpa i jej dzieci.

Dwóch synów małpa powiła:

Razem matka i macocha,

Jednego bardzo lubiła,

Lecz drugiego ani trocha;

Dla faworyta wszystkie jej starania,

Byle deszcz mały, albo chmura lada,

Ona już nad nim przepada,
Tuli do łona i zewsząd ochrania,
Żeby wśród wilgotnej doby,
Nie dostał kaszlu lub innej choroby.
Lecz skoro ustał czas chłodny,

I zawiął zefir łagodny,

Nie lękając się zasadzki,
Schodzi z drzewa dla przechadzki,
Trzymając synka na ręku.

Był to syn starszy, zbyt dziecina luba,
Małpiego rodu nadzieja i chluba,
Matka nań patrząc wzrokiem pełnym wdzięku,
Cudo w nim świata widziała,
Ścisnęła i całowała.

Lecz gdy go pieści, drugi syn wzgardzony,

Własnym siłom zostawiony,
Dlatego może od brata zręczniejszy,

I przytomny i silniejszy

Sam za matką szedł dość śmiało.

Gdy tak po lesie trio się błąkało,

Wilk żarłoczny z boku wpada,

Strach okropny: matka blada,

Nie wie co robić, widok srogi ja zdumiewa,

Trzeba koniecznie było dopaść drzewa,

Lecz z dzieckiem w ręku nie mogła;

Nakoniec całość życia własnego przemogła:

Rzuca synka na ziemię, gałęzi się chwyta,

A wilk pożarł faworyta.

Inny los młodszego syna,

Co mókł na deszczu, na słońcu się palił,

Temu nie była potrzebną drabina,

Sam wskoczył na dąb i życie ocalił.

Robaczek świecący i podróżny.

Obłąkawszy się w nocy podróżny niejaki,
Widział, że się coś bardzo świeci między krzaki,
Mniema, że jaka gwiazda, ogień gorejący,
Zbliża się, aż ta gwiazda był robak świecący;
Ileż to gwiazd podobnych widzimy na świecie!
Cicho... już widzę, skóra świerzbi cię na grzbiecie.

1815.

KONIEC TOMU IV.



SPIS RZECZY.



	Strona.
Lejbe i Sióra, Tom II.	5
Bekieszka	175
Bobry	111
Brat i siostra	208
Chińczyk	182
Dąb i bluszcz	98
Dąb i małe krzewy	158
Dwa konie	140
Dwa ptaszki	137
Dwa woły	94
Dzieci na lodzie	231
Fialek i kamień	123
Filizanka	155
Geś i osioł	119
Gmach podupadły	212
Herostrat	206
Hortensya	148
Iskra	150
Jablko rajskie	168
Jabłoń i poeta	166
Jastrząb i krogulec	134
Jeniusz i rozsądek	124
Jeź i róża	189
Kominek	114
Kotka	203
Kozioł i orzeł	95

	Strona.
Krety,	218
Kukawka	126
Kundle	173
Kura i indyczka	223
Kura i kaczęta	101
Laur, mirt i cyprys	163
Lew, niedźwiedź i komar	188
Lew i piesek	105
Malpa i jej dzieci	234
Malpa i lampart	232
Malpa na reducie	199
Manowce i prosta droga	135
Melon	132
Motyl i ślimak	195
Motyl i pszczoła	234
Mrowisko	152
Mucha i pszczoła	215
Obraz	107
Okręt	221
Orzeł i robak	222
Orzeł i sroki	147
Orzeł i żaba	193
Osy przy rogatkach	196
Owca i sarna	142
Papuga	108
Paw i słowik	125
Paw i sowa	122
Pęcherz i kłos	230
Pięścięń	100
Pióro i szabla	201
Plotki	171
Poręcze	194
Pożar	176
Pszczoly i truteń	156
Robaczek świecący i podróżny	236
Ropucha i robaczek świecący	231
Róża i flaszeczka	102
Ryba	133
Sér i kartofel	136

	Strona
Skoczek na linie	184
Ślimak	121
Słowik w urnie	110
Słowik, wróbel i ziemba	225
Stary kundel	160
Suczka z szczeniętami	90
Szczury	178
Szczupak	104
Światło i ciemność	118
Trzy pająki i mucha	186
Wiewiórka i niedźwiedź	115
Woly	129
Wół i skowronek	131
Wytrysk i strumień	120
Zefir i piwonia	190
Ziemba	233
Złoto i żelazo	130
Zrzęda	161
Zupa z żółwia morskiego	159
Źródła i strumyki	227
Żółw i dwa pawie	191



Biblioteka UJK Kielce

UJK



0453309